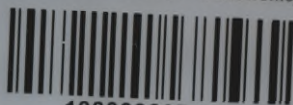




Biblioteka Politechniki Krakowskiej



100000297104

BIBLIOTEKA PODRÓŻY

I MALOWNICZO - HISTORYCZNYCH OPISÓW
RÓŻNYCH KRAJÓW,

WYDAWANA

PRZEZ

Adama Zawadzkiego.

Śerpa czwarta.

L A T O

n a b r z e g a c h

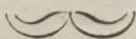
PÓLNOCNEGO I BALTYCKIEGO MORZA.

Wspomnienia z podróży

przez

X. Marmier.

1856.



141

W I L N O.

Nakładem i drukiem Józefa Zawadzkiego.

1859.



I 25140

Akc. Nr.

4931/51

Handwritten signature

L A T O

n a b r z e g a c h

BALTYCKIEGO I PÓLNOCNIEGO MORZA.

WSPOMNIENIA Z PODRÓŻY

przez

X. Marmier.

1856.

Gdańsk.—Oliwa.—Marienburg.—Brzegi Pomorza.—Wyspa
Rugija.—Hamburg.—Ujście Elby.—Helgolandya.

Tłomaczył z Francuskiego

K. M.

A/26

PRZY AKADEMII GÓRNICZEJ
W KRAKOWIE

Pozwolono drukować, z obowiązkiem złożenia w Komitecie,
Cenzury prawem oznaczonej liczby exemplarzy. Wilno, 27
Września 1858 roku.

Cenzor PAWEŁ KUKOLNIK.

W KRAKOWIE

I.

G d a ń s k.

Zwiedzający z uwagą Niemcy przed dwudziestą laty, z trudnością spotkałby się dziś z temi samymi wrażeniami, jakich podczas swój pierwszej podróży doznawał. Owa marząca, poetyczna i melancholiczna Germanija, dziś nowonawrócona, z zapalem rzuciła się do ruchu czysto-przemysłowego, w którym Stany-Zjednoczone ujrzały swoje bóstwo, a dawniejsza Europa ostatnią swą żądzę. Nie spotkać dziś na wielkich drogach owych wygodnych, uprzejmych *Eilwagen* (1), co niegdyś przyjaźnie otwierały się podróżującemu na każdej stacyi dla należytego wypoczynku; oniemiała też dzwieczna trąbka pocztarza, co zawsze wtórzyła serdecznym

(1) Rodzaj pocztowego pojazdu.

uściskom przybywającego druha, albo zagrała w sercu żalem i tęsknotą za odjeżdżającym przy pożegnaniu. Nie widać dziś gromadki koczujących grajków, co z lada fletu, basu lub klarynetu, wydobywając śpiewy Mozarta lub Bethowena, sprawiały podróżującemu miłą niespodziankę, ledwie że nie na każdym wzgórzu, albo przy każdym gaiku. Nie! Eilwagen ze swemi książęcymi herbami wygnany gdzieś na poprzeczne dróżki; dźwięczny róg pocztarza poszedł w dziedzinę tradycyi i zostaje obok starożytnego *Wünderhorn'u* (1); a chóry wesołych grajków któż dziś usłyszy przy wrzaskliwym pędzie lokomotywy?

Dziś Niemcy chlubią się koleją żelazną, tak jak kiedyś starannie utrzymaną szosą. Od południa na północ, od wschodu na zachód, od ujścia Elby aż do brzegów Adryatyku i od Renu do Wisły, we wszystkich kierunkach rozgałęziły się metaliczne arterye stowarzyszenia, które całą swą potęgę i przyszłość na metalu zakłada. Dawniej, mądrość Mytologii klassycznej, całkiem w gotowości wychodziła z czaszki Jowisza. Dziś *żelazna droga*, ta mądrość nowoczesna mozolnie wydobywała się

(1) Nazwy téj poetycznej użył Klements Brentano w swoim zbiorze dawnych Niemieckich pieśni (*Des Knaben Wunderhorn* 4 vol. in 8vo 1845).

z czarnych szeregów cyfr, kabalistycznych znaków, geometrycznych figur— a tysiące rąk opatrzonych w rydle i siekiery przyspieszały jój urodzenie. Lecz w momencie wzrosła ona w olbrzymie siły i wnet pożera przestrzeń, jak zwycięzca, któremu nic pochodu tamować nie zdoła. Jeśli czasami i zbacza z kierunku prostej linii, to już nie dla oszczędzenia drogocennej niwy, lub też by ominąć zawadę, ale chyba dla tego, że ma złapać w swoją żelazną siatkę jakieś miasto lub sióło i tym powiększyć wartość swój dziedziny. Taka jój cała rozmyślność, takie powody bieg jój wstrzymują. Nieczuła zresztą na to wszystko co nazywamy pięknoscia przyrody, na żadne uroki miejsc oświęconych religijną pamiątką, lub poetyczną myślą, — ona w swém natężeniu pędzi bez przestanku, rozcina góry, równa doliny, wali odwieczne dęby i piramidy skał, ścina średniowieczne wieżyce i starożytne kolumny, przerzuca się jednym skokiem przez ruczaje, rzeki— i przez okopy jak srogi pogromca wpada do miasta. Czarne jój kłęby dymu zakrywają przed oczyma błękit niebios i zielone łąk kobierce; jój głęboka paszcza pochłoneła daleko więcej kwiatów, niż liczne generacje niemieckich dziewcząt zerwały na swoje ślubne wianki, i świst lokomotywy rozchodzi się w powietrzu jak tryumfujący śmiech Mefistofila. Ci sami Niemcy, co re-

ligijnie czcili i szanowali pamiątki przeszłości, wszystko dla kolei żelaznej, nawet swoje materialne dobro poświęcili. Znany jest ich wykształcony smak gastronomiczny. Będąc pomiędzy niemi choć krótko, trudno nie zauważać ich potrzeb kuchennych i skłonności do marzeń romantycznych i ich zadowolenia przy zbadywaniu miejsc słynnych podaniami i przy układaniu karty obiadowej; wreszcie rażąca jest assocyacya idei, kiedy wynoszą *das Wunderschöne* (cudne piękno) i zarazem *wunder schön Bifstek*. Droga żelazna wyprowadziła też z użycia te pocziwe familijne biesiady i pogadanki. Dzisiejsze hotele po wielkich miastach, czyż mają jakiegokolwiek podobieństwo do tych dawnych pocziwych domów z poematu Goethe'go »Herman i Dorotea«, gdzie w patryarchalnej gromadce, zimą zbierali się na gawędkę przed kominem, latem — pod lipami poważnie rozprawiali o przyszłym żniwie, o odnowieniu jakiegoś kościoła, lub o zjawieniu się widziadła w jakiej stariej siedzibie.

Dziś hotel jest rodzajem karawanseraju, albo noclegu podróżujących koleją żelazną. Jednym razem wpadają doń seciny ludzi, jak zgłodniałe szakale, albo jak chmury koczujących ptaków, z tém, by nazajutrz co najprędzej odjechać. Na stacyach podrzędnych, w bufetach i nie pytać o srebro lub

stołową bieliznę, — tylko w mgnieniu oka wypróżniają się beczki piwa, znikają z oczu stopy okropnie nadziewanych malutkich bułeczek, okrajki cięlicyny i szynki.

O! te okrutne koleje żelazne, one zniszczyły wszystkie przyjemności i całą poezję podróży; zwichnęły najszcześniejsze usposobienia człowieka i przemianą może jego charakter moralny i fizyczny. Niedawno pewien światły medyk, może li przez zamięłowanie paradoxów, starał się dowieść, że większa część chorób trapiących ludzkość pochodzi od wprowadzenia wakcyny. Może kiedyś niedotkną medyków zarzuty podobnego zamięłowania, gdy dowiodą, że choroby nerwów, gastryczne i gastralgia wypływają z agitacji niecierpliwości lub porządku dyetetycznego na kolejach żelaznych.

W tymże samym stopniu filozofowie wykażą smutny zwrot dążności umysłowych, zapomnienie lub pogardę najczystszych rozkoszy myśli; rozwinięcie się ciągle wzrastających żądź materialnych; wyrachowanie niszczące swym chłodnym realizmem marzenia ideałów; nieprzyjazne współzawodnictwo dążności, interesów i w końcu zupełne zaniechanie poczciwój uprzejmości naszych ojców. Gazety Trybunałów, którym katastrofy dotyczące pociągi, tyle dostarczyły ulubionych artykułów, muszą rozciągnąć swoje kolumny, jeśli zechcą pomieścić wszyst-

kie drammata téj nowéj ery społecznej. Przyszły Pitaval utworzy całą kolekcję sławnych procesów, a powieściopisarz zechce tylko spojrzeć na codzienny ruch pociągów i będzie miał żniwo z najdziwniejszych obrazów i tkliwych wypadków.

Nieprzesadzając bynajmniej, rzucam tylko słabe szkice stanu rzeczy, które widzimy zaledwie w samym ich początku, a cóż by już z tego wywróżyć na przyszłość? To pytanie w części rozwiążą ci, którzy uwikłali się w szatańskie sidła frymarczenia moneta, co od dnia, w którym zaczęli szukać fortuny w podniesieniu lub upadku akcji, nie znają już ani męskiego zadowolenia w pracy, ani rozkoszy domowego pożycia, ani szczęścia w ciasnym kółku familii. Takiemże rozwiązaniem powyższej kwestyi jest ich krwawe konanie, bo przeszedłszy wszystkie wypadki gry co oszukuje najprawdopodobniejsze wyliczenia, wszystkie fazy nadziei zawiedzionej, wszystkie stopnie pragnienia tantalowego, zwyciężeni kończą swe wysilenia w téj walce bez przerwy.

Chcąc się przypatrzeć mniej trapiącym, lecz nie mniej charakterystycznym scenom, wejdźmy do sali debarkadem w chwili ekspedycyi pociągu. Tu setki osób dziko na siebie spoglądających, jak nieprzyjaciele; każdy zajęty jedyną myślą, żeby czém prędzej wpaść do wagonu i zająć lepsze miejsce,

w otaczających widzieli swoich przeciwników, których możebne pierwszeństwo w zajęciu wygodnego miejsca, obudza w nim obawę; znajomi zbliżają się do siebie z żalem, wcale niewdając się w dłuższą rozmowę, ażeby niespodziane odejście lokomotywy nie zostawiło ich na miejscu pogadanki. Najogłędniejsi zaś trzymają się w gotowości, tuż koło drzwiczek, których klucze są jeszcze w kieszeni nieubłaganego dozórce; a w chwili dania sygnału, lub otwarcia drzwiczek, już to nie towarzystwo istot cywilizowanych co przez nie się tłoczy do wagonu, ale raczej bystry potok czy gwałtowne wyścig odbyte na pomoście debarkadem. Najzręczniejsi otrzymują koronę, to jest wygodny kącik w powozie—inni znoszą niewygodę w całym ciągu podróży.

Dziwnie naiwném wydało by się w tym uniwersalnym popłochu wymaganie jakiejś grzeczności ze strony towarzysza podróży, wówczas gdy może najtkliwsze uczucia rodzinne ustają; ileż to matek nieliłościwie ciągnie swe małe dzieci za ręce, chcąc przyspieszyć kroku; ileż to niesnasków w pożyciu ta fatalna chwila przynosi, gdy czuły małżonek wyrzeka na opieszałość żony, a ta ostatnia oburza się na niesprawiedliwą napaść męża. Obecna generacja jeszcze zachowuje resztki grzeczności zaszczerpionój pierwotném wychowaniem; następna zaś, wznosząca się na parach lokomotywy

odrzuci jako zbytćeczne—i delikatne postępowanie z drugimi, i poszanowanie dla kobiet i w ogólności przyzwoite obejście wpajane niegdyś dzieciom, jakowego dziś mamy przykłady na starcach. Kolej żelazna jest to szkoła wzajemnej niegrzeczności i zapamiętałego sobkostwa.

Time is money, powiadają Amerykanie, ci gorliwi apostołowie religii przemysłowej; innemi słowy: wygrana w czasie, wygrana w pieniądzech. Pierwszy Benjamin Franklin ogłosił tę piękną maksymę i za to mu niesłychanie większa cześć przynależy, niż za wynalezienie *gromochronu* (1). *Time is money*. Można li w tak krótkich wyrazach zawrzeć szlachetniejszą myśl? Lecz możnaż się cieszyć tém dwoistém zwycięstwem, gdy wygrywając pieniądze, podniecamy żądze wygrania ich coraz więcej, a wygrywając na czasie, nie myślím dać sobie ani chwilki zastanowienia się w pracy?

Przychodzi mi na myśl nauczający ustęp z Goethego:

»Po wszystkich wzgórzach spokoj panuje; z po-
»za gałązek usłyszysz zaledwie tchnienie. Umil-
»kły ptaszęta w gaju. Czeka-j-no wkrótce i ty się

(1) Remember that time is money (Advice to a young tradesman, written anno 1748.

uspokoisz.« (1) Podobne uwagi muszą się wydać niedorzecznemi dla zwolenników rzeczonej lakonicznej maxymy.— Bystrość podróży wyrodziła nieustającą czynność: dziś liczą dnie jak niegdyś liczono tygodnie; spóźnienie kilku minut powoduje niepokój taki, jak niegdyś kilka godzin;— już maszyna parowa nie wystarcza naszej gorączkowej niecierpliwości. Nowiny przywożone koleją żelazną zrana, starzeją obok wiadomości udzielanych żelazną nicią telegrafu. Tak leci nasza epoka, niepokojna, nagłona, zawsze w oczekiwaniu i ruchu bezustannym. Życie człowieka tym sposobem, to bieg w przestrzeni pod dzwonkiem, a żałośny świst lokomotywy— to stękanie zmęczonej ludzkości.

Rezonując w powyższy sposób, popełniłem niewdzięczność, tém bardziej, że miałem szczególne powody wychwalać koleje żelazne, w chwili, gdy po raz pierwszy w życiu ucieszyłem się szybkością biegu wagonów, które w piętnaście godzin przemieściły mię przez step od Berlina do Gdańska. Berlin, wielkie wspaniałe miasto, zbudowane na pu-

(1) Ueber allen Gipfeln ist Ruhe, In allen Wipfeln spürest du Kaum einen Hauch. Die Vöglein schweigen im Walde. Warte nur, balde ruhest du auch.

styni piaszczyścój jak Petersburg na bagnisku. Rażąca jest analogia między temi dwoma miastami, jak też między państwami, których są przedstawicielami. Piotr Wielki, opuszczając dawną stolicę Carów Rossyjskich dla założenia nowój na błotnistym brzegu Newy, chciał zbliżyć swoje państwo z Europą zachodnią, i postawić go w bezpośrednim związku z mocarstwami, których kunszta i cywilizację zbadał uprzednio. Nieznany, ciemny margrabia zakładając w XIII wieku piérwsze kamienie Berlina, dał mu najprzyjaźniejsze geograficzne położenie, aby wywierać wpływy na centralne i południowe Niemcy. Rossya i Prussy są to najmłodsze państwa w Europie. Obie nie przestały wzrastać od wieków, a ich postęp niesłychany, wcale nie zaspokaja żądź coraz nowych. Ze zdumieniem porównujemy stan Rossyi za czasów poprzedników Piotra z późniejszym i nowoczesnym stanem. Niemniej zadziwiający jest postęp margrabstwa Brandeburskiego. Za czasów Ludwika XIV miało ono 2,000 mil kwadratowych i dwa miliony ludności. Każdy z mocarzów, już to przez zręczne negocyacje, już przez szczęśliwe wojny zwiększał swą posiadłość. Fryderyk III (elektor), który piérwszy przyjął tytuł króla, zdobył Quedlimburg i kanton Neusatzel; następca jego Wilhelm I, część Pomorza; Fryderyk IV Szlązk, za-

chodnie Prussy i okręg Ermenland; Wilhelm II, zdobył Poznańskie, Fryderyk Wilhelm III Szwedzkie Pomorze, Luzacyę, część Saxonii, Nordhauzen, Erfurt, Paderborn, Miunster i prowincye Renu. Dzisiejsze Prussy mają powierzchni przeszło 5,000 mil kwadratowych i 17 milionów ludności, a Berlin, co w początku ostatniego stulecia zawierał 90,000 mieszkańców, dziś ich liczy 450,000. Berlin, stolica wyłącznie wojowniczego narodu, nie ma ani okopów ani fortecy. Zdaje się, że królowie starali się otwierać jego szerokie ulice i bramy tryumfalne, ażeby oświata Europy swobodnie przezeń wchodzić mogła, i wnosić ze sobą wszystkie dyplomatyczne akta, w których Prussy się w mieszały. Lecz widząc ten arsenał wznoszący się naprzeciw Muzeum, te linije dział wyciągnięte obok Akademii, na każdym kroku napotykanym oficerów uzbrojonych, te ciągłe ceremonije wojenne odbywane dla ćwiczenia wojska na koniu i pieszo—wszystko to przypomina przewagę siły zbrojnej nad umysłową. Nawet plan miasta i główniejsze przedmioty kunsztów, noszą na sobie piętno wojennego ducha. Spójrzawszy na te symetrycznie wyprostowane ulice, zdaje się, że te szeregi domów gotowe są ruszyć na odgłos bębnow i połączyć się z towarzyszami Fryderyka W.; ci generałowie z kampanii 1813 r. z wysokości mar-

murowych podstaw, razem z bronzowými końmi wrot Brandeburskich zdają się wzywać do broni.

Wszystkie publiczne i prywatne gmachy Berlina świadczą o młodości narodu, który przed dwiestą laty zajmował podrzędne stanowisko pomiędzy państwami Niemiec, a dziś jest w rzędzie pierwszych Państw Europy. Pałac królewski zaczęty 1699 r. ukończony zaledwie 1719, przez swe czasowe dodatki, jest dziś obrazem swego wzrastającego państwa. Wszystko tu młode wszystko świadczy o wysileniach téj stolicy podnieść się i zrównać ze sferą znakomitszych miast Europy, już to przez wykwinność budowli, już przez naukowe instytucye i zbiory. Biblioteka tameczna liczy 600,000 tomów; Muzeum, lubo nie może jeszcze równać się z Drezdeńskim lub w Monachium, ani też poszczycić się bogactwami Luwru, jednak posiada już obrazy niepospolitej wartości, i doskonale uporządkowane, mieści się w przepyszynym gmachu. Teatr szczyli się artystami pierwszego rzędu. Uniwersytet miał Hegla, Schellinga, Schleyermachera, Sawigny, Gansa, Steffensa Raumera. Szkoła sztuk pięknych wydała dzieła niesłychanej piękności: tak Schinkel był zarazem architektem i malarzem; Rauch, powabny, śmiały i wzniosły snycerz, z prawdziwém wyższém natchnieniem, wykonał grobowiec królowej Ludwiki w Szarlot-

tenburgu, i z dziwnie energicznym pomysłem bronzowe posągi Bluchera, Bulowa, Scharnhorsta i olbrzymi pomnik Fryderyka W.

Fryderyk Wilhelm IV, wychowaniec znakomitego francuza Ancillon, zachował żywe współczucie dla nauki i sztuk pięknych. Sławny Tieck był jego lektorem, a Humboldt jest dziś przyjacielem.

Zważywszy ile od niedawnego czasu zrobiono w Berlinie, o ile Prussy umysłowo i moralnie postąpiły naprzód, łatwo zrozumiemy z jaką dumą ludzie tego młodocianego kraju śpiewają piosnkę Thierscha »Ich bin ein Preusse.«

Tymczasem, trochę dalej Berlina chciałoby się wątpić o szczęściu tego kraju, gdy widzimy tylko piaszczyste grunta otaczające wspaniałą stolicę. Berlin wznosi się w najniepłodniejszej strefie równiny ciągnącej się od lasów Turyngii przez północne Niemcy, Polskę i Rosyę, aż do gór Uralu, w tej ponurzej przestrzeni użyźnianej miejscami przez pracę rąk i tak często niszczonej przez srogię walki. Tam są pobojuwiska pierwotnych rass, których już zaledwie jakieś ślady istnieją; tam niegdys zbierały się hordy Teutonów mające zniszczyć legijony Varusa, i przed któremi zadrżała Roma. Tam są pola zaciętych walk, które wiekami przez mnogie pokolenia krwią zapisały kar-

tę dziejów i pola Karola W. gromiącego dzikich Saxonów; Allemanów, co bronili Brandeburga przeciw napaści Sławian, lub band awanturników grabieżnych, pola wojen mocarzów rozlicznych nacyj, przeciw swoim sąsiadom, wielkich baronów przeciw ich cesarzom; pola wojny religijnej, siedmioletniej i walki cesarskich orłów Francyi; grobowiec Gustawa-Adolfa, tryumf Jeny, żałoba Rosbachu i Lipska. Ta nieszczęsna przestrzeń, bardziej wyorana działami niż pługiem, a stosy trupów poległych na niej nie przyspieszyły oczekiwanego plonu. W stronach ku południowi od Berlina, dają się już postrzegać wzrastające owoce pracy rolniczej i przemysłowej, lecz za to na wschód i ku północy, — jakaż rażąca bezpłodność!

Od Berlina do Gdańska, sto pięćdziesiąt mil. Sto pięćdziesiąt mil ziemi płaskiej, ponurej, mglistej, bez życia i ruchu. Gdziekolwiek tylko wilgotny mech, co latem uścięła liche płaszczyny Laponii; albo zasy piasku, podobne do tych co zostają po odpływie oceanu; tu i ówdzie lasy brzoza lub sosna, tych stałych córek flory Północy; dalej gęste krzewiny, przyciśnięte do ziemi jak owe karłowate palmy algierskie, które z trudnością wrywać się dają, albo nakształt tych cierniów, które pała w Ardennach dla odświeżenia i użyźnienia gruntu; miejscami jakieś pola jęczmienne, obiecujące za-

ledwie słabe żniwa; blade pastwiska, po których włączą się od niechcenia stada baranów i ceglane chałupki, których czerwoność nielitościwie kraje żółtawo-siwą cerę téj nieźmierzonej równiny. Żadnego jeziora, którego by błękit wdzięcznie uśmiechnął się oku, żadnego ruczaju, któryby rozkosznym swym szmerem odświeżył znużone ucho, ani śpiewy w powietrzu— nic, prócz lokomotywy, która ponuro wyje w téj ciszy bezdusznój. O, to daleko smutniejsze jak stepy Gaskonii i bardziej monotonne niż rozległe pampy Ameryki południowej. Przebywałem ten kraj pełen melancholii w dzień letni, na skrzydłach lokomotywy, i w samotném marzeniu myśl moja przeniosła się w tę ziemię 1807 r., kiedy król Pruski wraz z dziećmi i piękna młoda królowa Ludwika, co zostawiła po sobie idealną pamiątkę w sercach poddanych, błakali się w téj samej przestrzeni, po błotnistych topieliskach w ciężkich powozach, przez ciasne drożyny, w porze śniegów i uraganów jesiennych; za nimi grzęzły rozbitki armii zdruzgotanej pod Auerstaedti Jena, a ich stolica, sioła i fortece w ręku nieprzyjacielskich legijonów; sromota w całym kraju i żaloba we wszystkich sercach.

Straszliwa to namiętność człowieka, wojna, nawet gdy ją nazwą z chwałą. Można-li nią się chlubić, gdy wspomnim na tę krew przelaną, na

wszystkie nieszczęścia jakie ze sobą przynosi? Wojna, w której obywatel wezwany bronić swoją ojczystą ziemię, która prowadzi się *pro aris et focis*, zapewna,— niemasz prawej duszy, która by się dlań nie poświęciła. Lecz gdy chodzi o zaspokojenie częściej ambicyi, wówczas przekonanie ludu ją potępia, dzieje osławiają, i naród uwikłany w nią przez wolę swego władcy, jawnie okazuje jęj uciążliwość, gdy pomimo otrzymywanych nawet zwycięstw, wzdycha do pokoju. »Gdyby policzono wszystkich mieszkańców na ziemi, powiada »Sir Walter Raleigh, waleczny żołnierz i śmiały »podróżnik, z pewnością twierdzić by można, że ich »liczba nie wyrówna takowej w rozmaitych epokach na polu bitew poległych żołnierzy. A w masie tym sposobem zarzniętych, czyż wielu było, »którzy wiedzieli prawdziwą przyczynę walki? Zauważcie większa część ludzkości przyniosła swe życie »w ofierze dla sprawy, która by może przepęłniła »ich pogardą i oburzeniem, gdyby ją pojmowali należycie. A iluż to padło ofiarą próżności lub »pychy!« (1).

Jest pewien obrządek duchowny, którego mimo całej chrześcijańskiej wiary zrozumieć nie mogę.

(1) Raleigh's Essays, p. 44.

Dwie nieprzyjacielskie armije wydały sobie walezną bitwę: jedna z nich straciwszy 2,000 swoich i położywszy 3,000 nieprzyjacielskich trupów, tuż na krwawém pobojowisku zanosi hymn dziękczynienia ku Bogu; nazajutrz druga zabija kilka tysięcy przeciwników i także śpiewa *Te Deum*. Jeślim w błędzie,—przepraszam moich naucznych panów, ale naprawdę nie pojąłbym miłosierdzia i dobroci Boga, gotowego na wysłuchanie tych prośb o łaskę, za wszystkie wyrzucone kule harmatnie, które zniszczyły tyle istot.

Takie moje melancholiczne, a może i bezbożne uwagi przerwał czarujący widok okolicy Tirespola, co z drugiej strony Dirschau zda się być nową, uśmiechniętą bogatą strefą. Z jednej strony obszerna łąka aksamitnej zieleni, podobna do łąk rozestanych w okolicach Kopenhagi, na równinach Zelandyi, z drugiej, kołyszące się kłosa jak wody jeziora.— W końcu tych pól uroczych, i sielankowych łąk, z poza czarnej przepaski murów, na ostrych szczytach, sterczą wieżyce licznych kościołów Gdańska. W moim wagonie siedział tylko inżynjer kolei żelaznej, który uprzejmie odpowiadał na moje pytania, i sprawiał mi prawdziwą przyjemność, opowiadając o bogatych plonach tego kraju, o postępie przemysłowym i obecnym bogactwie Gdańska.

To miasto przeżyło najlepsze swe czasy pod władaniem rycerzy Teutońskich i to najpiękniejsza jego historyczna epoka; reszta czasu, mało chluby przyniosła jego zręcznym magistratom i dzielności jego obywateli. Przed dwóma laty zwiedzałem starożytne grody Adryatyku, i przypominam sobie z jaką rozkoszą wyczytywałem na okopach tamecznych dzieje bohaterskie bitwy pod Zaira, i szlachetne rycerskie roczniki Raguzy. Tu nie spotykam nic podobnego: widzę miasto, które od daty swego istnienia było przedmiotem żądzy dla wszystkich mocarstw Północy, które za pomocą okopów niemogło obronić swojej niezawisłości; miasto wolne, bezustannie podbijane obcą przewagą, miasto handlowe, uwikłane w wojny, w których żadnego własnego interesu nie miało, zmuszone opłacać długi lub dogadzać wymyślnej rozkoszy książąt jarzmiących; miasto katolickie, rozszarpane partyami protestantyzmu; miasto hanzeatyckie, które stało się w końcu uprzywilejowanym miejscem jakiejś prowincyi Pruskiej, gdy tymczasem w tejże samej linii północnej jego bracia hanzejscy, Bremen, Lubeka, Hamburg zachowały swe dawne swobody.

O początku Gdańska nie mamy stanowczych wiadomości. Domyślają się, że ono powstało powoli na miejscu gdzie Duńczycy zbudowali okopy:

Polska nazwa Gdańsk, najbardziej podobna do duńskiego Dansk, które wyryte na pomniku burmistrza Letzkau, zamordowanego w 1455 r. Podług światłego pruskiego dziejopisa Voigt'a, początek Gdańska datuje się od pierwszego wieku ery chrześcijańskiej, a w kronice Uphagen'a od 500 r. przed Chrystusem. Lecz to są tylko hipotezy. Pierwsze wiarogodne dokumenta sięgają XII stulecia. Przy końcu X-go wieku Ś. Wojciech wprowadził tam chrześcijaństwo. Podbite przez Bolesława króla Polskiego, później przez Waldemara W. króla Danii, zdobywane przez margrabiów Brandeburgskich, przeczuwając swą niemoc, Gdańsk wzywa do pomocy rycerzy Teutońskich i od 1308 do 1454 r. zostaje w ich władzy.— W upływie tego półtora stulecia, wzniosło się ono do najświetniejszego stanu.

Oślaniane walecznością rycerzy krzyża, wcale niebędąc zmuszane brać udziału w licznych wojnach, które oni prowadzili z Pomorzem, Polską i Litwą, stowarzyszone z Hanzą, przez co nabyło wiele przywilejów handlowych, powoli zwiększało zakres swojej działalności i ściągało do siebie statki handlowe z najodleglejszych krajów. Seciny statków angielskich, francuzkich, holenderskich, zawijały do jego portu, szukając zboża polskiego. Towary wschodnie przybywały tam przez

Nowgorod. Żelazo Szwecyi, las pruski i pomorski, sukna angielskie, wrocławskie i grube wyroby Litwy, stały się głównymi przedmiotami handlu tego miasta. Wyrob prochu, piwowarnictwo, roboty bursztynowe zajmowały liczne korporacje jego rzemieślników. W epoce téj, wartość rocznie wchodzących towarów wynosiła nie mniej 18 milionów talarów (1). Nietylko mieszkańcy miasta wzbogacali się przez rozmaite spekulacje, ale nawet okoliczni włościanie zbierali niezmierne bogactwa. W jednéj legendzie znajdujemy: że wielki mistrz zakonu Teutonów, słysząc o wielkich skarbach takiego włościanina Niklasa, postanowił go odwiedzić, i udał się tam w towarzystwie jedenastu niemieckich książąt. Niklas wystąpił na ich spotkanie w licznym orszaku sług i pokazaw-

(1) Kanonik Krakowski Długosz, który w XV wieku napisał swoją historję, wyraża się o Gdańsku w następujący sposób. «Gedanum urbs nominatissima, et ornamentum non postremum regnorum Europae. Per hanc quidquid habet Polonia, Lithuania Masovia tanquam in oesophagum Gedanum intrat et in transmarinas regiones avehitur. Et rursus quidquid afertur ex Germania, Anglia, Gallia, Hispania, Dania, Suecia, per universam Sarmatiam digitis Gedanensium civium dispensatur.

szy dostojnym gościom ogrody, pola, obory, zaprosił ich do swęj jadalni, gdzie oczekiwał wspañiały obiad w bogatych srebrnych wazach. Pośród takowych zbytków, goście nadzwyczajnie byli zdziwieni, znajdując do siedzenia tylko drewniane beczki ustawione porządnie przy stole. »Niklas, ozwał się wielki mistrz, jakim sposobem, będąc tak zamożnym, posiadając tyle innych zbytkowynch przedmiotów, niemasz nic lepszego do siedzenia!«— Mościwy panie odrzekł włościanin z uszanowaniem, trzymając się opodal biesiadników, gdybyś raczył podjąć nakrycie jednej z tych beczek, przekonałbyś się, że nie mogłem wam podać nic lepszego do siedzenia.« Dwanaście beczek były napełnione sztukami złota. Legenda nie wspomina, czy bogaty Niklas nie ofiarował jednego z tych nowego rodzaju krzesel na własność dostojnym gościom, czego by zapewne jakiś Fugger z Augsburga nie omieszkał uczynić.

W tym szczęśliwym peryodzie, pod światłym rządem mistrzów Zakonu, przybyło w Gdańsku trzy nowe kwartały, kilka nowych kościołów, szpitale i wykopano kanał dostarczający świeżej wody fontannom miasta. W tymże czasie stała się budowa obrad obywateli miejskich, za przyczynieniem się Zakonu. Nakoniec większa część okolicznych wiosek i kościołów zawdzięczają swój po-

czątek tejże samej czynnej i przezornej administracyi.

Musimy oddać sprawiedliwość mieszkańcom Gdańska, że długi czas zostawali oni przychylnymi poddanymi władzy, która niemi tak szczęśliwie kierowała; niesprawiedliwość lub okrucieństwo jednego z Komandorów, niewygładzały jeszcze uszanowania i wdzięczności ku Zakonowi, któremu nieraz dobrowolnie przybywali na pomoc. Lecz nadszedł dzień, w którym waleczna milicya rycerzy krzyża, zagrożona ze wszech stron, pobita na każdym kroku przez swych nieprzyjaciół, zachwiała się, upadła na duchu, i Gdańsk, nosząc już miano wolnego miasta, lękając się zostać bez pomocy, oddał się dobrowolnie w ręce Kazimierza Jagiellończyka króla Polskiego.

Skutkiem zawartego z Kazimierzem przymierza, które w kronikach znane jest pod nazwą *Privilegium Casimirianum*, Gdańsk zachował prawo mianowania swych urzędników cywilnych, wojskowych i duchownych, prawo sądu w pierwszej i ostatniej instancyi,—administracyi swoich przychodów, bicia monety, stanowienia kodexu i zawierania umowy po wojnie. Za to miasto ustąpiło królowi część terytoryum, obowiązało się wypłacać mu rocznie po 2,000 dukatów, trzymać dla niego w mieście dóm, stajnie, magazyn zboża i w czasie

przybycia króla utrzymywać go przez trzy doby w mieście. Lecz wkrótce po zawartej umowie, Gdańsk zmuszony był dać królowi posiłki w wojnie przeciw zakonowi Teutońskiemu i powiększyć podatki dla pokrycia kosztów tej wojny, która trwała przez 13 lat. Dwa razy szturmowali Marienburg stolicę wielkich mistrzów; dwa razy byli odpierani, przez co okolice i nawet część przedmieścia Gdańska uległy zniszczeniu; prócz tego Gdańsk przyjął na się opłatę żołdu królewskiemu wojsku.

Niewdzięczność znalazła zasłużoną karę. Ten sam Gdańsk, który wzrosł pod szlachetną opieką Zakonu, dziś nastawał na jego zniszczenie, ale też musiał tego żałować. Wkrótce mieszkańcy onego probowali dostać się znowu pod opiekę rządu mistrzów; ale napróżno. Zakon Teutoński prześladowany ze wszech stron, został zwyciężony. Król utrzymał Gdańsk i wkładał nań coraz trudniejsze powinności. Mało znaczyły łaski królewskie w porównaniu strat, jakie to miasto poniosło: do herbu jego dodaną została korona, przytém prawo używania czerwonej pieczęci w listach urzędowych, co używał tylko król, i burmistrze otrzymali prawo noszenia złotego haftu. Drogo jednak zostały okupione te przywileje. Przy końcu wojny Teutońskiej 1466, Gdańsk utracił 2,000

mieszkańców i zapłacił milion mark; a pożary i przygody wojenne zniszczyły jego okolice. Natomiast sądownictwa miały czerwone pieczęcie i burmistrze złote hafty na sukniach.

Reformacya przyniosła ze sobą nowe nieszczęścia. Nauka Lutra zaszczerpioną została przez awanturnika, którego sam Luter kazał wygnać z Wittemberga. Był to niejakiś ksiądz katolicki, który, mając ożenić się z córką pewnego kupca, wyrzekł się swojego stanu. Zagorzały mówca ten ogłaszał: że zakonnicy Ś-go Franciszka noszą powróż u pasa, który należałoby im zacześcić na szyję. I tu jak wszędzie, nowa nauka pociągając jednych, oburzając drugich, dzieliła familije, podniecała umysły i sprowadzała gwałtowność nieposkromioną. Luteranizm podtrzymywany współczuciem ludu, podniecany namiętnościami, zniewolił nareszcie spokojnych mieszkańców, którzy woleli zostać katolikami, do zupełnego milczenia; lecz zaledwie ten utworzył swoje gminy zabrał kościoły, zjawili się niecierpliwi i wymyślni uczniowie kalwina i rozpoczęli zgubną walkę sekt religijnych. Wojna wrzała w samém mieście. 1575 r. dwóch współzawodników ubiegało się o koronę Polski: Maxymilijan Austryacki, którego stronę przyjął nieszczęsny Gdańsk i Stefan Batory. Ten ostatni został wybrany królem, i Gdańsk

srodze odpokutował za swą omyłkę. 1587 r. Zygmunt III wstąpił na tron Polski i znowu uwikłał Gdańsk w wojny, które prowadził dla dogodzenia swój pysze, i których przeciwności i koszta, miasto musiało później opłacić w znacznej części. On chciał zwyciężyć Szwedów, a ci osaczyli port Gdańska, zatrzymali jego handel i nałożyli ciężki haracz. Od 1599 do 1660 i od 1700 do 1721 roku, biedne miasto cieszyło się zaledwie kilkoletnim pokojem, w którym naprawiało wyłomy poczynione w jego fortecy, ażeby niebawem wdać się w nowe rozruchy i znosić nowe nieszczęścia. Wstąpienie na tron Władysława syna Zygmunta, było dlań pocieszającym. Król ten dał prawdziwe dowody niezwycięzonego męstwa i wspaniałomyślności. Gdańsk polegał na jego obronie i dobrych zamiarach przywrócenia porządku finansów; gdy tymczasem wkrótce Władysław zapotrzebował rocznej kontrybucyi, którą zamienił później na jednorazową opłatę miliona złotych. Z tém wszystkiém *privilegium Casimirianum* zostało nienaruszoném, i akt ten zabezpieczał niezależną administracyę przychodów, wyłączenie od podatków i wszelkie prawa niezawisłości wolnego miasta, w kraju podwładnym rządowi monarchicznemu. Smutny przykład zależności małego państwa, gdy jest w stosunku z takim krajem, które-

mu w razach wszelkich wymagań poddać nie jest wstanie.

1734 r. Gdańsk podtrzymywał sprawę Stanisława Leszczyńskiego, którego później Szwedzki bohater Karol XII wyniósł na tron Polski. Miasto było w oblężeniu, bombardowane i prawie zniszczone przez Rosyan. Za szlachetną gościnność, okazaną Stanisławowi Leszczyńskiemu w swych murach, miasto skazane zostało na poniżenie w obec swych nieprzyjaciół. Przyznało władzę nad sobą Augusta III, musiało zapłacić Rossyi pół miliona talarów i z uszanowaniem ofiarować 30,000 dukatów dowódcy wojsk, które rzuciły w jego mury 4,500 bomb. (1)

-
- (1) Następujący list Stanisława do mieszkańców miasta Gdańska, zostawiony przy rozstaniu się dla ułatwienia kapitulacyi miasta, jest najkosztowniej- szym aktem archiwum onego. Równy czyni zaszczyt tym, do których był pisany, jako też piszącemu w stanie krytycznym: „Rzucam was w momencie, „gdy już mojemi być niemożecie— zostawałem mię- „dzy wami pociągnięty waszą bezprzykładną wier- „nością. Unoszę ze sobą całą boleść waszych cier- „pień, i dług wdzięczności, z którego wypłacę się „w każdym czasie, tym wszystkim co was o niej „dowodnie przekonać będą mogli. Życzę wam „wszelkiego szczęścia na jakie zasługujecie, i któ-

Przez trzy wieki trwały nieszczęścia Gdańska i skończyły się ledwie z upadkiem Polski. W 1772, przy pierwszym jój podziale, król Pruski został przy posiadaniu całego terytorium Gdańska razem z brzegami morza i kanałem. Cóż pozostało dla biednego miasta zamkniętego w swych okopach?— Zupełna niemoc, czyż tytuł wolnego nadmorskiego miasta, który był dla niego raczej gorzkim pośmiewiskiem. Napróżno wzywało ono sprawiedliwości Anglii i Francyi. Obie te dzierżawy obojętnie przypatrywały się rozdziałowi Polski, i mało się troszczyły o los jakiegoś małego handlowego punktu. Tylko król Pruski, z namowy cesarzowej Katarzyny, obiecał mu zostawić piątą część dochodu z portu, albo zapewnić zupełne posiadanie onego za 200,000 dukatów rocznie. Gdy takowe propozycye nie były przyjęte, Prussacy osaczyli port Gdańska i otoczyli go stałą linią komor celnych. Ten opłakany stan rzeczy trwał aż do roku 1793, to jest do powtórnego podziału Polski, kiedy i miasto Gdańsk dostało się rządowi pruskiemu, który go wcielił jako zwyczajne

„re ulżyłoby moją boleść jakiej doznaję przy opu-
 „szczeniu was; zostaję na zawsze i wszędzie wa-
 „szym przychylnym,

„Stanisław król.“

miasto do ogólnego systematu swojej administracyi.

Ostatnie wypadki dotyczące tego miasta, aż nadto już są znane; a praca w tym względzie Thiers'a uwalnia nas od dalszego na nie poglądu. Wiadomo iż 1807 r. Gdańsk po trzymiesięcznym oblężeniu uległ przemocy Francyi. W 1813, pod dowództwem Rapp'a opierał się blisko roku Prussakom i Rossyanom. Napoleon, zawładnąwszy nim, nałożył 20 milionów kontrybucyi—i prócz tego podług podania, miasto obowiązane było zapłacić Rappowi jeden milion. (1) Jeśli wierzyć temuż podaniu,—wydatki jakie Gdańsk zmuszony był ponosić przez 7 lat zajęcia go wojskami Francyi, licząc koszta stołu francuzkich generałów, na żywność wojska i pobudowanie magazynów, — wynosiły w 1814 r. przeszło 40,733,706 florinów, na które musiało zaciągnąć pożyczkę. (2) Nie sprawdzałem tych faktów, lecz jednak cieszyłbym się myślą, gdyby Francuzi zostawili po sobie mniej przykre wspomnienie u mieszkańców Gdańska.

Miasto te posiada obszerne fortyfikacye i prace hydrograficzne, które mogłyby być zajmującym

(1) Löschin, Geschichte Danzig's T. II p. 334.

(2) Tamże p. 465.

przedmiotem studyów dla oficera sztabu lub inżyniera; dla pospolitego zaś podróżnika, co niemoże się oddać postrzeżeniom naukowym niemniej są przedmiotem ciekawości. Położone na obszernej płaszczyźnie okrytej miejscami lasem, urozmaiconej wzgórzami i Wisłą, co nieopodal jego murów wpada do morza— przedstawia dziwnie malowniczy krajobraz. Co do położenia ulic i architektury domów, jest to jedno z najoryginalniejszych i najdziwaczniejszych miast całych Niemiec. Przez porównanie, można by w niém wiele upatrzeć podobieństwa do Augsburgu, Norymbergu lub Amsterdamu. Jest to czysto średniowieczne miasto, ze wszystkiemi nawiązaniami owoczesnej fantastycznej architektury, jak Herkulanum starego germańskiego stylu, zachowane pod popiołami czasu. Przykład innych miast nie wywarł jeszcze na nie żadnego wpływu. Gdyby architekci Gdańska chcieli badać nowoczesny styl budowli Berlina, były by to dla nich zbyt cenne studia, gdyż dla każdego ze swych pomysłów znajdują piękne wzory, w swoich tradycyjalnych gmachach. Być może, iż podróżujący gdańszczanin oddaje sprawiedliwość pysznym hotelom Anglii i Francji, lecz zapewne powraca z tęsknotą do swych ciasnych domków splecionych jak klatki i upiękuszonych na szczytach zębiastym lub ostrym szczytem. Wszystkie prawie ulice,

niezważając na różną architekturę domów, mają jednostajny charakter; niektóre tylko odznaczają się albo kanałem albo też gęstemi szpalerami topoli. Są tu i ulice wspaniałe, ulice wielkiego świata, gdzie, chociaż zachowana strukturakwartalów gminnych, bogacze miasta wprowadzili przepych arystokracji. Taką jest na przykład *Langgasse*, której osobliwszych szczegółów pominąć nie mogę. Przy każdym domu wzdłuż całego frontonu znajduje się czworokątny ganek, zamknięty po bokach murem po pas wysokim i kilka schodów z żelaznymi poręczami spoczywającymi na dwóch ogromnych kamiennych kulach. Na węglach przybite żelazne lub drewniane rynny, które wylewają deszcz przez ogromne czeluście smoków. Zostawiam wyobraźni ten szmer jaki daje się słyszeć na *Langgasse*, gdy strumienie deszczu z wysokości kilku stóp rozlewają się od każdego ganku po obu stronach ulicy. Inne miasta Europy już od dawna zaprowadziły u siebie wygodniejsze ścieki wody; lecz Gdańsk trzyma się swego zwyczaju, i swych olbrzymich kul, na których opiera balustrady. Zdaje mi się, że rzadkość i niedostatek kamienia jest powodem takiej wystawy po ulicach, i że większa bryła jest oznaką stopnia dumy właściciela. Gdyby Turcy używali jeszcze tych kul marmurowych, których Tott daje nam

ciekawe opisy, wówczas powinnyby się udać do Gdańska, i zbierać tego rodzaju upiększenia swych arsenałów.

Jednakże mimo tych wszystkich trochę dziwnych ozdób, każdy dom ma jakiś przyjemny, poczciwy wyraz, *heimliche Physionomie*, jak mówią Niemcy. Szerokie mury opasujące prawie każde pomieszkание, pozwalają w chwilach wypoczynku samotnego schronienia. Te kwadratowe ganki nakszałt tarasów miast oryentalnych, albo jak *azoteas* Ameryki południowej, są przyjemnym miejscem wypoczynku na świeżym powietrzu. Tam w letni wieczór zasiada poczciwa czeladka otaczająca swego patryarchę, dla odetchnienia po całodziennym trudzie, oddaje uprzejmy ukłon przechodzącym; każdego dnia przy jednostajnych okolicznościach powtarzają się dla nich też same wypadki; co dzień o jednej godzinie zamykają się sklepy i okna, z których wyglądają też same znajome postacie. »Domy, jak wyraził się dość trafnie pewien autor Rossyjski, mają jakiś oddzielny wyraz również jak i ludzie, albo posepny, albo łagodny; dumny albo ujmujący. (1).

Podług nas architektura jest najwyraźniejszym obrazem zwyczajów, smaku i pozycyi materjalnej

(1) Zagoskin Kuźma Pietrowicz.

każdego narodu. Począwszy od obszernej drewnianej *poerte* mieszkańca Finlandyi aż do *casas* jakiegoś hiszpańskiego hidalgo, od lapońskiego skórzanego namiotu aż do wyniosłych hotelów New-Yorku, od olbrzymich gmachów Indostanu do zębiastych arkad i powietrznych galeryj Arabów, wszystko nam wykazuje, że człowiek równie opiewa swoje domowe sielanki, swoje hymny religijne przez budowle jak i w strofach poematu. Człowiek równie stosuje mieszkanie do swych potrzeb, jak i odzież. Dla mieszkańca południa, dom jest najczęściej tylko przytuliskiem w nocy: blask nieba i powaby natury wywołują go ciągle na zewnątrz. Dom na północy jest już dziennym przytuliskiem, ogniskiem pracy i świątynią uczuć. Tam ześrodkowuje się jego istota, tam najprzyjemniejsza praca, wypoczynek po trudzie i obchód uroczystości rodzinnych. On kocha te miejsce, bo je z każdym dniem piętnuje coraz nową pamiątką umysłu i serca; on je upiększa jak zalotny ptaszek zdobi swoje gniazdo. Toż i mieszkańcy Gdańska według upodobania i możności urozmaicili swoje mieszkania. W każdym kwartale na frontonach domów, po konturnach tarasów spostrzegają się obwódki kwiatów, posagi, arabeski i rzeźby które sprawiłyby prawdziwą przyjemność artyście. Na *Langgasse* znajduje się jeden trzypiętrowy do-

meczek, co ze swými zgrabniutkiemi i lekkimi kolumnami, z ich kapitelami pięknými, podobny jest do kunsztownego pudełeczka jakiegoś średniowiecznego snycerza, które zda się było przeznaczone zamykać skarby miłości. To małe arcydzieło było własnością rodziny Steffens. Zdaje mi się, można byłoby utworzyć cały poemat o téj rodzinie, spójrzawszy na te trzy piętra, jednocześnie zamieszkiwane może przez trzy generacye.

W tych licznych upiększeniach ulic i mieszkań Gdańska, najczęściej dają się spotykać mytologiczne postacie Grecyi; lecz nie Merkurj lub Neptun, bogowie handlu i morza, jak by nam się może zda wało, ale owszem widzimy tu daleko weselsze postacie. Tu, wspaniała i piękna postać Junony wyobrażającej majestat Olimpu, dalej promieniejąca Iris ze swoją szarfą, tu Wenus w rozmaitych odcieniach, wychodząca z wody, igrająca z Amorem i uwikłana w sieci Wulkana. Żeby zaś ich nieobwiniano o wyłączne zamiłowanie tradycyi pogańskiej, a może też i dla przypodobania się poważniejszemu kierunkowi swych niewiast, widzimy tuż obok wzniosłe sceny Biblijne, jakąś religijną legendę, albo popularne sceny z ksiąg średniowiecznych.

Giełda Gdańska tak nazwana *Arthus-Hof* (dwór Artusa) jest ciekawym przykładem takiej szczegól-

niejszej assocyacji idei. Naprzód zwróćmy uwagę na tytuł rycerski nadany sali merkantylnej. Jeszcze w średnich wiekach, kupcy ważniejszych miast prusskich, (1) i pomorskich: Torunia, Elbląga, Braumberga Kulma, Stralsundu, mieli osobny dom, gdzie się zbierali dla traktowania o sprawach handlu, albo dla zabaw publicznych. Nazwali go Artus-Hof, zapewno na pamiątkę wyprawy bajecznego króla przeciw Saxonóm, i na pamiątkę owego sławnego okrągłego stołu, gdzie według tradycyi, panowała braterska równość, — to marzenie wyobraźni republikańów.

Od XIV wieku, pod szczęśliwym rządem zakonu Teutońskiego, Gdańsk miał także swój *Artus-Hof*, wspaniały, obszerny gmach, później przez pożar zniszczony w połowie. W pewnych dniach tygodnia kupcy zasiadali tam podzieleni na sześć kategorii, w sześciu osobnych ławkach, nie tych ławkach króla i królowej, z których osądzano zasługi Gluck'a i Piccino, ale na mocnych drewnianych ławkach, na których zapijali piwo. Z czasem ta komnata po-

(1) Dawniejsza prowincya północnych Pruss wcielona powoli do tego państwa, dała mu swoje nazwisko. Fryderyk III posiadał tylko Prussy książęce, gdy 1701 r. zrzekłszy się swego tytułu Elektora Brandeburskiego, przyjął takowy króla Pruskiego.

czciwych pijaczków stała się nakształt łoży włoskich, salą sprawiedliwości; nareszcie była opuszczoną, a w ostatnim wieku naprawiona, służy za Giełdę.

U wnijscia do téj kommercyjnej budowy, odświeżonej i upiększonej w rozmaitych epokach, wznoszą się posągi Scypiona Afrykańskiego, Temistoklesa, Kamilla, Judy Machabeusza i symboliczne statuy Siły, Sprawiedliwości i Fortuny; jest to wstęp do historyi, której dalszy ciąg wewnątrz wystawiony, za pomocą dziwnego połączenia obrazów religijnych, obyczajowych, bohaterów starożytności i wojewodów średniowiecznych. Tam na olbrzymich blejtramach, okrywających ściany, i między posągami, spostrzegamy, ostatni sąd i walkę Horacyuszów, postać Jefty córki Izraela, umierającej dla spełnienia nieszczęsnego ślubu ojca, i statwę Dyany wychodzącej z kąpieli. Rzeźbiarz nadał téj ostatniej dziwnie monstrualne kształty. Pomyślałem, że to sceptyk, niechący wierzyć niezwykłej dzikości czystej bogini, wyszukał innych powodów jéj gniewu w chwili, gdy była narażoną na zuchwałę spójrzenia Akteona. Tam obok Ś. Krzysztofa olbrzyma legend chrześcijańskich, wystawiony rumak, którego dziwaczne kształty, potępiłby trybunał gospodarski. Lecz na tym pamiętnym koniu siedzi czworo walecznych dzieci Ardennów, czterech synów Aymona, i aże-

by zmieścić tych jeźdźców, wypadło podłużyć rumakowi grzbietu i wyciągnąć nogi. Tam też znajduje się obraz przedstawiający urok lutni Orfeusza, a obok Judyta ścinająca głowę Holofernesowi, dalej w ukryciu skromny drewniany posąg pielgrzyma od Ś. Jakóba z Kompostelli, naprzeciw wspaniałej statuy Augusta III króla Saxonji i Polski. Tu i ówdzie pomiędzy temi obrazami i posągami wiszą trofea myśliwskie, rogate głowy jelenie. Jedna z nich, jakby wytryskująca o 3 stopy od obrazu Orfeusza, sprawia niepospolity efekt. Magiczny śpiewak zdaje się czarować naturę swoją melodyą. Lew pełza na swych łapach; niedźwiedź tańczy u stóp jego, ptaki zlatują się na gałęzie, ryby podnoszą głowy nad wodę przysłuchując się czarownej muzyce; wilk zapomina oprować tuż na łące leżącego barana, i lis zawstydzony swą nieprawością, spoziera przyjaźnym okiem na zarozumiałego koguta. Jeden tylko jelen, jak dziki krytyk, nie chce uwierzyć w potęgę harmonii i rzuca się w stronę téj czarownej sceny, jakby niemógł, znieść słabości głupiego grona słuchaczy. Wśród tego zbioru historycznych i mytologicznych obrazów, stoją dwa długie stoły, na których co rana dwóch czerwono ubranych odźwiernych, układają motki konopi i lnu; dalej necki napełnione próbkami żyta, owsa i jęczmienia. O południu

Giełda się otwiera. Wchodzą poważni kupce, żydzi w swoich długich sutanach podwiązanych pasem i kilku króciutko poubieranych majtków. Ci rozprawiają na stronie ze swými kapitanami; żydzi wypatrują niespokojnym wzrokiem, z której strony nastawić swoją siatkę pajęczą, ażeby w nią wplątać jakowego ryzykownego kupca; negocyanci bacznie uważają próbki zboża, bo to dla nich najważniejszy przedmiot. Wszystko to odbywa się w największej cichości, i kończy się w parę godzin bez żadnego hałasu. Przy straszliwym wrzasku paryżkiej Giełdy, ta wydaje się jak naiwna sielan-ka. Nie wierzę wcale ażeby tam ktoś w jednej chwili zyskał miliony; ale też i wcale nie widać, aby wyszedłszy ztamtąd ktoś sobie palnął w łeb.

Najpiękniejsza budowa w Gdańsku jest kościół Panny Maryi, wspaniały, obszerny gmach nie słychanej prostoty stylu, ale daleko większy od *Notre-Dame* w Paryżu. Założony 1343 roku, pod dyрекcją wielkiego mistrza Teutonów, Ludwika Waitzau, skończony został 1502 r.; długość jego 111 metrów, szerokość wzięta razem ze skrzydłami, które stanowią ramiona krzyża docho- dzi 37 metrów, a wysokość wnętrza sklepienia 32. Wyliczono iż kościół ten z łatwością może pomieścić 25,000 ludzi. Przeznaczony był pierw-

tnie dla wielkiego katolickiego miasta, dziś uczęszcza doń tylko jedna z sekt protestantskich, które się potworzyły w témże mieście. Wzdłuż jego nawy wznosi się trzydzieści kapliczek, fundowanych przez znakomite familje, co za pomocą swych pobożnych ofiar nabyły sobie prawa spoczywania u stóp ołtarza, przed którym za życia klęczały. Większa część tych kapliczek zbudowana z wielką sztuką i wspaniałem upiększeniem. Była to chluba patrycyusza przynieść na ofiarę swoje mienie, była to szlachetna jego duma podniecana religijną myślą, która dziś, będąc oddzieloną wiekową przestrzenią czasu, obudza w nas uczucie wiary i uszanowania.

W obwodzie choru, w większej i pobocznych nawach, napotykamy mnóstwo rzeźb, baretjefów, posągów, które by zasługiwały, żeby być przedstawionemi przez znakomitego rylca sztycharza; mianowicie trzy dzieła pierwszego rzędu: Chrystus, statua Najświętszej Panny i ostatni sąd Van Eyck'a. Obraz ten malowany na drzewie składa się z trzech przedziałów, z których dwa boczne w kształcie skrzydeł roztwierają się na główną scenę. Dzieło to, podług podania, miało być przeznaczone dla papieża; lecz na drodze do Rzymu korsarze zabrali okręt, na którym był obraz; wówczas jeden z kapitanów gdańskich szczęśliwym trafem zwyciężywszy piratów, odebrał im rzecz-

ny okręt, a znaleziony tam obraz ofiarował do kościoła. Cesarz Rudolf II naprózno starał się go odkupić. Potem jeden z elektorów Saskich i Piotr Wielki chcieli zapłacić zań wielkie summy. Ale w 1807 r. Rappe zabrawszy go bezpłatnie, kazał przewieźć do Paryża, z kąd za ledwie 1816 roku został powrócony do kościoła N. Panny. Ze wszystkich skarbów, które były zabrane z Paryża podczas powtórnego wkroczenia nieprzyjacioł, obraz ten jako znakomita pamiątka dawniej Niemieckiej szkoły był jedną z najkosztowniejzych strat.

W drugiej kapliczce znajduje się Chrystus wyrobiony z drzewa, przypisywany Michałowi-Aniołowi. Później gdy takowe mniemanie pokazało się całkiem nieprawdopodobne, lud dla wytłomaczenia sobie piękności tego arcydzieła, gdzie w rysach Zbawiciela, w napół przymkniętych oczach, w ściągnięciu warg, odbija głęboki wyraz boleści i słodczy niebiańskiej, utworzył okropną legendę. Gdy już niepodobna było zupełnie odkryć nazwiska snycerza, ani najmniejszego śladu jego historyi, wówczas powiedziano, że dla wykonania tego rozrzewniającego obrazu, artysta przyzwawszy do swój pracowni jakiegoś młodzieńca przybił go na krzyż i skopijował jego postać w ostatniej chwili konania.

O statui N. Panny, znajdującój się w jednej z szaf

zamkniętych, opowiadają inną mniej straszną powieść. Pewien biedny artysta, niesprawiedliwie obwiniony i skazany na śmierć, błagał sędziów o odroczenie wyroku dla wypełnienia ślubu, który był przedtém uczynił. Po otrzymaném zezwoleniu, nieszczęśliwy upadłszy na kolana zanosił gorące modły do N. Panny Pocieszycielki strapionych, i zaraz wziął się do modelowania z gliny obrazu Tój, której z głęboką wiarą wzywał w swém nieszczęściu. Ta pobożność i wiara natchnęły go szczęśliwym pomysłem. Statua została wykonaną z takim szlachetnym wyrazem słodyczy na twarzy i wdziękiem wszystkich form, że przyzwani do więzienia sędziowie wpadli w zachwycenie. »Nie, odezwał się z nich jeden, nie może być, ażeby człowiek znamionujący tak idealne uczucia, popełnił zbrodnię, o którą go obwiniają. Musimy zawiesić wykonanie wyroku i sprawdzić process.« Nowe badania wykryły niewinność oskarżonego, który uwolniwszy się tym sposobem z więzienia ofiarował do kościoła N. Panny statuę, której zawdzięczał swoje wybawienie.

Protestanci starannie zachowują wszystkie ozdoby i arcydzieła sztuki katedry swoich ojców, jak trofea epoki, której oni wprawdzie zarzucają błędy religijne, lecz które tém więcej blasku nadają ich racjonalizmowi. Zachowali na-

wet w zakrystyi ornaty, kielichy i inne przybory kościelne, które pokazują podróżnym z uprzejmym zadowoleniem. Z tego względu polecam łaskawej protekcyi pp. członków gdańskiego konsystorza, zakrystyana kościoła N. Panny. Ten człowiek prawdziwie zasługuje na ich współczucie; przytém jest tak gorliwym protestantem, że pokazuje te wszystkie szlachetne relikwije katolickie, jakby jakieś zabytki religii dawno zamierzchłej.

Dzięki czynnym zabiegom rycerzy, którzy nim rządili, Gdańsk ujrzał wznoszące się i inne wspinałe kościoły: tak np. Ś-go Jana z prześlicznym sklepieniem, Ś-tój Katarzyny, który niegdyś swęmi bogatemi donacyami utrzymywał 90 księży, i kościół Ś-tój Anny, bezpłatnie wybudowany przez cech mularzy i cieśli dla zakonu Franciszkanów. Kościół ten w XVII wieku stał się miejscem zapamiętałych starć religijnych lutrów z kalwinami.

Mieszkańcy Gdańska dobrzeby zrobili, zachowując te piękne budowle przed zniszczeniem czasu, bo nie łatwoby teraz podobne wznieść potrafili. Minęły już te czasy kiedy cały naród łączył się w jedną myśl, dla wzniesienia Bogu jakiejś wielkiej świątyni; gdzie genjuszem jednego architekta, za złoto bogacza, za grosz wdowi, pracą wy-

robnika i za błogosławieństwem kapłana, wznosiły się olbrzymie kolumny, sklepienia, owe statuy apostołów i patryarchów, i jak obraz jednej wiary, jednego gorącego westchnienia z pośród cieniów miasta, wlatywały do światła niebieskiego. Gdańsk już dziś bodaj nie ma rodziny owych patrycyuszów, które niegdyś z łątwością poświęcały część swojego bogactwa na takowe religijne dzieła.

Wojny Polaków, których nieszczęścia dotykały też i to miasto, współzawodnictwo i wzrost miast Nadbałtyckich i z nad morza Północnego, odkrycie przylądku Dobrej Nadziei, które zmieniło warunki ówczesnego handlu, nakoniec wzniesienie się potęgi morskiej Anglii, Francyi i Stanów Zjednoczonych, wszystko to przyczyniło się do zmniejszenia bogactwa i ludności Gdańska. W początku XVII wieku liczyło ono jeszcze do 80,000 ludności, 1793 r. już tylko 37,000, a w 1814 po siedmioletniem zajęciu go przez wojska francuzkie, jakowych nieszczęść żadnemu Józefowi nie udało się przewidzieć—już tylko 32,000 głów. Wprawdzie jeszcze po tych uciskach miasto odżyło; lecz dowodem chwiejących się jego losów jest to: że liczba mieszkańców jego wynosząca w 1846 r. do 60,000, spadła w 1854 na 58,000. Ma ono 100 okrętów niewielki biorących ładunek — i corocznie za-

wija do jego portu 1,300 statków średniej wielkości. Wiele przedmiotów handlu zostało mu odebranych, a pozostały powoli tylko te, które zapewnione już samą pozycją geograficzną, to jest przywóz i odprawienie drzewa i zboża z Polski.

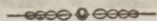
Drzewo Polski poszukiwane jest dla budowy okrętów, a mianowicie pokładów. Ma ono niepospolitą giętkość, która je czyni pożądanyszem niż drzewo Norwegii, a nawet muszę wyznać iż lepsze jest od cennego drzewa z wyżyn Jura. Szczególnie ciekawy jest sposób spławiania tego drzewa. Na brzegach Wisły, w głębi Polski zbijają ogromne tratwy z belek od 60 do 70, a nawet i do 80 stóp długości. Na pierwszym pomoście takowych, kładną drugi poprzecznie, później trzeci znowu wzdłuż dalej czwarty, a nawet czasem i piąty; na tym ostatnim dopiero składają rzędem worki ze zbożem. Dwódziestu ludzi płynie na tym ogromnym ruchomym stosie z wodą, prawie nie dotykając wiosel chyba tylko dla kierowania. Po kilku tygodniowej podróży, ludzie ci wylądowują w Gdańsku w stanie opłakanym; wychudli, bladzi, odziani w oponcze lub w to tylko nie-raz, co nieubliża prawom przyzwoitości. W czasie całej swój podróży żyli na odkrytém powie-

trzu i usypiali na swoich workach, bez żadnego przykrycia od dészczu i słyoty. Właściciel tratw daje dla każdego z nich tylko po pięć lub sześć talarów całego wynagrodzenia i zapas jęczmienia, który oni sobie gotują zrana i wieczorem. Lecz zaledwie spełnili swoją missyę to jest oddali ładunek na miejsce przeznaczone, natychmiast oddają się wszystkim możebnym zabawom za swoje 6 talarów. Sprawują ogromną ucztę, zapijając niesłychaną ilość piwa; zapalają cygara jak *Dandy* i każą sobie podawać wódkę złotą (1), jak panowie. W jednym dniu popolicie pozbywają się tych grubych szkaradnych talarów, które im ciążyły — i jeśli przypadkiem zostanie im kilka groszy to je oddają pierwszemu napotkanemu żebrakowi. Pozbywszy się w ten sposób ciężaru pieniężnego, zadowoleni, że tak prędko zrobili zeń dobry użytek, niebaczni na jutro, powracają cifiłozofowie ładem do kraju, już żebrując po drodze, albo zatrzymując się w jakiejś wiosce dla zarobku, który znowu dalej wesoło prze hulają. Niektórzy bawią się w ten sposób po kilka miesięcy w podróży, zanim wrócą do swojej chałupki; a wkońcu powróciwszy znowu siada-

(1) Goldenes Wasser, wódka gdańska.

ją na płyty jak tylko się zręczność po temu nadarzy, i tak powtarzają podobne wyprawy dopóki tylko siły im służą.

Sądząc z położenia i rodzaju handlu, wnosić wypada, iż Gdańsk ma ważne stosunki z Rosyją; lecz zdaje się, że losy skazały go cierpieć w walkach, które mu są zupełnie obce—i podczas ostatniej wojny, dwuletnie blisko zamknięcie portów Rosyi, przyniosło temu miastu niepowetowane straty.



II.

Klasztor w Oliwie.

Trudno sobie przedstawić powaby krajów Północy, jeśli się ich nie zwiedzało. Mieszkańcy Południa dziś jeszcze mają o nich wyobrażenie jako ostro-
nach posępnych i dzikich, wydziedziczonych z piękności natury, z wiecznie zamgloném niebem i pustoszonych przez burze. Doszedłem aż do ostatnich krańców téj strefy zimowej, wdrapałem się na ogołoczone wyżyny Dovru i Północnego przylądku, co jak czarny obelisk wznosi się po nad burzliwym Oceanem; dosiłem aż do ostatnich pokładów śniegu Szpitzberga, i ujrzałem te góry lodu co pływają po morzu i napadają okręta jak olbrzymy bieguna. Przed nami ciągnęły się lodowiska,

wieczysta przegroda, której przejść jeszcze nikt się nie ważył, żaden wzrok nie przeniknął ich głębi. Dwa razy próbowałem opisywać te straszne obrazy; lecz jeszcze dostatecznie nie dałem poznać ich przerażającej piękności. Jestem pewny, że żaden Marsylczyk nie porzuci swojej zagrody, swoich drzew oliwnych i nie uda się podziwiać widowiska zimowych nocy pod biegunem, nawet gdybym mu i opisał, jakim blaskiem świecą niekiedy te noce, gdy księżyc rzuci swe światło na zwierciadła rzek i jezior, gdy zarówno jak na niebieskiem sklepieniu gwiazdy, tak na ziemi tysiące iskierek śniegowych świeci się jak brylanty, albo gdy wśród najciemniejszej nocy, jaśnieje *zorza północna*, co rozwija się w powietrzu jak wstęga tęczowa, co wytryska fejerwerkiem lub zabawi oko kalejdoskopem widoków lub jak słońce zapali widnokrąg.

Lecz i na brzegach Danii w Norwegii i Szwecyi znajdują się piękne doliny, wzgórza i miejsca malownicze również zielone i zachwycające jak w Pyreneach, w Szwajcaryi, a nawet we Franche-Comté. Tam w kilka dni po zniknięciu długiej zimy, wszystko się odmienia jak za pomocą laseczki magicznej. Wysokie jodły zrzucają śnieg co ich szerokie gałęzie okrywał, jak wełniany płaszcz strudzone barki starca. Na zieleniejącem polu u-

kazuje się zawilec i białe dzwoneczki, które zdają się ogłaszać powrót wiosny. Wody jezior i rzek szumią wesoło, jakby z radości, że odzyskały swą wolność i jakby przyjaznym i wdzięcznym szmerem dziękowały wonnym mchom okrywającym ich brzegi, zielonym wierzbom płócącym w nich swoje warkocze i dzikim kwiatom odbijającym się w ich kryształach. Jaskółka po długiej podróży wraca do swego gniazdeczka, które zostawiła ostatniej jesieni pod strzechą; czerwono-pióre trznadłe, co zimą przychodziły pod okna jak żebraczki, którym dzieci wyrzuciły czasami trochę ziarenek, teraz swym śpiewem żegnają ów domek gościnny, bo odlecą na wiosnę pod listki sąsiedniego lasu. Wieśniak zaczyna nowe życie. Owce wychodzą na pastwiska, jałówki i młode źrebięta wyskakują swobodnie po trawie, chłopcy probują narzędzi rolniczych, przysposobionych przez zimę, a dziewczęta rozwijają na trawie długie pasy płótna, które wytkwały w długie wieczory. Słońce zjawia się od razu w całym swym blasku i obudza ciepło jakby chciało wynagrodzić stracony czas długiego powolnego działania przez zimę; wkrótce następują przecudne noce letnie, których wspaniałe opisy zostawił nam znakomity *de Maistre*, i których łagodnego światła mogą pozazdrościć przepyszne zwrótnikowe noce. To nie są wcale noce, ale

dnie bez przerwy, ze światłem cokolwiek umiarkowaném ku wieczorowi przez lekki cień, podobny do przezroczystej gazy, promieniejącej o północy jak bezmglista zorza, albo zmrok pogodny.

W takich to dniach i miejscach potrzeba czytać Skandynawskich poetów, ażeby zrozumieć ich piękne ustępy. We Włoszech, prócz kilku elegij Pindemonta, kilku stronic z Ugo Foscola, w Hiszpanii, prócz *Noche serena* L. Leona i kilku strof z nowszych poetów, nie znam nic, coby pokazywało prawdziwe poczucie piękności natury. We Francyi, piérwszy raz postrzegłem takowe uczucie w pismach Chateaubriand'a, u Anglików łączy się ono z poezją życia domowego, w dziełach Cooper'a, Burns'a, Crabbe i Wordsworth; a u Niemców jest ono po większej części żywiołem liryki nowoczesnej. Lecz podług mnie, nigdzie się nie okazuje z takim serdeczném oddaniem się, i z tak naiwnym wzruszeniem jak u poetów Północy. Widać, że ci ostatni studyowali przyrodę nie z książek i nie uczyli się z rétoryki układać jakieś półwiersze o piękności łąk i szmerze wód. Oni kochają naturę, napawają się rozmaitością jój obrazów, przenikają w jój żałobę i cieszą się jój uroczystością; a ich wiersze nadewszystko: Runeberga, Tegnera, Wallina, Atterboma, i niektóre Geüera, są to pie-

śni duszy harmonijnie połączone ze śpiewem pola i lasów.

W takich to stronach zrozumiemy lepiej owe starożytne legendy, które tłumaczyły ludom Północy rozmaite zadziwiające zjawiska; ową mitologję, która magicznymi istotami zaludniała wodospady, głębie lasów i pieczary gór; ów niewinny panteizm, który przez myryady istot bajecznych sięgał wszelako prawdziwych pryncypiów religii.

Gdańsk leży prawie w tymże samym stopniu szerokości co i południowy koniec Szwecyi— i kiedyś zwiedzał okolice tego miasta, żywo się mi przypominały wybrzeża Skanii, jej zielone łąki, pola i drzewa porozrzucane w desenie angielskiego parku, jej obszerne włościańskie domy, wspaniałe wille poetycznie obrócone na wschód ku stronie najbardziej malowniczej, i te wzgórza na kilkaset stóp wysokie, które wyglądają jak wyniosłe szczyty na wybrzeżu pochyloném ku powierzchni morza. Rozkopując ziemię, możeby jeszcze znaleziono, podobnie jak na brzegach Szwecyi, grobowce pierwotnych mieszkańców tych krajów, ślady dzikiego pogaństwa, które jeszcze w XI wieku stawiało tam swoje krwawe ołtarze.

Pośród tej wdzięcznej panoramy, na pochyłości pięknego wzgórza, w odległości jednej mili od mo-

rza, wznoszą się ostre wieżycy klasztoru *Oliwy*, najdawniejszego przytułku pierwszych chrześcijan w tym kraju, pierwszy kościół, z którego słowo Ewangelii, przeniknęło serca barbarzyńskiego ludu z wonną czystością cnót chrześcijańskich i ze krwią męczenników.

W 997 roku, Ś. Wojciech, ożywiony świętobliwym zapałem prozelityzmu, porzucił biskupstwo w Pradze i udał się z narażeniem życia, opowiadać słowo Boże na brzegach Bałtyku. Zatrzymał się on w Gdańsku, które podówczas było lichą miejsciną; rybaków uczył i chrztu im udzielał. Zbawienne nasiona jego nauki padały na serca biednych marynarzy, jak pocieszająca wieść dla pasterzy w Betlejem. Z pomnożoną przez pierwsze powodzenie gorliwością, Ś-ty Wojciech ruszył odważnie w dalszą pielgrzymkę. Niedaleko od Gdańska znajdowało się miejsce w lesie, poświęcone bożyszczom pruskim, dostępne samym tylko kapłanom. Tam przyszedłszy usnął znużony, i napadnięty przez pogan został zamordowany. Dowiedziawszy się o tym Bolesław Chrobry król Polski, zażądał zwrotu zwłok tego Świętego. Lecz Prusacy, sądząc ze stopnia nalegania Bolesława o wartości tych relikwii, oświadczyli iż nie wydadzą zwłok inaczéj jak na wagę złota. Bolesław przystał i na to. Lecz gdy ciało położyli na jednej, a złoto na drugiej

szali, niemogli żadnym sposobem utrzymać równowagi. Złoto królewskie, niemogło wcale nachylić szali. Posłowie polscy chcieli już powrócić do kraju dla przywiezienia daleko znaczniejszej summy, gdy jakaś biedna staruszka, która towarzyszyła im w podróży, wydobywszy ze swjej odzieży drobniutką monetę, położyła ją na szali obok królewskiego złota. Była to religijna ofiara wdowiego grosza, owoc cnotliwej i mozolnej jej pracy. Natychmiast szala złota, co dotąd jeszcze kołysała się w powietrzu, zrównała się z drugą, na której złożone było ciało — i wówczas Polacy zabrawszy zwłoki Ś-go Wojciecha, do Gniezna je przewieźli.

Mimo gorliwości missyonarzy i wpływu ich cnót wzorowych, w XII jeszcze wieku dzicy mieszkańcy brzegów Bałtyku nie wszyscy byli uchylili czoła przed powagą Ewangelii. Dla łatwiejszego ich nawrócenia, Wratysław II założył w 1163 roku klasztor zakonu Ś. Benedykta w Kolbatz niedaleko Stargardu. W kilka lat później, gromadki zakonników wychodziły ztamtąd jak pszczoły ze swych ulów, i wędrując na wschód Pomorza, podtrzymywały prace swoich współbraci rozpoczęte na drugim krańcu tejże prowincyi. Odważni ci emigranci zatrzymali się przy ujściu Wisły, gdzie zapamiętałe pogaństwo ludu rozgrzewało ich zapal. Był tam już jakiś książe nawrócony, który

wziął ich w swoją opiekę i kazał im zbudować klasztor z kościołem. Niektóre kroniki przypisują tę fundację Subisławowi I, a inne synowi jego Samborowi; lecz to wymaga stwierdzenia. Pewnym jest wszelako iż ten klasztor zbudowano w 1170 lub 1178 r. Zakonnicy odrysowali na szczycie swój kaplicy gałązkę drzewa oliwnego i miejsce to nazwali *Mons Olivarum*. Dla nich była to istna góra Oliwna gdzie za przykładem swojego Boskiego Mistrza, musieli się modlić, czuwać i cierpieć.

Przez cały prawie wiek, dzieje zgromadzenia w Oliwie są dziejami jego męczeństwa. Mało klasztorów miało takie smutne przejścia i znosiło tyle nieszczęść. Nauka Chrystusa rozkrzewiana w okręgu poza klasztornym nie wystarczała dla działalności tych gorliwych misjonarzy. Jeden z ich Opatów Krystyan, chciał przejść na drugą stronę Wisły i opowiadać tam Ewangelię; lecz jego śmiałe przedsięwzięcie obudziło wściekłość tych, którym miał dać poznać słowa miłosierdzia. Tysiące pogan podburzonych przez swych kapłanów przeszli Wisłę, która ich oddzielała od ołtarza prawdziwego Boga, rzucili się ku górze Oliwy, spalili wszystkie zabudowania i pomordowali lub zamęczyli jej mieszkańców. Swiatopełk synowiec Sambora, wznosił z ruin zniszczone mury. Grze-

gorz IX przyjął ten zakład pod protekcję S-go Piotra i stolicy Apostolskiej. Lecz w dziesięć lat później (1234) bandy Prussaków napadają znówu klasztor, burzą, rujnują i zabijają dziesięciu zakonników i dwódziestu czterech żołnierzy, którym książę powierzył strzeżenie opactwa.

Wojny Swiatopółka i rycerzy Teutońskich, ściągnęły na Oliwę nowe nieszczęścia. W 1243, w 1247 i 1252 r. klasztor ten był oblężony, zrabowany i w części spalony przez żołnierzy chrześcijańskich.

Po tych latach nieszczęść, przyszedł nakoniec czas długiego spokoju, w którym klasztor Oliwski zubożony znacznemi ofiarami, wspomagany przez lud bogobojny wzniósł się do wysokiego stopnia powodzenia. Książęta mniejszego Pomorza, którzy mieli swą rezydencję w Gdańsku zdawali się odziedziczać jeden po drugim, wraz z posiadłościami, współczucie i uszanowanie dla klasztoru. Odwiedzając go często, zapisywali się w liczbę dobroczyńców i każdy z nich życzył być pogrzebionym w jego podziemiach. Zapisem 1235 roku Swiatopelk, przypomniawszy dobrodziejstwa swego ojca, wuja i braci świadczone dla klasztoru, zapisał mu kilka wsi, i inadał prawo żeglugi i

łowienia ryby na Wiśle i po brzegach morza. Mestwin II syn Światopółka przymnożył przywiléje, a jeden z jego następców, prócz tego, jeszcze dozwolił zbierać bursztyn, po który niegdyś Fenicyanie przybywali ze swych odległych krajów; a zalotne patrycyuszki Rzymu robiły zeń kolije lub bransolety, płacąc ogromne pieniądze Fenicyanom. Owidyusz powiada, że bursztyn powstaje z łez wylanych przez siostry Faetona; a Skandynawi, w swych poetycznych baśniach wyprawdzają go od łez bogini Frei. Lubo rycerze Krzyża, zawojowawszy prowincye, do których byli przyzwani przeciwko poganom, znacznie się przyczynili do podniesienia klasztoru w Oliwie, nie mogli go jednak zasłonić od napaści Hussytów, którzy w 1433, po wielu bezowocnych próbach owładnięcia Gdańskiem, ze wściekłością rzucili się na spokojne opactwa i zniszczyli je ogniem.

Lecz zaledwie klasztor ze swych gruzów wznosić się począł, Prussy zachodnie odstąpiły Krzyżaków i poddały się władzy Polaków, których wojaska zalały wsié klasztorne i niesfornością zatrwożyły biednych zakonników. Odtąd losy tego klasztoru połączone są z losami Polski, która przez wady swych instytucyj chyląc się do upadku płatała wszystkich co się z nią łączyli w klęski i wstrząśnienia swoje.

Gdy w 1574 r. Henryk III powrócił do Francji, zostawując obcy dla siebie elekcyjny tron arystokratycznej Rzeczypospolitej, innym swym współzawodnikom,—wówczas Gdańsk połączył się z partją Maxymilijana Austryackiego; Oliwa zaś podtrzymała kandydaturę Stefana Batorego. We cztery lata potem wojsko Polskie wstąpiło w mury klasztoru. Magistrat Gdańska, który jeszcze nie przyznał władzy Stefana, zatrwożył się sąsiedztwem jego wojska. Zapobiegając mniemanym napadom, mieszczanie porwali się do broni, opanowali klasztor, zrabowali i zniszczyli ogniem. Przełożony umknął na łódce rybackiej i kilku jeszcze zakonników ocalało takimże sposobem; inni zaś padli ofiarą zapalczywości rozhukanej tłuszczy. Nazajutrz po tym bohaterskim czynie społeczeństwo Gdańska rzuciło się mężnie podsycać pożar murów klasztoru, i podkopując pod jego płonącymi ścianami ogromne miny, napawało się widokiem zniszczenia. Nadto rada Magistratu w nierozmyślnym zapedzie również dozwoliła wycinać lasy klasztoru, z warunkiem oddania miastu piątej części swój zdobyczy. Po dziesięciomiesięcznej walce, Stefan Batory zmusił Gdańsk do poddania się i zapłacenia 20,000 złotych za szkody przyczynione klasztorowi przez zawziętych mieszczan.

Z tój summy prócz tego z ofiar królewskich i wielu znakomitych familij, klasztor jeszcze raz odbudował swe mury. Lecz pod panowaniem Zygmunta III nowa wojna wybuchła pomiędzy Szwecyą i Polską i trwała z niewielkiemi przestankami przez 60 przeszło lat (1599 do 1660) i znowu klasztor w Oliwie stał się ofiarą zawziętości stron wojujących. Trzy razy zdobywali go Szwedzi, zrabowali i złupili okup — ostatni raz pod dowództwem jenerała Stenbocka, który upodobawszy to miejsce został tam ze swymi dragonami przez cały prawie rok.

Pokoj, którym się zakończyła ta wojna dostał nazwę od tego miejsca. Na początku 1660 roku pełnomocnicy Szwecyi i Polski przybyli do Oliwy dla ułożenia warunków zgody, którą wymagania obydwóch mocarstw czyniły trudną do załatwienia. Jan Kazimierz, który przed wstąpieniem na tron nosił sutanę duchowną i suknię kardynała wzdychał do pokoju (1). Francya, Brandeburgia i Austria, których ta wojna mało

(1) Jest to ten sam potomek Wazów, który później połączył swój dziwaczny los z bardziej jeszcze oryginalnym losem prostój wyrobniicy. W 1668 roku po abdykacyi wyjechał on do Francyi, gdzie mu

obchodzić mogła, także oczekiwały jęj końca i w przychylnych zamiarach wysłały także swoich agentów do Oliwy. Lecz pomimo szczęrych chęci Kazimierza, mimo usilności państw pośredniczych i czynnej interwencji Francuzkiego posła *de Lombres*, traktowanie przeciągnęło się kilka miesięcy. Nareszecie w nocy z 2 na 3 maja, ostatnia trudność została rozstrzygnięta i pokój podpisany. W nocy tęg przełożony klasztoru kazał w kościele pozapalać świece i śpiewano *Te Deum*, poczem natychmiast wysłano do Gdańska z oznajmieniem o tęg wesołej nowinie. I słynny ten klasztor przez szczęśliwie zawarty pokój, uświetnił nazwisko, które mu założyciele nadali. Zapamiętałość dwóch mocarzy i walki ludów zagasty pod cieniem gałazki *Oliwnęj*.

Lecz Polska, ofiara ciągłych rozruchow, które wróżą rozkładanie się i upadek mocarstw, miała już tylko jedno szczęśliwe panowanie Jana Sobieskiego— i *Oliwa* padła razem z rozbiorem Polski. W 1772, przy jęg pierwszym podziale, król

Ludwik XVI dał Opactwo Saint-Germain des Prés— i ożenił się z Maryją Mignot, piękną praczką, która przedtęm miała szczęście być żoną radcy parlamentu, a późnięj marszałka de L'Hôpital.

Pruski Fryderyk II, wszedł w posiadanie prowincyi, w której znajdował się klasztor. Jednym pociągnięciem pióra skassował on wszystkie przywileje zakonu, zawładnął dobrami i nazaczył mu roczną pensyę. Z wysokości swój dawniej powagi, klasztor katolicki zszedł do stanu zakładu tolerowanego przez protestanckiego księcia i opłacanego przez jego skarbnika. Wegetował w takim stanie aż do dnia, w którym podobało się pruskiemu ministrom przypomnieć, że już żył za długo. W 1831 r. został skassowany prostym ministeryalnem rozporządzeniem. Pierwszym onego opatem był ubogi, nieznanym zakonnik z Kolbatz, a ostatnim — książę Hohenzollern, biskup Ermelandu.

Tym sposobem zakończyło swój sześciowiekowy byt zakonne zgromadzenie, które zajmuje szlachetne miejsce w dziejach chrześcijaństwa Północy. Zakładając pierwsze kamienie swego kościoła na brzegach Wisły, zgromadzenie już przez to samo narażało się na niebezpieczeństwa; z tém wszystkiem, odbywało ono włożoną na się missyę z niezachwianą odwagą. Zaszczepiało Ewangeliją przez opowiadania i własne cnoty; wyznawało swoją wiarę z bohaterstwem i utrzymywało swoją budowę krwią męczenników. Wystawione na srobie ciosy nieprzyjaciół prawie bez żadnej obrony,

zdawało się, że już ginęło, i znowu powstawało ożywione nowym zapałem i gotowe do nowych nieszczęść. Jego mury spalone, odnawiały się cudownym sposobem, jego błagalne śpiewy rozlegały się pod sklepieniami kościoła; a jego kapłani przemawiali braterskim słowem do tych, którzy ich ciemnili i podawali dłoń tym, którzy ich mordowali.

Z postępem wieków nie ustawało ono na chwilę w wierności swojemu apostołstwu. W XII wieku zakon ten nawracał pogan do chrześcijaństwa; w XVI, zachował ich następców od protestantyzmu. Wówczas gdy naokoło rozlegały się namiętne krzyki nowatorów, kazania zapalonych uczniów Lutra i Kalwina, bogobojne zgromadzenie pielęgnowało w spokoju swoją trzódkę pobożną. Zarówno z rozgłaszaniem słowa Bożego, rozszerzało ono i światło wiedzy. Od XVIII wieku istniała w klasztorze Oliwy drukarnia, z której wyszło do pięćdziesięciu dzieł in folio i in octavo po łacinie, i kilka po polsku. Znajdowała się tam i bogata biblioteka ze znakomitym zbiorem najważniejszych dokumentów dotyczących się historii kraju, oraz dzieł naukowych, głośniejszych w piśmieniu niemieckim, francuzkiem, polskim i hiszpańskim. (1).

(1) W 1807 r. książę Hohenzollern, lękając się ażeby ta

Książę Hohenzollern, uważający za słuszną połączyc z tytułem biskupim godność przełożonego klasztoru Oliwy, zbudował tam pałac i założył obszerny ogród. Po jego śmierci król Pruski odkupił to miejsce. Część dawniejszych przyległości klasztoru została zniszczona, a druga część zajęta na wiejską szkółkę. Wyższe piętro głównej części klasztoru, jeszcze w 1789 r. zamieszkane było przez 40 mnichów. Dziś exystuje jeszcze proboszcz i dwóch wikaryuszów parafii katolickiej w Oliwie, która w sąsiednich wioskach liczy do 4,500 dusz. Kościół, którego założenie sięga XII wieku, był zbudowany bardzo trwale, bo dziś pomimo tylu zniszczeń, zachował swoją pierwotną piękność. Jest to wspinały gmach gotycki z skrzydłami pobocznymi. Czterdzieści kaplic ozdabia jego nawy. Niestety, kaplice i główny ołtarz są zbyt wyszukanego stylu, zupełnie niewłaściwego surowej powadze starożytniej świątyni.

Jeszcze na ścianach klasztoru widać portrety opatów i książąt Pomorza, którzy się ubiegali o zaszczytne miano dobrodziejów zakonu. Jeszcze

biblioteka nie była zrabowaną przez Francuzów, kazał z niej wynieść najlepszą część zbiorów. W 1831 po zniesieniu klasztoru, zostało tam jeszcze 6000 tomów, 545 rękopismów, i 209 rozmaitych dyplomów.

sklepienia refektarza i sali obrad wspierają się na olbrzymich kolumnach — a sala w której podpisany został ów sławny traktat zachowała się w całej swój prostocie. Ale te sale już są zupełnie puste i korytarze słyszą dziś tylko stapania zwiedzających i przewodniczącego im zakrystyana. Tam gdzie było tyle serc szlachetnych, gdzie noc i dzień śpiewano religijne psalmy, — tam dziś głęboki spokój. Zakonnicy, chociaż wygnani z kościoła przez burze rewolucyi, jednak aż do ostatniej chwili mieli schronienie w swém świętém mieszkaniu. Poumierali w tych samych celach gdzie żyli, i pogrzebieni o kilka kroków od nich pod gałązką Oliwną swojego symbolicznego drzewa.

Dalój od klasztoru, znalazłem już ruch, życie, pola ożywione grupami żniwiarzy, drogi poorane wózkiem rolnika, drwala, albo fiakrow z Gdańska, którzy co dnia przywożą tłumy spacerujących. Śmiechy i śpiewy, wesoło rozlegają się w powietrzu. Zakrystyan, który mi służył za przewodnika, odszedł z kluczami do swego wiejskiego mieszkania; kościół był zamknięty; pytałem samego siebie, czy też pomiędzy tymi, którzy w téj chwili używają żywności i płodowitości tych niw bogatych, piękności tych drzew, jest li choć jeden co by zastanowił się nad tém, że z tych sa-

motnych murów powstał ów duch zbawienny, co wykarczował te ziemie, pootwierał drogi i pobudował sioła.

Kazałem zaprowadzić siebie na brzeg morza— i wszedłem na szczyt nadbrzeżnej wieży, która wskazuje okrętom wejście do portu Gdańska. Ztamtąd wzrok mój, sięgając lasów i dzwonnice klasztoru Oliwy, błąkał się na otaczającej obszerniej równinie, na zatoce i okopach Gdańska, aż nim zatrzymał się na morzu Bałtyckim, którego widok obudzał we mnie tyle odległych wspomnień! Poczciwa stara strażniczka wieży, która w nieobecności swego męża zmuszona była mi towarzyszyć, ujrzawszy mnie wspartego w zamysleniu na balustradzie z okiem zwróconym na horyzont, zbliżyła się do mnie i rzekła: »Jakże się pan w morze zapatrzył! Czy nie widać tam jakiego okrętu, który pana niepokoi?—Tak, odrzekłem do siebie, jest tam okręt mojej młodości; ale żadne towarzystwo ubezpieczeń nie opłaci jego ładunku, i nigdy on już nie powróci.«



III.

Marienburg.

Dziesięć minut drogi od Gdańska, na rozległej dolinie, skrapianej Wisłą i Nogatem, wznosi się Marienburg, miasto niegdyś tak znakomite, a dziś zaledwie do podrzędniejszych miast pruskich zaliczone. Nad niskimi domami kupców, przewoźników, na brzegach bystrego Nogatu z daleka widać mury i wieżycę zamku na zawsze pamiętnego, zniszczonego przez nielitościwą rękę czasu i jeszcze okrutniejszych ludzi, a wkońcu odbudowanego przez szlachetne stowarzyszenie. Jest to ten sam zamek, co przez półtora wieku był siedliskiem władzy religijnej, rozgałęzionej później aż do ostatnich krańców po-

łudniowej Europy, przybytkiem katolicyzmu, szkołą cywilizacji dla barbarzyńskiego kraju, który miał dać swoje nazwisko margrabstwu Brandeburskiemu i królestwu Fryderyka W. Tam od roku 1309 aż do 1460 zamieszkali wielcy mistrzowie zakonu Teutonów, którzy, spełniwszy swoje posłannictwo na Wschodzie, zbudowali tam twierdzę chrześcijańską, przeciwko pogaństwu Północy, jak niegdyś rycerze S. Jana zbudowali takową nad morzem Śródziemnym przeciwko muzułmanom. Marienburg był ich ostatnią zbrojownią ich wyspą Rhodus i Malta. Tam rozwinęły się dzieła ich męstwa, cnót, nauki zbawienniej, i tam w śmiertelnych klęskach ich sława.

Odwiedzałem Marienburg z uczuciem głębokiego uszanowania. Strona, którą przejeżdżałem, była smutną, zniszczoną nawodnieniem; powoz z Dirschau na półowie drogi zamienił się na łódkę. Okoliczni mieszkańcy zasmuceni stratami, zajmowali się poprawieniem tamy; a mnie co najrychlej potrzeba było zobaczyć zamek. W chwili gdy się wstępuje w jego część odnowioną, już się zapomina o wszystkich kłopotach zwyczajnego życia. Znikają one jak cienie przed wspaniałym obrazem przeszłości, przed tą uroczystą tradycją, która swym majestatem podbija umysł, bohaterską swą

kartą zapala wyobraźnię i nauką chrześcijańską roztkliwia serce.

Jakież to rycerskie epos, którego zamek ten jest ogniskiem! Ileż to w sześciowiekowej przestrzeni czasu, przywiązano wspomnień do tych murów nieskruszoném ogniwem! A żeby zrozumieć znaczenie Marienburga, czyż nie należy sięgnąć w odleglejszą przeszłość do jego założenia,—w początki Zakonu, który tam zatknął swoją chorągiew? Taki też jest mój zamiar. Jeśli mam tylko jednego *cicerone*, który mię oprowadza po galeriach zamku, to znajdzie się wielu innych, którzy mi odkryją jego dzieje, jako to: znakomite prace Wal'a, który sam był rycerzem zakonu Teutońskiego, uczonego Voigt'a, Weber'a i Schlözer'a. (1).

Po zdobyciu Jeruzalem w pierwszej krucyacie,

(1) Histoire de l'ordre Teutonique par un chevalier de l'ordre; 8 vol. in 8. Paris, 1784.

I. Voigt, Geschichte Preussen's von den ältesten Zeiten bis zum Untergange des deutschen Orden's. Königsberg, 1827 6 vol. in 8.

I. Voigt, Geschichte Marienburgs. Königsberg 1824. 1 vol. in 8.

C. I. Weber, Das Ritter-Wesen, 3 vol. in 8. 3 Aufträge Stutgardt 1837.

K. v. Schlötzer, Die Hansa und der deutsche Ritter Orden 2 vol. in 8. Berlin 1851.

pewien bogaty Niemiec osiadł w tém mieście; lecz nie dla założenia rękodzielni lub handlu, jakby to z pewnością uczynił Amerykanin lub Anglik za naszych czasów, ale dla tego iżby dopełniać dobre uczynki i rozpamiętywać przy miejscach świętych. Człowiek ten w wysokim stopniu posiadał cnotę Ś. Pawła, miłość bliźniego. Uczuł on głębokie politowanie, na widok swoich ziomków, pielgrzymów i krzyżowników, którzy nie należąc do założycieli zakonu S. Jana i Templaryuszów, ani też do Franków, z trudnością znajdowali pomoc w swoim opuszczeniu. Poczciwy Niemiec z chęcią im dopomagał: biednym dawał pieniądze, a chorych w dom swój przyjmował. Lecz gdy liczba takowych była już znaczną, wówczas pobudował szpital i tam razem ze swą żoną opatrywał chorych i dawał im lekarstwa. Dzieje, wyliczając tyle imion niegodnych zapomniały wspomnieć o tych dwóch szlachetnych uczniach Ewangelii. Nie wiedzą nawet z kąd pochodzili; i nie wzniosą im pomnika w rodzinném mieście, w którém zapewna błyszczą pomniki jakiegoś burzliwego jenerała lub próżnego autora. Z tego to prostego i skromnego zakładu powstał zakon Teutońskich rycerzy, jak z nieznanego małego źródła wypływa nieraz ogromna rzeka. Książęta i rycerze, zachęceni tym pięknym przykładem bogobojnej pary, zaczęli ją naśladować, i zna-

lazło się wielu takich, którzy poświęcili swe usługi biednym. Przybywszy do Palestyny dla zawojowania niewiernych, nietylko, że nie wyrzekli się imienia wojowników, ale jeszcze przyjęli drugie powołanie. W chwilach wolnych od walki usiadali przy łożku chorego, a gdy zmuszeni byli przywdziać broń, wówczas silniejsi dosiadali konia, a starce i słabsi zajmowali się usługą w szpitalu. Bogobojne to stowarzyszenie, od samego początku zawiązało się pod wezwaniem N. Panny, a ci którzy przyjęli w niem udział, nazwali się rycerzami Maryi. Zakon ich wszakże ledwie w 1190 roku ustanowiony został; lecz założenie jego w rzeczywistości sięga o pół wieku naprzód.

Po utracie Jeruzalem w 1187 roku, świątobliwe dzieło zaczęte w stolicy Gotfryda Bouillon przez obywatela niemieckiego, kontynuowali przewoźnicy w Saint Jean d'Acree. Zakon Teutoński, który później ozdobił się tyłą królewskimi herbami, wychodził z wnętrza ludu, jak rozłożysty dąb wyrasta z momego gruntu.

Zarazliwe choroby ukazały się w nieszczęsnym obozie krzyżowców, wstrzymywanych z jednej strony licznemi załogami, a z drugiej obsoczonych i głodzonych przez Saladyna. Królowa Sybilla, żona Lusignan'a, umarła tam wraz z czterema swoimi synami i wielką liczbą walecznych żołnierzy. Wtedy mary-

narze z Bremen i Lubeki z żagłów swoich okrętów porobili namioty i umieściwszy pod niemi i chorych z braterską opatrywali ich starannością, wzywając razem do skuteczniejszej pomocy wszystkich miłosiernych i wiernych chrześcijan. Dzielni ci ludzie w zapale gorliwości, zapobiegali wszystkim potrzebom, budując szpitale na świeżem powietrzu, obmyślając posłanie, żebrząc i posługując. Taka gorliwość wzbudziła naśladowców. Obok nich powstało nowe stowarzyszenie szlachty, które wkrótce połączyło się z Jerozolimskiem i tym sposobem złożył się pierwiastek rycerskiego legionu, który jednocząc po części w sobie zasady początkowe Templaryuszów i Zakonu Świętego Jana; miał być razem i obozem wojującym z niewiernymi, i klasztorem dla modlących się i szpitalem dla chorych.

Nowy zakon złożony z samych magnatów, księży, szlachty i mieszczan niemieckich, przyjął nazwę zakonu Niemieckiego. Książę Szwabii Fryderyk, brat cesarza Henryka, wziął go pod swoją opiekę; a papież Celestyn III nadał tej nowej milicyi apostolskiej udzielny statut, też same przywileje co posiadał zakon Templaryuszów i Ś. Jana, oraz prawo na dobra zawojowane w krajach pogańskich.

Miasto Bremen przyswaja sobie założenie za-

konu. Jeśli mu się całkowiec takowy zaszczyt nie należy, to przynajmniej zarówno z Lubeką zasługuje na większą część onego.

Długo jeszcze po założeniu tego zakonu, rycerze Niemieccy modlili się za spokoj dusz założycieli, księcia Fryderyka Szwabskiego, cesarza Henryka jego brata i za obywateli Lubeki i Bremenu.

W tym roku kiedy Papież Celestyn III ogłosił bullę na korzyść nowej korporacji religijnej, krzyżownicy przy dzielnej pomocy Filipa, Augusta i jego zawziętego rywala, Ryszarda Lwie-Serce, zdobyli nakoniec Akrę. Henryk Walpot, pierwszy mistrz zakonu, dostał w posiadanie kawałek ziemi niedaleko okopów, gdzie zbudował dom, szpital i kaplicę. Wal przypisuje Walpotowi arystokratyczne pochodzenie. »Pochodził on, pisze Wal, ze znakomitej familii z nad Renu, która i dziś istnieje.« (1) Inni dziejopisarze sądzą przeciwnie, że to był prosty mieszczanin z Lubeki. Stara kronika, którą Weber cytuje, powiada: *He was von Geborts kein Edelman, averst siner Levens un sinen Dogere na, was he ser edel* (2).«

(1) Histoire de l'ordre Teutonique, t. I p. 57.

(2) Das Ritterwesen t. III p. 13.

(On nie był wcale urodzenia szlchetnego; lecz życie jego i czyny uczyniły go bardzo szlchetnym.)

Następcą jego był Otton Karpen z Bremenu. Nominacye te były oznaką względności dla tych obu miast, co się tak zaszczytnie odznaczyły przy nieszczęśliwym oblężeniu Akry. Od tych obiorów pochodzących z wdzięczności, zakon zszedł w końcu do szukania wsparcia w zwodniczych elekcjach książąt.

Zrodzony w małym domku Jerozolimy, w obozie niszczonej wojną i zarazą, zakon ten wzniósł się raptownie i ze wszech stron obdarzono go nowemi zaszczytami. Teraz jego hurbowna ozdobiona była złotym krzyżem przez króla Jerozolimskiego, — orłem cesarskim przez Fryderyka II — i czwórma lilijami przez Ludwika Świętego. Papież Honoryusz, ofiarował znakomitemu Salza brylantowy pierścień kapłański mający się nosić przez wszystkich z kolei wielkich mistrzów. Tenże sam papież, w jednej ze swych bulli, porównywał rycerzy Teutońskich z nieustraszonymi Machabejczykami; a kardynał de Vitry z owemi cudownemi istotami pół-człowieka, pół-lwa, które Ezechijel widział w swoich snach; (to jest ludzie — w swym dobroczynnym zakładzie, a lwy — na polu bitwy).

W 1209 r. zakon Niemiecki miał już swoje domy w Askalon, Rama, Jaffie, Tyrze, Cezarei i na wyspie Cypr. W 1217 książę Leopold Austryacki dał mu 6,000 marek srebra, dla zakupu nowych posiadłości, które powoli zakon nabył w rozmaitych częściach Europy, jako to: w Niemczech, Anglii, Danii, Polsce, Hiszpanii i we Włoszech. Cesarz Henryk VI zapisał mu wszystkie dobra bogatego religijnego stowarzyszenia w Sycylii, które było przeszło na stronę Tankreda. Król Węgierski, Andrzej II, przyzwawszy zakon na pomoc w wojnie domowej, nadał mu rozległe dobra na granicy Wołoszczyzny. Dwaj bracia, hrabiowie Hohenlohe, przywdziawszy suknię zakonną, wnieśli mu liczne wioski i zamek Mergentheim, który później stał się ostatniem schronieniem mistrzów. Ci bogobojni bracia w akcie donacyjnym wyrazili: *Nudi nudum Christum sequi cupientes, regno mundi et cunctis oblectamentis seculi contemptis*. Jeden obywatel z Utrechtu, nazwiskiem Schweder, który znajdował się przy oblężeniu Damietty, ofiarował szlachetnemu zgromadzeniu inny podarek temi słowy: »Zaciągając się w szeregi chrześcijańskich żołnierzy pod Damiettą, i widząc wielkie wydatki, na które narażeni są bracia zakonu, jak dla opatrzenia chorych, tak też i dla utrzymania wojsk wystawionych przeciw Sa-

racenów, z natchnienia Boskiego, daję im wieś Lankam.« (1) i t. d.

Największa część posiadłości była dana zakonowi za czasów wielkiego mistrza Salza, tych bohaterskich czasów, nazwanych przez Wala złotym wiekiem.

Herman Salza pochodził ze znakomitej rodziny z Turynгии i był w liczbie czterdziestu, którzy składali pierwszy zastęp rycerzy Teutońskich. Przez swoją odwagę został marszałkiem Zakonu. W 1210 roku mianowany wielkim mistrzem i szczęściem dla towarzyszw bronі żył jeszcze lat dwadzieścia dziewięć.

Rycerze Niemieccy od samego początku brali ciągły czynny udział w walkach, które zakrwawiły Syryę. Tak już byli straszliwie gnębieni, iż Salza mawiał, gdybym był pewny, że będę miał przy sobie zawsze dziesięciu zakonników dla wojowania niewiernych, oddałbym chętnie jedne swe oko. Przed samą śmiercią miał już on zawsze 2,000 żołnierzy. Prawidła tego zakonu były bardzo ciężkie, tak iż wielu ze szlachty wyszło z niej i przystąpiło do zakonu Templaryuszów. Niezmieniając wcale głównych zasad reguły, Salza zmiękczył jego prawidła i tym sposobem przyciągnął

(1) Wal, t. I p. 128.

do swego zgromadzenia nowych członków. Przez swoje wpływy, jakie miał w radach mocarzy, nadał zakonowi takie znaczenie, jakiego dotąd wcale nie posiadał i do jakiegoby nigdy bez niego niedoszedł. Dla siebie nic nie żądał i przyjmował największe oznaki dostojenstwa ze szczérą pokorą; lecz jego osobista godność odbijała się na współbraciach, których był mistrzem, a w miarę jak się sam podnosił w opinii krzyżowników, wzrastała i powaga zakonu.

Był on z tych ludzi, którzy wykonywają tylko wielkie dzieła, którzy umieją tworzyć i podtrzymać, i którzy życiem swoim cechują rozwój instytucji albo historii ludu. W innym czasie i na inném polu mógłby on zająć równie świetne miejsce. Z rycerską walecznością krzyżownika, łączył on w sobie pałającą czynność Xymenesa, dyplomatyczne talenta Granvella, i sztukę rządzenia Richelieu'go.

Od dnia, w którym został wielkim mistrzem aż do śmierci, przez 30 lat, imie jego znaduje się we wszystkich ważniejszych sprawach Wschodu i Zachodu, i z przyczyny przyjmowanych na się misyj, był prawie w ciągłych podróżach.

Raz jest on w Egipcie lub Palestynie bijąc się w gronie swych braci, to znowu we Włoszech spełnia ważne zlecenia. Papież Honory III i Fryderyk II obierają go jednoznacznie na sę-

dziego w swych zajściach, i on zręcznie załatwia tę sprawę nie obrażając żadnego. Później gdy Grzegorz IX wyklął tegoż samego Fryderyka za to, że odwlekał swój odjazd na wojnę krzyżową, Salza pojechał błagać papieża o zdjęcie klątwy; a przywiozłszy warunki Fryderykowi, powrócił do Rzymu prosząc o zmiękczenie takowych. Fryderyk powierza mu dowództwo swojej armii, oddaje ośm fortec wymaganych przez Kościół, i on jeden tylko obecnym jest przy rozmowie Fryderyka z papieżem po zawarciu zgody.

W tych burzliwych zatargach, Salza nie omieszkał bronić cesarza. Gdy w 1229 r. Fryderyk weszedł do Jerozolimy, klątwa papieżka ciążyła pod tém miastem, księża nie chcieli wykonywać obrządków religijnych, biskupi odepchnęli wyklętego. Tylko jeden dominikan odważył się mieć mszą na przedmieściu. Nazajutrz po swoim przybyciu, Fryderyk udał się do kościoła Grobu Chrystusa, sam wziął koronę królewską leżącą na ołtarzu i włożył ją na swoją głowę. Wówczas Salza miał francuzką i niemiecką mowę, w której nie uląkł się oddać hołdu nowemu władcy Jerozolimy i potępić srogość duchowieństwa.

Fryderyk miał sobie za zaszczyt okazać swe względy temu, który mu z taką gorliwością i umiejętnością służył, i nadał mu tytuł księcia cesar-

stwa. A dyplomem 1214 roku ogłosił, że ten wielki mistrz i jego następcy będą odtąd uważani jako członkowie dworu cesarskiego, i że ile razy tam przybędą, zawsze przyjęci zostaną z należytą godnością i wiezieni będą z orszakami w sześciokonnym powozie. Taką samą cześć miała być okazywaną i ich delegowanym.

Drugim aktem z roku 1221, Fryderyk ogłosił przyjęcie zakonu Teutońskiego pod swoją protekcję z całą jego służbą z ruchomymi i nieruchomymi dobrami jakie miał lub mógł mieć w przyszłości. Nadto, wyłączył zakon od wszelkich powinności i podatków, dozwolił mu swobodnego używania pastwisk, rzek i lasów w dobrach koronnych. Nakoniec upoważnił wszystkich lenników cesarstwa rozporządzać dobrami na korzyść zakonu bezwarunkowo.

Sami papieże, w obliczu, których Salza wykonał tyle ważnych missyj, i których srogość nieraz łagodził, zaszczycali go mnogimi oznakami swej łaski. Honorjusz III, jak już powiedzieliśmy, ofiarował mu bogaty pierścień, który prawem spadku nosić mieli jego następcy. Grzegorz IX przyjmował rycerzy zakonu do swojej gwardyi i powierzał wielu z nich znaczne urzędy.

Po wzięciu Damietty i zawartym pokoju, którego był sprawcą, i którego wypełnienie zagwaran-

tował, oddając się sułtanowi na zakładnika razem z królem Jerozolimskim, księciem Bawarskim, margrabią Brandeburskim i z dwudziestą innemi ważnemi osobami, Salza przeniósł do Wenecyi stolicę swojego zakonu. Ztamtąd sięgał zarazem Wschodu i Zachodu, mógł zarówno prędko udać się do Syryi lub i na dwory papieża i cesarza, kierować postępowaniem rycerzy w ziemi Świętej i zarządzać dobrami w rozmaitych stronach.

Przez zasługi Salza, zakon Teutoński nabył wielkiego znaczenia. W owęj to epoce dojrzałości, w czasie, kiedy miał przejść do Pruss, z upodobaniem się zastanowić można nad jego organizacją. Hennig w r. 1442 ogłosił ustawy zakonu z rękopismu wielkiego mistrza Konrada Erlichsausen skreślone we trzech kopijach: pierwsza dla Marienburga, druga dla Hornek rezydencyi mistrza Niemieckiego; a trzecia dla Rygi głównego punktu Inflant.

Dzieło to pisane po niemiecku, dzieli się na dwie części: pierwotne prawo zakonu, które zostało nienaruszonem, i konstytucye wydane na ogólnem zebraniu pod prezydencją wielkiego mistrza. Damy tu poznać z nich główne punkta.

Zakon od początku swego istnienia dzielił się na dwie klasy: rycerzy i księży. Jedni i drudzy powinni być Niemcy. Do pierwszych należała tylko szlachta. Później doszło do tego, że od kan-

dydatów wymagano dowodów czternastego a nawet szesnastego stopnia pochodzenia szlacheckiego. Ubiór ich składał się z czarnej tuniki i białego płaszcza z czarnym krzyżem na lewém ramieniu. Księża nie byli obowiązani składać dowodów arystokratycznego pochodzenia; ich ubiór taki sam jak i rycerzy, z tą tylko odmianą, że był długi aż do ziemi, gdy rycerzy zastosowany był do konnej jazdy.

Oprócz tych, byli jeszcze bracia niższego rzędu i giermkowie wybierani z prostego ludu, nazywano których *Graumantler*, dla tego, że mieli prawo nosić tylko szare płaszcze. Nakoniec była jeszcze liczna klasa rzemieślników i słuźalców. W kwitnym stanie zakonu, przy końcu XIV wieku, liczone w Prussach 3,200 rycerzy i 6,200 braci słuźebnych.

Wielki mistrz zakonu i inni dygnitarze byli obieralni i to tylko z klasy rycerzy. Pierwszym po mistrzu był wielki komandor, wyłącznie upowaźniony dozorować księży i braci słuźebnych, a także zwoływać na obrady w nieobecności wielkiego mistrza. Dalej następowali: marszałek, który dowodził wojskiem w czasie wojny; wielki szpitalnik czyli intendent szpitalów; szatny czyli zawiadujący odzieżą rycerzy i podskarbi.

Wszyscy ci urzędnicy obowiązani byli co mie-

siąc zdawać sprawę ze swych czynności wielkiemu mistrzowi. Oni byli odwołalni i nigdy dłużej jednego roku nie piastowali urzędu.

Liczba tych dygnitarzy wzrastała w miarę jak zakon rozszerzał swoje zwycięstwa. Po osiedle- niu się jego na Północy, zjawili się mistrzowie prowincjonalni w Prussach, Inflantach, w Niem- czech, także marszałkowie i komandory w wielu prowincjach.

Cały zakon był pod wezwaniem Ś. Maryi. Na- wet rycerze onego w wielu miejscach nazywali się Maryanitami. Pieczęć zakonu wyobrażała z je- dnej strony ucieczkę Ś-tój Rodziny do Egiptu, a z drugiej rycerza pokutującego, który umywa piel- grzymowi nogi.

Przed czternastym rokiem i bez nowicyatu, nikt nie mógł być przyjętym do zakonu. Kan- dydat powinien być silnym, zdrowym na ciele, ażeby mógł posługiwać chorym, i zręcznie do- siadać konia. Powinien był złożyć dowody, że nie ma długów, że niezwiązany ślubem mał- żeńskim, lub obowiązkami względem innego za- konu, nakoniec, że urodzony szlachcic i niemiec. Później jednak przypuszczano do zgromadzenia Polaków, Prussaków i Francuzów. Przy pasowa- niu mówiono pospolicie: »Jeśli nas oszukujesz,

podstęp wykryje się z czasem, a wtedy przestanieś być naszym bratem.»

Gdy już wszystkim tym warunkom zadosyć uczynił, wówczas rycerz wykonywał trzy wielkie śluby: czystości, ubóstwa i posłuszeństwa. Rękopism ogłoszony przez Hennig'a, skreśla codzienne życie rycerzy, stosownie do tych trzech ślubów. Nigdy oni nie powinni byli rozmawiać o kobietach; a nawet wzbroniono im było uściskać matkę lub siostrę.

Dochody z licznych dóbr zakonu używane były na podźwignienie ubogich i na wojny przeciw niewiernym. Żaden z członków nie mógł mieć dóbr osobistych. W początkach założenia pod Walpotem, żaden rycerz niemógł mieć więcej nad jedną tunikę, płaszcz, dwie koszule, dwoje pantalonów, grube trzewiki i broń bez ozdób. Sypiali oni na słomie i pożywali tylko grube potrawy.

Reguła z 1442 r. zakazuje rycerzom noszenia przy obuwiu sprzążek, a futra mogą tylko nosić z kóz i owiec.

Zakon podzielony był na klasztory. Każdy klasztor miał dwunastu rycerzy, sześciu księży i szpital, na utrzymanie którego, w razie potrzeby, zbierano kwestę.

Rycerze obowiązani dzień i noc być obecni przy sprawowaniu służby bożej, komunikować przy-

najmniej siedem razy do roku, odmawiać po sto *Ojcie nasz* za dusze zmarłych i dobroczyńców zakonu. Po śmierci każdego z braci, najlepszą jego odzież rozdawano biednym, którym też i codzienną porcyę jego oddawano przez czterdzieści dni. Prócz tego, każdy klasztor obowiązany był dawać ubogim regularną dziesięcinę, składającą się z dziesiątej części chleba.

Rycerze, tak często narażani na ciężkie trudy, jadali trzy razy na tydzień z mięsem, a trzy razy mléko i jaja, — pościli tylko w piątek. Drzwi od pokoju, w którym rycerz mieszkał, powinny były być ciągle otwarte; nie miał on prawa przyjmować, ani też wysyłać żadnego listu bez wiedzy przełożonego.

Za naruszenie ustawy rycerz skazany bywał na chleb i wodę przez dwa lub trzy dni i na pewną liczbę biczów, które w rękopismie niemieckim nie są nazwane *peitsche* ale *justa*. Za większe przestępstwa odbierano krzyż, zmuszano siedzieć przez cały rok na ziemi, jadać razem ze służbą i otrzymywać co niedzielę chłostę *justa* w kościele.

Księża podlegali tymże samym karom; lecz takowe odbierali w ukryciu przez wzgląd na ich stan duchowny.

Wielki mistrz jadał razem z braćmi ale otrzy-

mywał poczwórną porcyę, żeby mógł podług swojej uwagi obdzielać wyśiadujących karę.

Inne przywileje wielkiego mistrza podane są w rozmaitych statutach. Mógł on mieć cztery konie i namiot dla własnego użytku, prócz tego konie dla swego orszaku złożonego z księdza, sekretarza, dwóch rycerzy, dwóch braci służebnych, kucharza, pokojowca i dwóch laufrów. Sam on mianował i usuwał, za zgodą kapituly, znaczniejszych urzędników zakonu, rozporządzał pewnemi summami, lecz nie bez wiedzy rady; na koniec, sam bez wiedzy tejże nie mógł wydalac się w podróż za morze.

W przypadku ciężkiej choroby, obowiązany był powierzyć jednemu z braci pieczęć, pierścień i inne znaki swjej godności, przez co przekazywał mu swoją władzę. Po jego śmierci wszystką odzież i roczną porcyę oddawano biednym. Kapituła, składająca się z ósmiu rycerzy, jednego księdza i czterech braci służebnych, mianowała następcę. Skoro obior został dopełniony, całe zgromadzenie przy odgłosie dzwonów, śpiewało *Te Deum*.

Zobaczymy później jak ta solennosć obchodzona była w Marienburgu.

Takim był zakon w podwójnym swym powołaniu miłosierdzia i wojny, gdy z miejsca, na

którym powstał i wzrosł, przeznaczono mu było przejść na inne pole działania i rozpocząć nową epokę swojej historii.

Między Bałtykiem i Polską, Wisłą i Niemnem, rozlega się niska kraina wilgotna, przerznęta wielą rzekami, pokryta niegdyś gęstym lasem, jeziorami i stawami. Prawdopodobnie, mogło to być niegdyś łożyskiem jednej z zatok Bałtyku. Celsius, szwedzki naturalista, utrzymywał, że wody Bałtyku powoli usuwają się od brzegów, i że za trzy lub cztery tysiące lat woda całkiem zniknie.

Dziwić się prawdziwie trzeba, że pisarze pruscy rozpisujący się z takim zapałem o swoim kraju nie dostrzegli w tém szczególnego cudu przez który ziemia ta wydartą została falom morskim (1), aby utrwalona w ląd stały, połączyć się mogła z margrabstwem Brandeburskiem i nadać mu swoje nazwisko; gdyż ten to kraj właśnie nazywał się Prussami, na wiele wieków, przedtem nim Fryderyk I, porzuciwszy tytuł Elektora, przyjął takowy króla Pruskiego. Lecz zapominam, że p. Hesse radca konsystorza, wystąpił z innym cudem. Doszedł on, że bursztyn, którego o-

(1) W XIII wieku liczono tam 2,037 jezior.

dłanki ściągnęły na wybrzeże pruskie Fenicyan, Greków i Rzymian, jest żywicą drzewa »*wiadomości dobrego i złego*,« z czego się jasno pokazuje, że właśnie w miejscu gdzie teraz Prussy, był kiedyś Raj ziemski.

W sześć tysięcy lat jakaż różnica! Jakieżby musiało być zdziwienie biednego Adama, gdyby ujrzał to przemienienie Edenu.

Bardzo być może, iż nazwisko Prusów pochodzi od *Po Reusso*; (niedaleko Reuss jednej z gałęzi Niemna). Średniowieczni kronikarze wyprowadzają to nazwisko od *Brutenia*, dla tego, że kraj ten zamieszkały był przez ludzi w bydłęcym prawie żyjących stanie.

To pewna, że mieszkańcy tameczni byli równie dzicy jak amerykańscy Hindusy, nieposkromieni jak Saxonowie, z którymi wojował Karol W. Było to, plemie sławiańskie, plemie pomieszane z pokoleniami Celtów, Cyganów, a może i Gotów.

Jak i wszystkie pierwotne ludy, Prussacy, żyli z hodowli bydła, a głównie zajmowali się rybołówstwem i polowaniem. Jak Tatarzy, upijali się fermentowanym mlékem końskim. Jeśli i posiadali jakie rolnicze wiadomości to chyba bardzo ograniczone. Zawziętość z jaką odpierali pierwsze napady Teutonów, zmniejszyła się na widok, że ci najezdcy jadali sałatę i jarzyny.

»Jakimże sposobem, powiadali, możemy oprzeć się ludziom, którzy wszędy znajdują sobie pokarm, żyją trawą jak konie?«

Mimo to prowadzili oni handel z sąsiadami. Zamieniali zwierzęce skóry na sukienną odzież, narzędzia i na rozmaite gorące napoje. Zahartowani w swym ostrym klimacie, wytrwali byli na wszystko, i żyli bardzo długo. Na wojnach widziano nieraz dziadka idącego w jednym szeregu ze swym wnukiem. Życie o tyle tylko cenili ile mogli mieć pełne użycie sił fizycznych. Jeżeli w cierpieniach zwyczajnych zasięgaliby rady jakiego szamana, albo czarownika, to nie znali innego lekarstwa jak śmierć. Dziecię niekształtne zabijano natychmiast, a człowieka skaleczonego przypadkiem lub osłabionego wiekiem, duszono.

Kraj ich dzielił się na jedenaście prowincyj, które składały tyleż oddzielnych państw i nie w każdej sprawie przystępowały do związku. Taki podział ułatwiał ich podbicie.

Wyuzdana swoboda umysłu ich nie znosiła nad sobą żadnej władzy; nie mieli też różnicy klass. Każdy z nich był królem swęj posiadłości i panem nieograniczonym swujęj rodziny. Lecz gdy żadne towarzystwo bez prawa istnieć nie mo-

że, przeto i u nich rodzaj władzy sądowej był w ręku starców.

Wodzem na wojnie obierali tego, który zdawał się być najwaleczniejszym i ten po skończonej wojnie składał swój urząd. To były jak widzimy instytucje demokratyczne, jeśli je instytucjami można nazwać. Lecz był tam jeszcze *Kriewe*, wielki kapłan, którego zwierzchnictwo nadawało temu rządowi cechę *teokratycznego*. U niego zasięgano rady w najważniejszych sprawach i przedsięwzięciach; lud go uważał jako organ woli bogów, i nikt nie ważył się odmówić posłuszeństwa, jego wyrokom. Ostatnie przeszkody dla opowiadaczy słowa Ewangelii, zostały usunięte przez takiegoż *Kriewe*, który przyjął chrzest, z powodu, iż jakoby bogowie oświadczyli mu, że dalej opiekować się nim nie mogą.

Dogmata, których ten kapłan był żywym wyrazem, i których tłumaczami byli jego podrzędni, utrzymywały Prussaków w surowości obyczajów i w nieokrzeseanej tradycyjnej wierze. Było to wielobóstwo materialne starożytnych Sławian i ustawa krwawej ofiary, którą Prussacy i sąsiedzi ich Pomorzanie, przynosili żywiołom wyobrażonym w postaciach rozmaitych bałwanów. W cześć *Perkuna* bożka piorunów, utrzymywali oni wieczny ogień,

jak Peruwijanie w świątyni słońca. W cześć *Potrympusa*, bożka wód, hodowano z wielkim uszanowaniem węże i karmiono je mlékkiem, wielkie dęby miały u nich religijne znaczenie, podobnie jak u Druidów. Drzewa te były nawet świątyniami gminy, która stawiała tam swoich bogów i jak Pelazgowie w Dodonie, badała u nich wyroków U Niemców i dziś postrzegamy wiele śladów tych starodawnych przesądów. Słowo niemieckie *Walfahrt* (pielgrzymka) przypomina czasy, w których udawano się do poświęconych lasów z uczuciem religijném (*Wald-Fahrt*, podróż po lesie). W większej części niemieckich wsi, przypisują jeszcze jemiole dziwną własność: iż jakoby odcięta w noc Bożego Narodzenia, broni dom od burzy, a położona pod poduszką, jest lekarstwem przeciw bezsenności. (1).

Prussacy podobnie jak Wendowie pomorscy, meklemburscy i z wyspy Rugji, poświęcali swoim bogom zwierzęta, a nawet i jeńców wojennych. Również jak tamci wierzyli w świat zaziemski; lecz jakaż to nędzna wiara! Nie wyobrażali nawet jak Skandynawi, że w nagrodę swój waleczności, będą mogli wchodzić do mieszkania bogów, sie-

(1) Weber, *Das Ritterwesen*, t. III p. 58.

dzieć z niemi przy wiecznych ucztach, gdzie usługują *Valkyrie*. Albo jak biedni Huroni w Kanadzie, że będą mieli raj *Manitow* i obfite łowy na przesłicznych równinach. Oni wierzyli tylko, że pójdą na drugą ziemię i kontynować będą życie zaczęte na tym świecie, przy tychże samych warunkach, w tychże dolegliwościach; i dla tego do grobów kładli narzędzia swego rzemiosła, jak wędrowni rzemieślnicy, którzy zmieniają miejsce pobytu. Tym sposobem nie czekały ich ani promienie boskiej sprawiedliwości, ani światło pociechy dla strapionych, ani wyobrażenie nagrody za cnotę lub kary za zbrodnie. Ze wszystkich dogmatów mytologicznych, ten jest najbardziej barbarzyński i rozpaczliwy. Lepsza jest wiara w metempsychozę. Ponieważ nie oczekiwał ich żaden trybunał w przyszłym życiu, przeto się wcale śmierci nie obawiali; bo takowa była dla nich jakby małym wypoczynkiem po uciążliwém jednostajném życiu; i Szekspir powiedział do tych, którzyby nie mieli chrześcijańskiego pojmowania rzeczy zewnętrznych:

Who would farders bear,
 To grant and sweat under a weary life,
 But that the dread of something after death,
 The undiscovered country, from whose burn
 No traveller returns— puzzles the will—

And makes us rather bear those ills we have
Than fly to others that we know not of. (1).

W końcu X wieku, Ś. Wojciech, odważny biskup Pragski przybył aż do tych krajów i był tam zamordowany. Dwóch innych zakonników spotkał tenże sam los. Książęta Polscy pokilkakrotnie probowali uśmierzyć siłą te hordy pogańskie, które nieugiętały się przed słowem missyjonarzy. Lecz ich usiłowania były bezskuteczne, a czasem miały nieszczęsne skutki. Gdy byli zwyciężeni, Prussacy przysięgali, że się ochrzczą; lecz równo z wydaleniem się zwycięzcy, powracali do swych bałwanów. Wtedy powstawała w nich straszliwa żądza zemsty; ostrzyli broń, poświęcali bogom nowe ofiary, i z kolei napastowali tych, którzy ich chcieli podbijać. W 1167 roku, w jednej zawziętej bitwie zniweczyli całą armiję Bolesława.

W początku XIII wieku, świątły i gorliwy Krystyan, przełożony klasztoru Oliwy, nie tylko że

(1) Któżby się chciał poddać, ugiąć się i jęczeć pod ciężarem życia, nie lękając się czegoś po za krańcem onego, w tej nie odkrytej krainie z kąd jeszcze żaden wędrownik nie powrócił? Otoż to przeszkadza naszej woli i sprawia, że łacniej znosim nędzę niżeli rzucamy się na drogę, której nie znamy.

przeniknął w te dzikie kraje, gdzie jego poprzednicy byli pomordowani, ale nawet udało mu się nawrócić część mieszkańców. Mówił on krajowym językiem i przedewszystkiē zaskarbiał względy znakomitszych familij. Papież mianował go za to biskupem Pruss. Na mocy bulli tegoż papieża, Krystyan zwołał znaczniejszych panów chrześcijańskich na pomoc w swych missyach na Północy. Ustanowił nawet na ten cel zakon rycerzy, uważany przez niektórych autorów za jedno z zakonem Inflantskim. Członkowie tej małej legii utworzonej przez opata z Oliwy, nosili tytuł rycerzy Chrystusa i braci Dobrzyńskich.

Wszystkie nadzieje obudzone przez tę nową missyę, zostały srodze zawiedzione. Po udanej zdradliwej łagodności, Prussacy powstają na wezwanie swoich kapłanów, niszczą rycerzy Dobrzyńskich, przechodzą Wisłę, oblegają klasztor Oliwski, a zwróciwszy się na dobra księcia Konrada Mazowieckiego, (1) który też chciał był wprzód nawrócić ich do wiary chrześcijańskiej, rozbijają jego wojsko, zdobywają twierdzę, i pę-

(1) Syn Kazimierza II nazwanego Sprawiedliwym. Po śmierci ojca, dostał on w dziale księstwa Mazowieckie, Kujawskie i ziemię Dobrzyńską.

dzą aż pod mury Plackowa, gdzie padł ofiarą ich łupieztwa.

W takich to smutnych okolicznościach Konrad szukając wszędzie pomocy, zwrócił swą uwagę na rycerzy Niemieckich, których imię już było głośne w Europie. W tym celu wszedł w układy z mistrzem Salza, ofiarując zakonowi za żądane posiłki Chełm z całym okręgiem, w bezwarunkowe posiadanie, i wszystkie zdobycze jakie rycerze uczynią w Prussach.

Salza naoczny świadek nieszczęść poniesionych przez wojska chrześcijan na Wschodzie, i zapamiętałych niezgod pomiędzy wodzami, widząc ostygnący zapał do krucyat, trafnie przewidywał koniec tych religijnych wypraw i życzył bardzo odkryć nowe pole działania dla swego zakonu.

Będąc jednak podejrzliwego charakteru, nim przyjął propozycje Konrada, długo się nad niemi zastanawiał. Wyliczywszy wszystkie korzyści i straty wyprawy do Pruss, naprzód prywatnie posłał do *téj obiecanej ziemi*, dwóch swoich rycerzy, Konrada Landsberg i Ottona Saleiden. Lecz ci powrócili, niejako Kaleb i Jozue, uginając się pod ciężarem winogron, lecz przeciwnie, okryci ranami po utarczkach z hordami Prussaków.

Jednakże Salza już się był zdecydował. Sumienie nakazywało mu przyjść w pomoc chrześci-

jańskiemu księżęciu, uciskanemu przez hordy pogańskie. Z urzędu wielkiego mistrza, Salza nie był wcale obowiązany skupiać swe siły wyłącznie na Wschodzie; owszem powinien był wojsować niewiernych wszędzie gdzieby tylko byli. Wreszcie warunki Konrada obiecywały zakonowi chwałę i zwycięstwo.— Te warunki były potwierdzone przez papieża i cesarza. Wojna została uchwaloną.

Zrazu Salza mógł do niej użyć tylko część swoich rycerzy, których wysłał pod dowództwem znakomitego męża imieniem Balke. Gdyby ta długa wojna chrześcijan z Prusakami nie odbywała się w zapadłych nieznanych krajach Północy, a poeci opiewali jej bohaterów, Balke mógłby zostać drugim Achillesem; lecz Achillesem chrześcijańskim, którego zapal kierowany był wysoką religijną myślą, i który z walecznością żołnierza, łączył rozumne kombinacje biegłego wodza.

Pierwszém stanowiskiem Balkęgo był jeden z olbrzymich dębów poświęconych bogóm tego kraju. Urządził na nim rodzaj platformy, na której zasiadł z kilkudziesięciu swoich ludzi, odpędzając strzałami oblegające tłumy nieprzyjaciół.

Prussacy myśleli, że bogowie już ich odstępili, kiedy zaczęły na nich padać strzały z miejsca, gdzie były ołtarze. Po zawziętej walce, dziesiątkowani strzałami chrześcijan, musieli nareszcie ustąpić, i Balke zabrawszy tę ziemię, założył tam fundamenta miasta, które nazwał *Thor* (wrota). Były to wrota, które Chrześcijanizm otwierał sobie w krajach pogańskich.

Mały zastęp Balke'go nie powiększał się wcale. Większa część rycerzy Teutońskich została na Wschodzie. Lecz że wojna w Prussach była nową krucyatą, na odezwę przeto papieża do panów Niemieckich: Henryk Szląski, margrabia Missyi, burgrabia Magdeburgski i wielu innych książąt ze zbrojnym ludem przeszli za Wisłę. Biskup Krystyan, książęta Pomorscy Sambor i Światopołk, a w 1237 roku i Zakon rycerzy Inflantskich, znanych powszechnie pod nazwą *Rycerzy Mieczowych*, z zapałem przyłączyli się do Zakonu Niemieckiego. Sam Salza przybywszy na miejsce wojny dla osądzenia stanu rzeczy, zatwierdził i pochwalił cały tryb postępowania Balke'go; który powoli posuwając coraz dalej zabory w ziemi nieprzyjacielskiej, w pewnych odstępach wznosił okopy i twierdze i tym sposobem zabezpieczał jój posiadanie.

Prussacy bronili się z niezachwianą energią przeciw zastępom, uzbrojonym na zniszczenie ich bogów i swobody. Drewniane ich zagrody nie długi stawić mogły opór męztwu najezdców; ale raz pobici, chronili się w gęste i nieprzebyte swe lasy przerywane jeziorami, zbierali rozbitków i przy piérwszej zręczności szli do nowój walki. Balke nachodził ich ziemię z zuchwalstwem Ferdynanda Korteza i śmiałością Pizarra. Lecz Meksykanie i Peruwianie uważając Hiszpanów za istoty nadprzyrodzone, z trwogą i przerażeniem im ulegali; gdy przeciwnie Prussacy odważnie występując przeciw najezdcom, po najzaciętszej tylko obronie opuszczali pole bitwy.

Na nieszczęście, Zakon Niemiecki nie umiał utrwalić dla siebie przychylności pomorskiego księcia Światopołka i biskupa Krystyana, od których doznał tak wielkiej pomocy. Zamiast liczyć ich za sprzymierzeńców, znalazł w nich w końcu nieprzyjaciół. Prędko potem umarli Salza i Balke, i na długo Zakon pozbawiony był i takiego mistrza i takiego wodza.

Wojna rozpoczęta 1230, skończyła się zaledwie 1283 roku. W przeciągu pół-wieku Prussy nie tylko zostały podbite, ale i przekształ-

cone. Na mocy układów proponowanych przez Konrada i utwierdzonych przez te wielkie dwie powagi, które W. Hugo nazywa:

Dwie połowy świata,

papieża i cesarza, religijne bractwo Niemieckie zajmowało we władanie kraje zdobywane na poganach, i w miarę posuwających się zaborów, dzieląc je na części, oddawało na lenność szlachcie obowiązującej się za to utrzymywać pewną liczbę ludzi zbrojnych do rozporządzenia Zakonu. Powoli plemię krajowców dziesiątkowane na każdym kroku, prześladowane aż do ostatniego schronienia, i podbite, zniknęło z ziemi swoich dziadów i zastąpione zostało przez napływową ludność niemiecką. Na miejscach poświęconych bożyszczom pogańskim, wzniosły się świątynie chrześcijańskie; na gruzach zasad demokratycznych powstawał feudalizm.

Dotąd posiadłości Zakonu rozrzucone były w rozmaitych krajach. Teraz rozsiadał się on na brzegach morza, w ogromnej przestrzeni między dwiema rzekami, i przeradzał się w niezależne państwo, gdzie wielcy mistrzowie przenieść mieli swoją stolicę.

Już Konrad Turyngski, następca Salza, opuścił był podstępna Wenecję i osiadł w Marburgu. Henryk Hohenlohe, którego Fryderyk II nazywał *vir potens opere et sermone*, a który przyjmował tylko tytuł *minister humilis*,—wyruszył był do Pruss z oddziałem nowych krzyżowników, lecz później cofnął się do Mergentheim. Była to posiadłość, którą wspólnie z bratem nadał był Zakonowi, *pro remedio animae*;—tam i pogrzebiony zastał.

Wenecya uważała się jeszcze za urzędową stolicę W. mistrzów: lecz ci już rzeczywiście mieszkali w Marburgu. Jednak to miasto leżało zanadto daleko od nowonabytych Prusskich prowincyj, i trzeba było pomyśleć o nowej stolicy.

Blizko Nogatu leżała wioszczyna Alyem, odznaczająca się swoim położeniem i słynąca cudownym obrazem N. Panny. W 1276 roku, mistrz prowincjonalny Prusski, Konrad Thierenberg, zbudował tam fortecę i nazwał ją Marienburg (Grod Maryi) w cześć patronki Zakonu. Odtąd wieś przyjęła toż samo nazwisko i z niej powstało miasto, które opasane było zrazu tylko palisadą i okopami ziemnymi, lecz już

w 1280 roku zaczęto tam budować twierdzę większych rozmiarów. W 1306 roku, nieznany architekt, którego kroniki nie podały imienia, jeden z tych szlachejnych artystów, którzy przekazują potomności pomniki swój myśli bez podpisu własnego nazwiska, wznosił okazałe szczyty, zaokrąglił sklepienia wyciosał wspaniałe łuki i arkady zamku Marienburskiego, i w 1309 roku, wielki mistrz Siegfryd Feuchtwangen przeniósł się tam z wielkim orszakiem na stałe mieszkanie. Gmachy te jednak nie były jeszcze ukończone. W 1338 i 1340 Dietrich Altenburgski powiększył kościół, przybudował piękną kaplicę w cześć Ś. Anny, wykopał pieczary na groby wielkich mistrzów — i wznosił olbrzymią wieżę.

Marienburg był podówczas cytadelą i pałacem, klasztorem i koszarami wojennymi. Wzdłuż prawego brzegu Nogatu, na wyniosłości od 70 do 80 stóp, leżał obronny *fort* nazwany *Vorburg* (przedzamecz), w którym były mieszkania sług, stajnie, magazyny żywności i amunicji. Od wschodu, północy i zachodu, mury jego osłaniały zamek wewnątrz, broniony z południa fortyfikacyami miasta. Z téj strony szerokie fossy, z tamtéj fali Nogatu uzupełniały obronę.

Mnóstwo blanków i wież, otaczało Vorburg, a z nich jedna, tak zwana *Butter-milch-thurm*, podług legendy zbudowaną była bezpłatnie przez włościan, którzy dla podtrzymania wartości religijnej swojej ofiary, użyte do budowy wapno rozrabiali z mléką.

Wewnętrzne gmachy jaśniały całym wdziękiem najczystszej gotyckiej sztuki, całym przepychem królewskiej rezydencji. Tam były mieszkania dla rycerzy Zakonu i WW. mistrzów, śliczne kaplice i wspaniałe sale. Pobożni rycerze uwieńczyli swoje dzieło statua N. Panny, dwadzieścia pięć stóp wysoką, w błyszczącej szacie i płaszczu misternie mozaikowanym. Na głowie była korona wysadzana kamieniami, koloru szafirów i szmaragdów; w prawym ręku trzymała berło, a w lewym dzieciątko Jezus w różowej szacie, osypanej złotymi kwiatami.

Niepodobna bez uczucia głębokiego zdumienia przyglądać się wspaniałości zamku Marienburgskiego, napotykając przytém wewnątrz coraz nowe przedmioty ciekawości.

Jedną z bardzo rzadkich piękności architektonicznych, jest refektarz rycerzy. Ma on 96

stóp długości, 48 szerokości i 28 wysokości; w środku wznoszą się trzy granitowe kolumny, niepospolitej lekkości, a z ich bogato upiększonych religijną rzeźbą kapitelów, rozchodzą się jakby z wierzchołka palmy, misterne i udatne gałęzie, podtrzymujące sklepienia.

Tam niegdyś ustawione były stoły zgromadzenia. Przy pierwszym zasiadał wielki mistrz z komandorem, podskarbin i innymi dygnitarzami klasztoru; przy drugim księża i rycerze; przy trzecim znaczniejsi urzędnicy domu. Po południu rycerze znowu się tam schodzili dla rozrywki w swobodnym czasie. Reguły dozwalały im zabawiać się grą w warcaby lub szachy.

Dla przyjęcia znakomitszych gości Zakonu, W. mistrz miał swój osobny refektarz. Jest to wspaniała sala, 45 stóp w kwadrat mająca, oświetlona dwoma rzędami po dziesięć okien; jój sklepienie na 30 stóp wysokie, opiera się na jednym tylko filarze. Przy téj sali znajdował się jego pokój sypialny, salon i kaplica.

Sala kapituły, również jak i wszystkie wymienione komnaty, zbudowana w najwdzięczniejszym łukowym stylu, była daleko szerszą i wyż-

szą. Na malowanych jej ścianach wypisane były rozmaite zdania religijne i moralne. Z niej było wejście, przez tak nazwane *drzwi złote*, do kościoła w okazałym gotyckim stylu, oświetlonego dziesięcią łukowemi oknami; w jego sklepieniu zawieszona była herbowa tarcza Zakonu. Wdłuż ścian, pod baldachinami wyrobionemi jak koruny, stało osmnaście posągów świętych. W jednym końcu było podwyższenie dla orkiestry, a w drugim wznosił się wielki ołtarz, którego pierwotnych kształtów dojść nie można było.

W obszernych, sklepionych podziemiach tego gmachu, mieściły się magazyny, kuchnie i w potrzebie lochy dla więźniów. Z okien ogólnego refektarza i z pokojów W. mistrza, przed okiem widza przepyszny roztacza się widok: najprzód samo miasto Marienburg malowniczo rozrzucone, po drugiej stronie zielone łąki przetrzięte wspólnym Nogatem i Wisłą, dalej jezioro Holland, a ze wszech stron ogromne równiny, po których rozrzucone były gdzie niegdzie gaje, samotne zagrody i ożywione sioła.

Ztamtąd przełożeni Zakonu, mogli widzieć część swych posiadłości, dozierać przedsięwzię-

W KRAKOWIE
 WYDZIAŁ GÖRNICZY
 KRAJEK STUDENTOW ARCHITEKTURA

tych robot, dostrzegać wiele miasteczek i wzniesionych przez siebie fortec, a w czasie wojny zdaleka mieć bacność na ruchy nieprzyjaciół. Tam, byli oni jak królowie w swych stolicach: przyjmowali posłów i zawierali traktaty. Ztamtąd kierowali czynnościami wojska, administracją dóbr i szpitalów. Fryderyk II mianował Salza księżciem cesarstwa. Po zdobyciu Pruss, następcy sławnego Salza daleko więcej niż książęta znaczyli. Byli oni rządcami znakomitego państwa, w którym używali wszystkich przywilejów niezależnej monarchicznej władzy. Już pod koniec panowania Salza, zakon Niemiecki bił swoją własną monetę, marki srebrne, na których z jednej strony wybity był herb i nazwisko mistrza, a z drugiej krzyż Zakonu z napisem: *Moneta dominorum Prussiae*. Marka dzieliła się na szyllingi, które znane były na całej Północy (1) i pochodzą zapewne od anglosaskiego słowa *skilian*, dzielić. W XIV wieku, W. mistrz Winrich Kniprode kazał odbijać monetę złotą i małe srebrne pieniądze, równe dwónastej części dukata. Ostatnia moneta Zakonu odbita była w Wertheim 1776 roku. Wówczas Zakon ten i-

(1) Po angielsku *schelling*; po duńsku i szwedzku: *skelling*.

stniał tylko z nazwiska, i rzeczy można, że starał się zapomnieć o swym upadku, używając swych dawnych przywilejów władzy. Mógłby, powiada Weber (1), brać przykład z księcia Jerzego Hohenlohe, który po klęskach trzydziestoletniej wojny, wyryc kazał na hitój przez siebie monecie te dwa słowa: *fortuna beilla*.

Obior W. mistrza obchodzony był w Marienburgu przez kilka dni, jak wstąpienie na tron jakiego monarchy, a podwładne Zakonowi miasta składały swe dary. Gdy Kniprode, jeden z najznakomitszych mistrzów, został wybranym na tę godność, Gdańsk przysłał mu sześć beczek wina i cztery złote półmiski, Elbląg przesłicznie rznięty róg myśliwski, Kulm, odłamek Arki Noego zawarty w srebrném pudełku; a obywatele Marienburga, stalową zbroję z bogatemi ze złota ozdobami.

W tymże to samym Marienburgu wykluła się pierwsza myśl najezdniczych wojen z Polską i Litwą, tak niefortunnych dla Zakonu w skutkach. Ztamtąd to na zdobyte dla Chrześcijaństwa barbarzyńskie Prussy, rozsiewał Zakon zbawienne

(1) *Das Ritterwesen*, t. III p. 241.

ziarna cywilizacji i oświaty, ożywiał krzewiący się przemysł i handel; ale i ztamtąd też ujrzał pierwsze zarzewie buntu i zamieszania, które rozszerzając się wokoło, wkrótce sam Zakon pochłonąć miały.

Pod ojcowską opieką mistrzów, zrazu miasteczko tylko Marienburg, stało się miastem potężnym. Inne znaczniejsze miasta, jak Balga, Lutzen, Strasburg, Landsbut, Tylża, Mühlhausen, Pappawa, Rein i kwitnący Królewiec, były przez nich założone, a inne jak Kulm, Elbląg, Gdańsk, znakomicie za ich staraniem podniosły się i ozdobiły.

Za ich rządów wprowadzoną została do kraju uprawa gryki; a lud zamieszkujący wybrzeża Wisły i Nogatu, im zawdzięcza tamy, groble i kanały, które kraj ten błotnisty w urodzajne pole i żyzne pastwiiska zamieniły. Oni też pierwsi uczyli jak należy korzystać z odkrytych w kraju kopalni soli, i nakoniec wiele miast nadmorskich bez ich udziału i opieki, nie rozwinęłyby swego handlu i marynarki.

Marienburg w XIV wieku był rycerską szkołą pierwszego rzędu. Ale z tej wojskowej instytucji wychodziły najmędrsze urządzenia i ustawy, oraz

najbardziej lubiące pokój, zakłady. Kniprode, po wielu miejscach pobudował klasztory i seminaria, otworzył gimnazya w Królewcu i Marienburgu, urządził szkoły elementarne po wszystkich okręgach, i uorganizował służbę lekarską dla dozoru szpitalów Zakonu.

W latach urodzajnych, dobra Zakonu przynosiły wielkie dochody, które wpływając do kassy państwa, nie marnotrawiły się bezpotrzebnie, ale też i nie leżały w martwym kapitale. Wielki mistrz rozpożyczał znaczną część dochodów mieszkańcom i kupcom, na zbudowanie domów, powiększenie handlu lub przemysłu. Korzystający z tego dobrodziejstwa, nietylko że nie płacili procentów, ale nawet dozwolono im było spłacać dług częściami, według możności (1). W. mistrz nie obliczał swych poddanych po bankiersku, ale przychodził im w pomoc jako przyjaciel; kierował ich wychowaniem jak nauczyciel i opiekował się nimi jak ojciec.

W początku XIV wieku dwór Marienburgski zjednał sobie taką sławę mądrości i prawości, że z różnych krajów Europy, na jego sąd i zda-

(1) Voigt. Geschichte Marienburg's, p. 214.

nie oddawano najzawilsze kwestye, i zdaleka przybywali ludzie zgłębiać organizacyę tego zgromadzenia, które z tak skromnych początków doszło do tak wielkiego rozwoju potęgi.

W owej epoce, Zakon Niemiecki mógł wystawić 80 tysięczną armiję. Ze wszystkich nadanych mu w rozmaitych stronach i czasach posiadłości, stracił tylko dobra swe w Palestynie. Władał on krajem o 2,000,000 prawie ludności; a dochody roczne wynosiły do półtora miliona dukatów, nielicząc intraty ze sprzedaży bursztynu, rybołówstwa, cła, sztrafów i legatów. Kraje Zakonu ciągnęły się od Małego Pomorza, (Pomerelii) wzdłuż Bałtyku, aż do Narwy i Rewla. W samych Prussach, 18,350 wsi, 55 miast i 48 zamków należało do Zakonu.

W owym już wszakże czasie, długoletnia wojna z Litwą, obciążyła Zakon ogromnemi długami. Połączenie zaś Litwy z Polską, przez małżeństwo Jagiełły, pogorszyło jeszcze bardziej położenie Zakonu, gdyż mając przeciw sobie silniejsze państwo i większe wojska, i sam musiał utrzymywać większą siłę zbrojną, powiększając swoje zastępy najemnym ludem niemieckim.

Mądry i pobożny Konrad Jungingen, obrany

w 1393 roku W. mistrzem, starał się wszelkimi środkami przytłumić, trapiące jego spokojny umysł, niezgody, i których nieszczęsne skutki, jego jasnowidzący rozum przewidywał. Polska występowała już do nowój walki. Lecz Konradowi udało się ją wstrzymać zawarciem zaszczytnego pokoju. Z wielką okazałością przyjmował on króla Polskiego w Toruniu, potrafił zjednać jego przychylność i utrzymać wzajemnie przyjazne stosunki, tak, że w razach choroby Jagiełły, posyłał mu swego lekarza.

Czternaście lat rządów Konrada, miały być dla kraju jakby owym dniem pogodnym i cichym przed burzą, jak ostatniem użyciem szczęścia przed ciężkiem niepowodzeniem, chwilą słodkiego wytchnienia przed śmiertelną klęską. Mądrość jego, bez ubliżenia godności i powadze W. mistrza, umiała odwrócić od Pruss grożącą wojnę; umiejętne działanie podniosła handel i przemysł w tym kraju, światły jego rozum przywabiał znakomitych ludzi i rozgłos rycerskiego Marienburga umiał uświetnić jeszcze blaskiem nauki. W prywatnem zaś swém życiu dawał otaczającym przykład miłości ewangelicznej i głębokiej pobożności, połączonej z niewypowiedzianą słodyczą i szczerą wesołością.

Konrad umarł w 1407 roku, i chociaż życie swe poświęcał na ustalenie pomyslności i trwałości Zakonu, przy śmierci jednak duszę jego trąpiły bolesne przeczucia. »Pamiętajcie, przemawiał do członków swój rady, nie obierajcie po mnie na mistrza brata mojego Ulrycha, tego mężnego i nieulekłego żołnierza. Lękam się ażeby jego popędliwy umysł, nie ściągnął na Zakon wielkiego nieszczęścia.«

Ulrych jednak został obrany W. mistrzem; lecz i on wcale nie pragnął wojny, i z nieudaną szczerością starał się jej uniknąć. W końcu musiał ją przyjąć, gdyż tego pragnęli król Polski i książę Litwy. Wojska nieprzyjacielskie stanęły na równinach Tannebergu w liczbie 160,000. Ulrych mógł tylko postawić 80,000; lecz żołnierz jego był lepiej wyćwiczony i dzielniejszych miał dowódców. I tam odbyła się bitwa, jedna z najzaciętszych o jakich wspominają dzieje. Jeśli wierzyć kronikarzom, Polacy stracili w niej 60,000 ludzi, a jednak zwycięstwo przy nich zostało. Półowa wojska Ulrycha zginęła i cały zastęp rycerzy wycięty był w boju; on sam z rozpaczycy rzucił się pomiędzy walczących i okryty ranami upadł na stosie trupów. Jeden tylko z rycerzy umknął z pola i

miał dość odwagi przybyć do Marienburga, gdzie przyjęty jako niktzemnik, odarty został ze wszystkich rycerskich oznak i wrzucony do więzienia; głowę zaś jego konia przybito na wrotach zamkowych.

Upadłyby już warownie WW. mistrzów, gdyby Polacy umieli korzystać ze zwycięstwa; a gdy się w końcu spostrzegli i ruszyli dalej, już było za późno. Reuss von Plauen, mąż rycerskiej duszy i żelaznej woli, zebrawszy niedobitki z pod Tannebergu z 5000 ludzi wstąpił do Marienburga, z postanowieniem bronić do ostateczności stolicę Zakonu. Przewidując jednak grożące niebezpieczeństwo, przybył do obozu Polaków i ofiarował im za pokój Małe-Pomorze, ziemię Chełmińską, i niektóre inne powiaty. A gdy Polacy domagali się całych Pruss,— Nie! zawołał Plauen,— nigdy! Pokora moja i modły Zakonu przebłagały gniew Boga. Bóg i N. Panna nas ocalą. Ja nie opuszczę Marienburga.

Oblężenie trwało dwa miesiące. Zwycięzcy z pod Tannebergu, którzy byli pewni, że za ich ukazaniem się otworzą im bramy Marienburga, do takiego stopnia zrażeni byli tą długą obroną, że wymogłszy od Plauena 10000 dukatów za wykup więźniów, odstąpili od oblężenia.

Plauen uratował Zakon od grożącej mu zaguby. Został on obrany na mistrza, lecz niedługo się cieszył wdzięcznością swych braci. Nie wdzięczność jest jedną z oznak chylenia się do upadku społeczności. Dawne i nowe dzieje przekonywają nas o tém. W młodości swój człowiek jest ufający i szlachetny; w poczuciu swój siły i życia nie lęka się on poświęcenia dla tych, którzy obudzają w nim współczucie i podniecają zapał. Później, wyobraźnia ostyga, zimny egoizm i poziome rachuby materyalne zagłuszają uczucia i niszczą szlachetne popędy. Toż samo dzieje się z narodami, owém zbiorowiskiem ludzi. Ci którzy żelazną ręką trzymają rządy przestarzałego narodu, dowodzą przez to, że znają zgrzybiałość natury ludzkiej.

1410 roku 15-go lipca pod Tannebergiem wyginął kwiat rycerzy Zakonu. W kilka dni później, warownia i władza zgromadzenia ocalały tylko przez poświęcenie tego, który nie zwątpił o zbawieniu ojczyzny. W 1411, Plauen został obrany W. mistrzem; w 1414, zazdrośni jego sławy i władzy towarzysze, zapozwali go przed zgromadzenie, jak Dożę Wenecyi przed radę dzieściu. Zmusili go zrzec się swojej godności i poprzestać na mało znaczącej kommandoryi.

A gdy i tam jeszcze wzbudzał obawę swoich nieprzyjaciół, przeniesiony został do Lochstadt, gdzie strzeżony jakby winowajca, umarł w 1430 roku w zniewadze i zapomnieniu.

Zuchwały Sternberg, jeden z najgłówniejszych sprawców owęj niesprawiedliwości, obrany w końcu przez intrygi wielkim mistrzem, przekonał się, że wysoka godność i zaszczyty nie zawsze snem spokojnym obdarzą. Przyszło mu walczyć z Polską, która już wiele miast zabrała, i z licznymi trudnościami, pochodzącymi z braku finansów, a razem powstrzymywać niechęć narodu zubożonego wojną i znękanego niedostatkiem. W 1422 złożył on sam swój urząd i osiadł w Gdańsku, gdzie we dwa lata potem, umarł.

Pod rządem następcy jego Pawła Reussdorf, ogólna niemoc straszliwie czuć się dawała. W jednej części Pruss grasowały zaraźliwe choroby, drugą zajmowali Polacy. Skarb Zakonu był zupełnie wyczerpany, a wspaniały pałac Marienburga tak zubożony, iż zaledwie mógł utrzymać trzydzieści koni. Bandy najętych ochotników niemieckich nie otrzymując żołdu, włóczyły się po wsiach wybierając i łupiąc ciężkie kontrybucye. Zewsząd okazywały się znaki zapowiadające zwykle blizki upadek

państw. Ogromną budowę Zakonu, pokrywały już szczyby i czuć było, że się już chwiała na swoich podstawach. Człowiek takiego umysłu i charakteru jak Konrad Jungingen, lub takiej siły woli i energii jak Plauen, jeszczeby mogli wzmocnić ją i podtrzymać. Paweł Reussdordf wcale nie posiadał przymiotów obu tych dwóch wielkich mistrzów: zacny, prawy i ożywiony najlepszemi chęciami, lecz razem nieśmiały i chwiejący się, był to bojaźliwy sternik na rozhukaném morzu; Ludwik XVI w obec rewolucyi. Dla ukończenia niszczącej wojny z Polakami, rozpoczął z nimi układy i zawarł pokój, mocno mu ganiony. Usiłował on uspokoić szerzące się po całym kraju zamieszki, a nie miał nawet siły poskromić niezgody w swojej radzie. Jednego dnia, po odbytej burzliwej sessyi kapituły w Marienburgu, przestraszony umknął do Gdańska. Nakoniec zmęczony różnemi nieustannemi i licznemi zatargi, zmartwiony niepowodzeniem w tylu chwalebnych zamiarach, i widząc coraz trudniejszą pozycyę kraju, której zaradzić już nie czuł się w siłach, dostał czarnej melancholii, prosił o uwolnienie z urzędu, i prędko potém umarł nagłą śmiercią.

W ostatnich latach jego rządów, pokątne szemrania zuchwale objawiać się poczęły. Od u-

żaleń przyszło do oskarżeń, od oskarżeń do planów reformy i gwałtownych domagań się.

Dwa już tysiące ośmset lat upłynęło, jak Roboam syn Salomona, przedstawił na roztrząśnienie radzie swojej prośby ludu Izraelskiego. Od tego czasu aż do najpóźniejszych, ileż razy ta kwestya była dla rządów zadaniem niebezpiecznym, a często i śmiertelnym rozbięciem się! Jeśli ulegną pierwszym wymaganiom, powinny się obawiać, ażeby takowe ustępstwo nie było poczytanem za słabość i żeby nowych nie wywołało żądań. Jeżeli zaś odmówią, narazić się mogą na wywołanie buntu. Toż samo właśnie spotkało nieszczęśliwy Zakon Niemiecki.

W Prussach utworzyła się partya malkontentów, którzy domagali się reformy w zarządzie administracyjnym, zmniejszenia rozmaitych opłat, swobodnego rozstrząsania czynności rządowych, i przede wszystkim, zupełnego zniesienia wielu podatków. Ta partya składająca się ze szlachty wiejskiej, z kupców i obywateli znaczniejszych miast, wydała manifest, w którym usprawiedliwiała się, że celem jej dążeń jest dobro ogólne, że wszystkie jej czynności zwrócone są ku chwale Boskiej, i zmierzają do podniesienia godności W. mistrza

i pomyślności Zakonu. Znajome są formy podobnych, proklamacyi; wiadomo też wiele namiętności egoistycznych kryje się pod maską patryotyzmu, i ile pierwiastków rewolucyjnych w oświadczeniach uszanowania dla władzy.

Paweł Reussdorf patrzył na wzrost i rozwój tej partyi, niemając siły do jej zwyciężenia lub poskromienia. Następca jego Konrad Erlichshausen, przez dziewięć lat trzymał ją zrećznie na wodzy, niedopuszczając do żadnego wybuchu.

Tymczasem liga ta wzrastała, ciągle przybierając nowych zwolenników! Rozszerzała się po miastach, przeniknęła aż do obrad zamkowych w Marienburgu i zjednała dla siebie wielu urzędników Zakonu. Jan Baysen, zaszczycony ufnością dwóch WW. mistrzów, stanąwszy na czele tej partyi, dał jej poznać wszystkie tajemnice, plany i rzeczywiste położenie Zakonu.

W zgromadzeniu dygnitarzy wezwanych do Marienburga, dla obrania następcy po Kondradzie, jeden z głosujących odezwał się, że nie należy okazywać najmniejszej powolności względem zgrai wicherzycieli, ani też z nimi wchodzić w jakiegokolwiek układy; że potrzeba ich poskromić siłą

i zwrócić w karby obowiązku. Były to słowa mistrza niemieckiego I. Benningena. Wielu z jego towarzyszy było tegoż samego zdania, i sam Ludwik Erlichshausen, obrany W. mistrzem, skłonny był bardzo do chwycenia się wszelkich środków surowości. I wybuchła na koniec straszliwa domowa wojna, trwająca lat przeszło trzynaście.

Związkowi, których celem miało być niby ulżenie nędzy ludu, sami rozpoczęli od nałożenia ciężkich kontrybucyj; potem porwali się do broni i przyjęli do pomocy bandy najemników. Zakon ze swojej strony gotować się zaczął do obrony. Ogołocony z pieniędzy i ludności, musiał zastawić wiele dóbr swoich na najęcie zagranicznych posiłków.

W początku 1454 roku powstańcy zajęli Toruń i ztamtąd najzelżywsze do wielkiego mistrza posłali wezwanie. Król Polski dał im znaczne posiłki dla oblężenia warowni Zakonu. Przez siedemdziesiąt siedem dni, przy wielu bezowocnych wysileniach, trwało takowe oblężenie. Już część związkowych, widząc daremne swe usiłowania poczęła się cofać, gdy wiadomość o zbliżeniu się Kazimierza ze 40,000 wojska, dodała im nową odwagę.

Blizki już był upadek Marienburga, gdyby nie jeden z tych walecznych obrońców, jakich nieba zsyłają nieraz narodom upadającym w klęskach, jakby dla tego, żeby jeszcze po raz ostatni zadrgały wszystkie serca tryumfem, i ujrzały ostatni promień chwały upadający na pole żałoby. Był to Plauen, jeden z komturów, również dzielny, waleczny i wierny obrońca Zakonu, jak niegdyś jego imiennik. Nie uląkł się on w kilka tysięcy żołnierzy wystąpić przeciw królowi Polskiemu. Spotkał go pod Konitz i dzielnym, natarciem rozproszył całe wojsko.

17 września wieczorem uderzyły dzwony Marienburga, i lud wszystek pośpieszył do kościołów na dziękczynne *Te Deum*. Nazajutrz mury zamku ubrały się w chorągwie Zakonu. Na wierzchołku najwyższej wieży powiewała ogromna flaga z napisem: *Ich leide ohne Schuld* (1).

Oblegający wcale nie wiedzieli czemu przypisać takie oznaki radości. Gdy zaś usłyszeli o porażce Kazimierza, natychmiast zwinęli namioty i odstąpili od miasta. Zwycięstwo Plauena miało jeszcze inne następstwo: miasta, waro-

(1) Cierpię bez winy.

wnie i całe nawet powiaty już podbite przez związkowych lub też dobrowolnie połączone z nimi wróciły pod władzę Zakonu. Jeszcze jedno podobne zwycięstwo, i liga upaśćby musiała. Lecz na nieszczęście, Zakon ogołocony był z najżywoźniejszych środków. Niemając wojska, zmuszony był zbierać niesforne hordy najemników, dla opłacenia których napróżno szukał pieniędzy.

Nieopłacane żołdactwo najemne burzyć się w końcu poczęło. Przewódzcy ich, nietylko że natarczywie domagali się należnego im żołdu, lecz grozili nawet przejściem na stronę nieprzyjaciół.

Wielki mistrz dla chwilowego uspokojenia wydał akt za podpisem własnym i całej kapituły, którym się zobowiązał ustąpić im Marienburg i wszystkie posiadłości w Prussach i Nowej Marchii, w razie, gdyby po upływie czterech miesięcy nie mógł ich żądaniu zadosyć uczynić. Ten rozpaczliwy akt wydanym był 9 października 1454 roku. W miesiącu lutym następującego roku, wszystkie starania W. mistrza o pożyczanie potrzebnych pieniędzy, okazały się bezskuteczne. Wyprosił on u swych najemników nowy termin, i odłożył wypłatę do miesiąca kwietnia; ale i w tym czasie kassa

była próżną. Znowu więc musiał uniząć się przed wymagającymi wierzycielami, i błagać o litość i wzgląd na nieszczęśliwe położenie, aby otrzymać jeszcze czterotygodniową zwłokę, za co zmuszony był oddać im klucze zamku, w którym ci żołdacy rozgospodarzyli się jak we własnym domu, najpiękniejsze zajmując komnaty.

Gdy nadszedł dzieńznaczony i nieszczęśliwy a Erlichshausen nie był w możności wypłacenia długu, przewodzcynajemników oświadczyli, że wchodzą w posiadanie Mariënburga i wezwali W. mistrza, aby kazał stanąć przed nimi urzędowi miasta, dla uznania ich władzy i złożenia przysięgi na wierność. Ludwik był posłusznym. Wszyscy znakomitsi mieszkańcy miasta pospieszyli na jego wezwanie; lecz ich śmiały burmistrz, Blume, stanowczo oświadczył: że ani on, ani żaden z współ-obywateli nie dadzą się przymusowi, jakiemu pod Erlichshausen zmuszony był uleść, a raz zaprzysięgłszy wierność Zakonowi, na zawsze zostaną wierni swojej przysiędze.

Zmieszani tak niespodziewaną odpowiedzią, przytém nieufni czy się im uda pokonać orę-

żem lud tak stanowczo stawiający się z oporem, przewodzczy najemników udali się do króla Polskiego i wszystkie prawa swoje wynikające z aktu 9 października przekazali mu za 436,000 złotych owoczesnych.

Przez ostrożność uwięzili byli Erlichshausena i wypuścili go już wtedy, gdy byli pewni, że im w niczém przeszkodzić nie może. Ostatni wielki mistrz Marienburga udał się do Królewca. W czerwcu 1457 roku, król Polski zajął miasto, które mu drogo kosztować miało.

Zaledwie bowiem je opuścił, gdy wierny zakonowi Blume, porwał się do broni. Nieustraszony Plauen przyłączył się do niego z 1,200 ludzi: jeden przewodzca najemników Zinnenberg, oburzony postępowaniem swoich towarzyszy i drugi waleczny oficer Trosseler, także z zapalem przystąpili do tego związku. Na czele kilku tysięcy żołnierzy, gorliwi ci obrońcy Zakonu postanowili wdrzeć się do zamku zajętego przez polską załogę. Chociaż im się to nieudało, lecz że byli panami miasta, przywrócili tam znowu stolicę zakonu.

Dla odebrania Marienburga, Gdańsk, Elbląg i inne sprzymierzone miasta zebrać musiały nowe wojska, i król Polski wysłał na ten

cel 20,000 ludzi pod Marienburg. Ale dumni mieszkańcy miasta bronili się odważnie i długo nie chcieli się poddać. Wyglądali oni ze wszystkich stron posiłków, które albo wcale nie przybywały, albo też w bardzo nieznaczającej ilości; tymczasem wojna i choroby dziesiątkowały ich bezustanku; często pozbawieni żywności i amunicji, tylko z okiem zwróconém na chorągwie Zakonu, z sercem przepelnioném życzliwością dla swych dawnych mistrzów i z fanatycznym religijnym raczej zapałem, znosili oni wszystkie niedostatki, nieszczęścia i klęski, nieustając w rozpoczętej walce.

Przez trzy prawie lata bronili się oni z wielką stałością i wytrwałem męstwem. Gdyby podobna wytrwałość ukazała się jakich trzy tysiące lat temu w lichéj mieścinie Grecyi, jużby o nim wszystkie książki naszych szkół głośiły pompatycznie, i służyłaby za temat wszystkich rozpraw i wierszy studenckich. Lecz, że ta interesująca karta dziejów zapisana przed czterma tylko wiekami, że ta scena odbyła się tak blisko nas, pod znamieniem chrześcijaństwa, więc tylko bardzo mały stanowi epizod w toku dziejów powszechnych. I komuż dziś jest znane imię Blumego, owego męczennika swojej prawości, nie-

zachwianego w przysiędze urzędnika, wiernego obrońcę upadającego Zakonu!

Przeciągające się oblężenie już zaczynało zniechęcać Polaków i Gdańszczan. Mieli oni także na swym żołdzie najemne rotę nalegające uporczywie na wypłatę zaległości, i na ten cel obywatele Gdańska spieniężyć musieli srebrne naczynia i inne kosztowności. Kazimierz powrócił do swego państwa; zaraziłw choroby w obozie z powodu długich deszczów, ciągłej wilgoci i różnych niewygód przerzadziły jego wojska. Nadchodziła chwila, w której nieugięty Marienburg mógł spodziewać się nagrody za swoje męstwo i wytrwałość. Ale na nieszczęście, zmęczony trudami i wyniszczony chorobą Plauen, musiał opuścić miasto wtedy, gdy obecność jego była najbardziej potrzebną, a jakiś z Marienburgczyków przyjaciel Polaków, który znajdował się pomiędzy oblegającymi, wskazał im miejsce w okopach miasta, gdzie łatwo można było zrobić wyłom. Straszliwe skutki tego wypadku pomimo swoją czujność, nieszczęśliwe miasto uczuło zaledwie wtedy, gdy już niebyło środka zaradzenia, i musiało się poddać. 7-go sierpnia 1460 roku, dowódzca zamku i Baysen, w imieniu króla Polskiego objęli miasto.

Wojna domowa, zaczęta 1453 roku, zakończyła się pokojem w Toruniu 1466 roku. Na mocy tego traktatu, Polska otrzymała Małe Pomorze, biskupstwa Chełmińskie i Ermelandskie. Reszta Pruss zostawała przy Zakonie, z tytułem lenności. Każdy W. mistrz po swoim obiorze, obowiązany był uznać się wasalem króla Polskiego, przyjmując inwestyturę i wykonać na wierność przysięgę. Niewolno mu było zawierać traktatów bez upoważnienia swojego władcy, ani też żadnych związków z obcymi rządami; prócz tego, musiał dostawiać pewną ilość wojska na każde zapotrzebowanie króla.

I tak się skończyła trzynastoletnia wojna, tak ogromnie obie strony kosztująca. Zginęło w niej 80,000 wojska polskiego, 70,000 zakonnego i 13,000 najemników. Tysiąc kościołów, 15,000 wsi prusskich poszło w perzynę.

Pokonany Zakon, utracił najlepszą część posiadłości, zachowując resztę na upokarzających warunkach. Odtąd przestał należeć do państw samoistnych i wielkim krokiem do zupełnego chylił się upadku. Po Toruńskim pokoju odpadły od niego Inflanty. Wiele także innych jego posiadłości w Niemczech, Lombardyi, Sycylii, a

szczególnej bogata komandorya Palermiska, wyłamały się z pod władzy Zakonu, a zbliżająca się już Reformacya miała go i reszty pozbawić.

Stolicę rządu Zakonu przeniesiono do Królewca, i przy każdej nowej elekcji, akt lennictwa względem Polski stawał się ważną sprawą. Jeden z W. mistrzów, Marcin Wetzhausen, próbował wyłamać się z pod tego; lecz musiał znowu uleżeć, gdy Polacy wkroczyli w jego posiadłości.

Rycerze Zakonu rozumiejąc, że się pozbędą poniżającego składania hołdu, obierając na mistrza udzielnego księcia, w 1498 wynieśli na tę godność Fryderyka Saskiego, pod warunkiem, że nie będzie składać przysięgi posłuszeństwa królowi Polskiemu, i że odbierze wszystkie oderwane ziemie Zakonu. Polacy wzięli się do broni, a Fryderyk szukając w Niemczech pomocy, tam umarł. Miejsce jego zajął Albert Anspachski, wnuk Alberta Brandeburskiego, któremu współcześni nadali homeryczny przydomek Achillesa. Odtąd biedni rycerze nazawsze mieli być uwolnieni od poniżającego lennictwa. Albert będąc synowcem króla Polskiego, wyjednał 1525 roku, dla siebie osobiście i dla swoich potom-

ków, prawo inwestytury na prowincye Pruskie, które Zakon posiadał tylko tytułem lenności. W wycieczkach swoich po Niemczech upodobał on był naukę Lutra i dla niej odstąpił wiary katolickiej, złamał śluby wielkiego mistrza, pojął w małżeństwo księżniczkę Duńską i z największą gorliwością oddał się rozkrzewianiu nowego wyznania w swém państwie.

Ze śmiercią Blumego kończy się historia Marienburga. Historia Zakonu Niemieckiego, jako państwa niezależnego, ustaje w 1525 r. Bitwa pod Tannebergiem przygniotła go; pokój Toruński pozbawił najpiękniejszych posiadłości i najważniejszych przywilejów; a reformacja ostateczny sprowadziła upadek.

Odtąd ustaje potęga Zakonu, którą tak długo wywierał na północy Europy i którą jaśniał w tylu krainach. Zostaje tylko rodzaj religijnej kongregacyi, władającej jeszcze tu i ówdzie ostatkami dawnych nadań. Obiera ona jeszcze wielkich mistrzów, lecz ci już mieszkając spokojnie w Mergentheim troszczą się tylko o zachowanie okróchów przemożnych niegdyś dóbr swoich. Jeżeli z nich który i przypomni czasami usługi poniesione dla Chrześcijaństwa przez to waleczne bractwo, i zaprotestuje przeciwko rozbiorowi jakiego padło ofiarą, to w otaczają-

cém go powszechném milczeniu widzi jasno, że nikt nie pomyśli o wydźwignieniu go z upadku. Monarchowie Europy umęczyli Templaryuszów; monarchowie Europy opuścili walecznych rycerzy Rodyjskich. Wybiła teraz godzina Zakonu Niemieckiego—dozwolono mu konać.

Wierny jednak aż do ostatniej chwili swojemu pierwotnemu powołaniu, zakon stawał zawsze w obronie katolicyzmu. Rycerze jego należeli do wszystkich religijnych wojen z protestantami i walczyli przeciw Turkom. Ów znakomity palatyn Neuburgski co dowodził w 1685 przy oblężeniu Budy, był jednym z wielkich mistrzów. Ów ksiązę Stahrenberg, którego Austria uważa za jednego z największych swych wodzów, był także komturem Zakonu. Żołnierze jego mawiali: „choćby sklepienia niebios runęły, to i tak by nie zbladł Stahrenberg.» Nieustraszony ten wojownik, umierając kazał na grobie swoim wyryć te tylko słowa: *Miserere mei, Domine.*

Ale korzystający z męstwa tych wiernych rycerzy, nie troszczyli się wcale o zachowanie ich bytu. 24 kwietnia 1809 r. Napoleon zniósł zakon Niemiecki, i nikt nie zaprzeczył temu wyrokowi. Jedno pociągnięcie pióra położyło koniec historyi sześciu stuleci.

Powróćmy do Marienburga. Od 1457 roku zamek zamieszkały był tylko przez starostę polskiego i kilku podrzędnych urzędników, którzy niepotrzebując całego gmachu, zajęli z niego dla siebie najpiękniejszą część; reszta zaś gmachu powoli chyliła się do upadku. Wiadomo jak najtrwalsze budowy upadają prędko, skoro ludzie oddadzą je na niszczące działanie czasu, i kiedy przez trzy wieki żadna rozumna ręka nie dotknie się do nich z myślą ochrony od zupełnej ruiny.

Przy pierwszym podziale Polski, w 1772 r. Prusacy dostali w posiadanie Marienburg; lecz ani o podtrzymaniu upadających dachów i ścian zrujnowanych tych wspaniałych gmachów, ani nawet o zachowaniu tego co jeszcze ocalało od zupełnego zniszczenia, wcale nie pomyśleli. Przeciwnie, przyczynili się oni jeszcze do ruiny najpiękniejszych jego części. Poprzerabiali je na koszary i magazyny. W tymże samym czasie mnóstwo przekupniów i drobnych rzemieślników oszpecili jeszcze zamek przystawując do frontonu jego swoje szopy i warszaty. Komnaty WW. mistrzów oddano fabrykantóm, którzy dla wygodniejszego ustawienia machin, pomieszczenia robotników, pozabijali okna, przepierzali sale; o

granitowe pilastry oparli maszyny, bez miłosierdzia wydzierali wszelkie ozdoby sztuki i rzeźby, jakby na wyścigi ubiegając się o poniżenie całej architektonicznej wspaniałości i zastosowanie o-nego do swych celów i potrzeb.

Pod koniec ostatniego wieku, znaczna część tego królewskiego, rzec można, pałacu runęła, druga została tak przerobioną, że rycerze XVI wieku z pewnością by jej nie poznali. Wandalizm spekulacyj, ciemnota przemysłowców zrujnowały sklepienia, całe sale i prześliczną czworoboczną wieżę razem z kaplicą. W 1801 r. pewien jegomość z tytułem *Ober-Baurath* (główny radca budownictwa) będąc przekonanym, że da dowód głębokiej swój znajomości rzeczy, podał wniosek żeby zwalić mury górnego i środkowego zamku, a materiały użyć na pobudowanie nowego magazynu. Szczęściem, że ci którym ten dowcipny projekt był przedstawiony, nie pośpieszyli się z jego zatwierdzeniem. W 1807 r. Francuzi zajęli Marienburg i we wspaniałym refektarzu zakonu urządzili naprzód warsztat stolarski, później stajnię a nakoniec łazaret. Drugi oddział wielkiej armii, idąc do Rosyi zatrzymał się także w Marienburgu i rozdzieliwszy tę salę na dwie przegrody, umieścił w nich swoje szpitale.

Mimo jednak te wszystkie tak okropnie rażące przemiany, tak smutne zaniedbanie i wszelkie niszczenia dokonywane przez czas i rękę ludzką, droga ta pamiątka, dzięki niebu, nie miała zagać zupełnie. Już 1803 r. obrazy jakiegoś artysty i wymowny głos poety Max-Schenken-dorfa zwróciły uwagę rządu i narodu Pruskiego na ten wielki zabytek wieków średnich. Król kazał przedsięwziąć wszelkie możebne środki dla zachowania stariej rezydencji poprzedzających go władców Marienburga. Ale nastąpione wkrótce straszliwe wstrząśnienie całych Niemiec, bitwa pod Jeną i jej dotkliwe skutki, ku czemu innemu zwróciły myśl wszelką i uwagę. Budowa monarchii Pruskiej zagrożona była upadkiem; kiedyż było myśleć o podtrzymaniu murów zakonu Niemieckiego?

Po zawarciu pokoju 1815 r. znowu pomyślano o dawnym projekcie restauracyi. Na wniosek prezydenta Schon, i z rozkazu kanclerza Stanu, księcia Hardenberga, biegły architekt Costenoble podał plan odbudowania starożytnego gmachu, wykonany przy pomocy księdza Hablera z Marienburga, który długo studyował charakter struktury i ślęczył nad kronikami zamku. Plan ten przejrany w najdrobniejszych

szczegółach i potwierdzony przez Schinkel'a, miał ten jedyny zarzut, iż wykonawców na wielkie naraził wydatki. Lecz zaledwie na brzegach Wisły i Nogatu usłyszano, że rząd zamyslał o podniesieniu ze zwalisk pałacu WW. mistrzów, wieść ta obudziła wszędzie najżywsze współczucie i wywołała wspaniałe ofiary. Związały się natychmiast stowarzyszenia urzędników, księży i mieszczan, które z zapałem ubiegały się o zaszczyt współdziałania w tém narodowym przedsięwzięciu. Okoliczni nawet od Marienburga włościanie domagali się w tém uczestnictwa, przyjmując na siebie zwiezienie bezpłatnie budowlowych materyałów, oczyszczenie podziemia i dziedzińców zamkowych; co było wcale niemałą rzeczą, gdyż w przeciągu dwóch lat, 48,000 wozów gruzu wywieziono.

Dla dogodzenia życzeniom wszystkich, rząd podzielił ogólny plan na wiele oddziałów, i wyłączone wykonanie takowych pomiędzy stowarzyszenia rozdawał. Każde z nich z najżywszą wdzięcznością świały ten pomysł przyjąwszy, usilnie wzięło się do roboty, mając za zaszczytną nagrodę możność położenia swego imienia na wykończoném dziele. Tym sposobem, wspaniałe podwoje rycerskiego refektarza zrobione

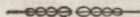
były przez obywateli miasta Marienwerder; wysokie okna z całym oszkleniem, przez miasta Pruss zachodnich; jeden ze zdobiących go dziś stołów dany był przez miasto Chełm, a drugi przez barona Rosenberg. Blanki murów i inne fortyfikacyjne galerye, porobiono ze składek oficerów. Komnaty wielkiego mistrza wspaniale ozdobione zostały przez książąt Reuss, potomków walecznego Plauena. Wiele familij ofiarowało do tych pokojów najpiękniejsze przedmioty, jako to zbroje, obrazy. Uczniowie Gymnazyów i profesorowie Uniwersytetu Królewieckiego ofiarowali bardzo piękne szyby. Bank Pruski również przyczynił się do upiększenia tego gmachu. Rodzina królewska odnowiła w zupełności salę WW. mistrzów, w której niegdyś przyjmowali posłów i książąt zagranicznych. Duchowieństwo protestanckie odbudowało kaplicę; a katolickie, odnowiło kościół, który dziś jest parafijalnym w Marienburgu, kaplicę S. Anny i umiejętnym opracowaniem odświeżyło olbrzymią statuę N. Panny.

Pomimo całą biegłość artystów, przewodniczących tym restauracyom i mimo usilną gorliwość wszystkich współpracowników, niemożna było tej znakomitej rezydencyi WW. mistrzów przywrócić w pełni ani dawniej okazałości, ani też kształtów pierwotnych. Część jej murów zrzucano

do reszty a część ozdób całkiem zagięła. Ale samże udział tylu wspólnych zabiegów i silnej woli ku odbudowaniu tego gmachu, ta gorliwość patryotyczna ogółu, ta myśl pobożna ożywiająca wszystkich, czyż nie były jakby nowém, uroczystém jego poświęceniem? Niegdyś była to własność korporacyi. Dziś jest dziełem narodowém całego kraju, jest jego pomnikiem historycznym, jego religijnym przybytkiem.

W 1822 roku na uczcie dawanej przez zapalonych patryotów, w pamięć wskrzeszenia z gruzów Marienburga, ksiązę Pruski przemówił te słowa: «Oby wszystko co wielkie i zacne istniało jak ta budowa!»

Szlachetna dewiza — i wyrzeczona we właściwym czasie! Oby jej nieba wysłuchały!



IV.

P o m o r z e.

Ciekawy to kraj do zbadania, owo podłużne wybrzeże Pomorza! Ciekawy dla geologa, który tam znajduje grunt tak niedawno zalany morzem a dziś własność człowieka i jego pracy; ciekawy dla etnografa, który tam ślady mnogich pokoleń odkrywa; dla moralisty, który odcienia rozmaitych charakterów i postęp rozwoju narodu postrzega. Na tym piaszczystym, bagnistym i dzikim niegdyś, a dziś użyźnionym gruncie, wszystko nam świadczy o mozolnej i wytrwałej pracy, któraby i Hollandczyków przyniosła zaszczyt—Hollandczykom, którzy w sztukach i rolnictwie, cierpliwość do potęgi jenuuszu podnie-

śli. Na tej samej ziemi, która sądząc z jej lichego pozoru i położenia, powinna była zostać po za ruchem Niemiec—odbywały się równie długoletnie walki, zawzięte wojny i spustoszenia jak i w krajach, które przez swą bogatą naturę większą obudzić mogły chciwość.

Nasamprzód Celtowie ten kraj zaludniali. Byli to pierwsi mieszkańcy Europy, których ślady, archeologowie po kurhanach, gdzie zakopywali swoją broń kamienną, a historycy w pokładach następnych pokoleń znajdują. Po Celtach, natchodziły kraj rozmaite plemiona Germańskie, a po tych Sławianie.

Niemcy, którzy w pierwszych wiekach ery chrześcijańskiej zasiedli brzegi Bałtyku, nie długo tam pozostać mieli. Starożytni rzymscy pisarze zostawili nam smutne opisy dawniej Germanii. Wszyscy jednoznacznie opisują ten kraj jako piaszczysty, nieuprawny, dziki, pokryty ogromnymi lasami, z których las Hercynijski (Harz dzisiejszy) zajmował taką przestrzeń, iż na przejście go w szerz dni dziewięciu, a wzdłuż sześćdziesięciu potrzeba było. Tu i ówdzie ogromne rzeki niepodobne do przebycia; mnóstwo jezior i błot, szkodliwe dla zdrowia wy-

dających wyziewy; i wszędzie surowy klimat, w którym żadne płody ziemi dojrzewać nie mogły. Wnosić należy, że takie ponure obrazy kreślone przez ludzi przywykłych do zbytku wielkich miast rzymskich, do włoskiego nieba — były przesadzone; gdyż i w naszych czasach napotykamy wiele takich opisów Północy, podanych przez mieszkańców południowych krajów. Lecz nieulega wątpliwości, że owe dzikie, burzliwe germańskie plemiona wcale nie umiały lub też gardziły umiejętnością uprawiania roli w krajach, które zamieszkiwały. Małe polka nieumiejętnie wykarczowane i zasiane jęczmieniem lub owsem, stanowiły całe ich rolnictwo. Polowanie i rybołówstwo, jak u dzikich Indyan Ameryki, były jedynym środkiem ich utrzymania się; a gdy lasy, rzeki, jeziora, łąny, których wcale nie oszczędzali, zostały wyczerpane, wówczas opuszczali ten kraj, jak Tatarzy i Laponczycy opuszczają pastwisko spaszone już do szczętu przez trzody. Ztąd powstały owe bezustanne wędrówki, owe ruchliwe hordy, co rzucając się jedna na drugą jak fale oceanu, nawalnicą przerzucały się z prowincyi do prowincyi, z kraju do kraju, i za coraz nową goniąc łupieżą, dotarły wkońcu urodzajnych równin Italii, oparły się aż o mury stolicy świata, która

przed ich barbarzyńskim naciskiem ostać nie-mogła.

To co zaszło w południowej Germanii, tém bardziej dziać się musiało w jej najdzikszych okręgach. Plemiona wyszłe z surowych, dzikich i zapadłych krain Skandynawii—co tyle wylała ludów, że ją *Vagina gentium* nazwano,—rozkrzewiły się na południowych wybrzeżach Bałtyku; za nimi poszły inne pokolenia i tak dochodziły do stref łagodniejszych. Wślad za ogromném plemieniem Gotów, zjawiły się w różnych epokach liczne plemiona sławiańskie: Polan, Czechów, Serbów, Obotrytów, Wendów, które gwałtownym napadem albo spokojnemi wędrówkami, zajęły wschodnie, południowe i północne strony Niemiec, Meklenburg, Luzacyę, brzegi Adryatyku i Dunaju. W VI wieku Wendowie posuwając się na południe Bałtyku i znalazłszy tam wyludnioną ziemię, osiadali bez przeszkody. Od nich otrzymała ona nazwę Pomorza (Pomerania) (1) i oni pierwsi uprawiać ją zaczęli.

(1) Obecny jest dla mnie dyalekt Wendów, lecz język Rossyjski, jako od pierwszego pochodzący, objaśnia mi tę etymologię: *po*—(blizko), *more*—(morze).

Pisarze starożytni mieszając Sławian z rozmaitemi hordami Sarmatów, zostawili nam bardzo ciemne o pierwszych wiadomości. Fizjonomie ani zwyczaje tych ludów wcale nie były opisane przez jakiegoś Tacyta lub Juljusza Cezara. Niektóre tylko cechy charakterystyczne o nich, znajdujemy u Prokopa i Konstantyna Porfyrogenity. Co się zaś tyczy charakteru tych rozlicznych pokoleń rozpieczętych po rozmaitych krajach, to dla jego poznania choć w części, trzeba się uciekać do kronik miejscowych.

Podania Północy przedstawiają nam Wendów jako piękną, silną rasę ludzi z błękitnymi oczyma, białej płci i rumianej twarzy. I dziś rysy podobne oddzielną stanowią cechę rasy Rosyjskiej. Mężczyźni nosili obuwie z kory, jak i dziś prawie widzieć to można u chłopów Rosyjskich — i rodzaj surdutów fałdowanych z płótna lub sukna, koloru błękitnego. Głowy przykrywali małą czapką, a szyje i piersi mieli zawsze odkryte. Kobiety nosiły suknie za kolana, z przodu otwarte a związane w pasie. W Polsce i Czarnogoryi napotkać jeszcze można podobne ubiory.

Wendowie, równie jak i starożytni Germani, byli barbarzyńskiej religii i obyczajów. Począt-

kwie mieli oni jakby platonieczną intuicyę wiary w jednego, najwyższego Boga, przynajmniej tak wnoſić należy z pojęcia o ich bogu, *Bóg* źródle ſwiatła, pierwiastku życia, którego czcili w myſli, i któremu żadnych nie ſwięcili ofiar, w przypuszczeniu że tém obraziliby jego najwyższy majestat.

Lecz to pierwotne pojęcie przerodziło ſię w wielobóstwo, którego rozmaite symbole przypominają nam bogów Indyjskich. (1) Na czele tej teogonii ſtały dwa bóstwa, przedstawiające początki dobrego i złego: Belbog, (bóg biały) Czernegod, (bóg czarny). Ten ostatni przebywał w ciemnych głębinach ziemi. Dla ułagodzenia jego złości, potrzeba było często przynosić ofiary. Belbog miał wielu synów, których pieczy powierzył rozmaite kraje. Stawiono im ſwiątynie, a dla oznaczenia ich mocy wyobra-

(1) Według podania czcigodnego Helmolda, który w XII wieku w ſwojej wiejskiej zaciſzy ſpisywał *Chronica Slavorum*, Sławianie mieli tyſiące bałwanów z wielą głowami. Mieli oddzielnych bogów na polach i w lasach, w dni uroczyste i żałobne; lecz uznawali też jednego Boga któremu wszystkie inne bóstwa były podwładne.

żano ich z wielą głowami. *Tryglow*, czczony wyłącznie w Szczecinie, miał ich trzy, *Barowit*, miał pięć, dla tego ażeby mógł czuwać nad pięciu prowincjami Pomorza. *Rugowit*, bóg wojny, miał aż siedem i u jego pasa wisiało siedem mieczów. Najznakomitszy z tych bogów był *Swantevit*, (*Świętowit*), którego świątynia znajdowała się w Arkonie. O tym bogu przy opisie wyspy Rugii, wspomnimy obszerniej.

W Rhetra, w dzisiejszém księstwie Meklenburg-Strelitz, znajdowała się świątynia pierwszego rzędu, rodzaj *Metropolii*, gdzie były posagi wszystkich bogów, czczonych w rozmaitych prowincjach Wendów. Pomiędzy temi był wizerunek *Radegasta*, patrona Rhetry, w złotej zbroi, z puklerzem na piersiach z wyrobioną głową byka, na czole szyszak z ptakiem u góry i z *halabardą* w rękę.

Takowa Mitologija Wendów, którą poznaliśmy z pozostałych tradycyj, wcale nam nie przypomina panteizmu starożytnéj Grecji objawiającego się w tylu najrozmaitszych fikcyjach i poetycznych scenach; niema też w niej głębokiego mistycyzmu Indyan. Jest to zimna, treściwa, surowa mitologija, która,—obok tego przelicznego

mnóstwa wizerunków bogów, złych duchów, istot nadpowietrznych i straszliwych uosobień, co nakształt olbrzymiego obrazu rozciąga się przed nami z drugiej strony Bałtyku w powieściach Skandynawów — słusznie uważaną być może jako dogmat bez żadnego rozwoju.

Godnym jest uwagi że Wendowie, dzieci natury również jak Grecy i Celtowie, mieli zabobonne poszanowanie lasów. Oprócz świątyni, w której oddawali cześć swoim bogom, mieli oni jeszcze poświęcone bory, gdzie się bliżej bogów znajdować sądzili. Wejście do takowych tajemniczych ustroni, pod karą śmierci dla ludu zabronionem było. Jeden tylko kapłan mógł tam wchodzić, i wszystko co się tam znajdowało, było w najwyższem poszanowaniu. Niewolno było ściąć żadnego drzewa, urwać gałązki, ani zabić żadnego ptaszka. S. Wojciech zasnąwszy w jednym z takich miejsc poświęconych, został okrutnie zamordowanym.

Wendowie oddawali także cześć niektórym źródłom odznaczającym się jakąś niepospolitością, tak jak Lapończycy czcili dziwaczne wierzchołki skał. I jak Jowisz na Styx się zaklinał, tak oni na te źródła dopełniali uroczyste swoje przysięgi.

Kapłani wywierali potężny wpływ na gminy Wendów i piastowali rozliczne urzędy. Strzegli oni wody, poświęcone lasy i świątynie. Hodowali także wyborowe konie poświęcone bogóm, jak w Siam pielęgnują białe słonie. Podobnie jak Westalki musieli utrzymać wieczny ogień z gałęzi dębowych; albo jak *godar'y* w Islandyi, przyjmowali przysięgi ludu i wydawali wyroki sądowe; jak kapłani Delfijscy wypowiadali wyrocznie; i jak rzymscy *aruspevi* czytali przyszłość z wnętrzości zwierząt.

Przed każdym ważnym wypadkiem ogłaszali uroczystość, na którą bez wyjątku zwoływali wszystkich. Wezwani zbierali się koło świątyni a najczęściej koło świętego lasu, i kapłani zabijali tam barany, woły, a niekiedy nawet i jeńców wojennych. Podanie Skandynawskie głosi, że Sygurd, przyłożywszy do swych ust palce namoczone we krwi smoka, zrozumiał język ptaków. Kapłani Wendów utrzymywali, iż pijąc krew ofiary, łatwiej im było rozumieć głos bogów. Ciepłą krew zabitej ofiary wypijali natychmiast, a zarznięte zwierzęta dzielili między ludem, który przy tańcach i wesołych okrzykach przez wiele dni potem biesiadował.

W każdej prowincyi kapłani wybierali ze swe-

go grona jednego starca na dożywotnią godność wielkiego kapłana (Krywe), który zaraz po obiorze swoim usuwał się w głąb poświęconych lasów, i odtąd już tylko przypadkiem lub jako dowód szczególnej łaski ujrzeć można było zdaleka jego białą głowę, w półcieniu samotnego mieszkania. Ktoby choć najkrótszą chwilę mógł go widzieć, uważał to za szczęście dla siebie. Czuwało przy nim nieustannie dwónastu kapłanów, którzy otrzymywali od niego rozkazy i tłómaczyli je ludowi. Bogowie przemawiali do wielkiego kapłana za pomocą piorunów i błyskawicy, i jego wyroki przyjmowane były z najgłębszém uszanowaniem, jako wyraz woli bogów. Nie jeden z wielkich kapłanów, ażeby unieśmiertelnić swe imię, lub też dla nadania charakteru świętości swojej pamięci, poświęcał się dobrowolnie na śmierć najsroższą. Blizko jego mieszkania układano stos—i naród wezwany był do obecności przy téj ofierze. Ubrany w szaty kapłańskie, w śród grona sług i ofiarników, zbliżał się powolnym krokiem Krywe do stosu, poważnie wstępował na rusztowanie, i przemawiał do zgromadzonych, że dla przejednania bogów poświęcał siebie samego na ofiarę. Gdy skończył przemowę, zapalano ogień u stosu i tak ginął w płomieniach.

Pierwotne historyczne nazwisko Sławian pocho-

dzi od *Sława*. Później przez wzgardę i ciężką niewolę jakiej doznawali jeńcy sławiańscy u Niemców, szlachetna ta nazwa zmieniła się w niemieckim języku w słowo obelżywe i krzywdzące, i ztamtąd przeszło ono w tém znaczeniu do innych języków Europejskich (1).

Niebyli to jednak niewolnicy, gdyż cesarz Maurycusz o nich powiada: «*Libertatem colunt, nec ulla ratione ad serviendum vel parendum persuadentur; maxime in regione propria fortes tolerantisque.*» (2) Niebył to lud niewolniczy, gdyż nie uznawał u siebie żadnej różnicy kast, ani żadnych godności dziedzicznych; zaś rozpoczynając wojnę obierał sobie dowódców, wojewodów, którzy po skończonej wyprawie znowu jak Cyncynatus wracali do życia prywatnego. Starożytne ustawy rozmaitych pokoleń tego narodu, noszą na sobie wyłączną cechę pierwiastku demokracji, i pierwiastek ten tak głęboko w nich utkwiał, że ślady

(1) Niewolnik po francuzku *esclave*; angielskie *slave*; włoskie *schiaivo*, hiszpańskie *esclavo*; niemieckie *sklave*; duńskie *slave*; szwedzkie *slaft*.

(2) Lubią swobodę; nic niezdola nakłonić ich do niewolnictwa, przedewszystkiem są nieugięci i waleczni w swoim własnym kraju.

jego dziś nawet widzimy w Rosyi w zarządzie gmin, pod nieograniczoną władzą Carów.

Wendowie sami dla siebie obierali na swoich wiecach naczelnika z tytułem księcia, który im w wojnach przewodził. Sprawiedliwość, jak już widzieliśmy, wymierzana była przez kapłanów. Religijne ich powołanie nadawało sądownictwu charakter uroczysty. Zarząd gminy powierzonym był radzie starców, *starostóm* obieranym przez naród. Wendowie nie płacili żadnych podatków. Książę i kapłani utrzymywali się z dochodów własnej ziemi, również jak i włościanie.

W powiecie, wieś każda składała oddzielne ciało, a w niem, każda rodzina stanowiła także małą, niezależną gminę. Mężczyzna mógł mieć trzy żony i był nieograniczonym panem domu. Władza ojcowska, tak wysoka u Rzymian, była jeszcze potężniejszą u Wendów: nie znosiła żadnego wtrącania się i miała prawo życia i śmierci. U Wendów ojciec sam mógł być katem swoich synów, jeżeli ci popełnili jaką zbrodnię. Co więcj nawet, mógł on, jak u Chińczyków, topić dzieci jeśli ich miał zawiele, albo tracić takie, które były ułomne lub słabe, dając za powód że widok kalectwa i niedołęztwa, nie podoba się

oczóm bożkim i ludzkim. Zapewne przez łakomstwo oszczędzano więcęj życie córek, gdyż jak powiadali, córki wzbogacały dóm, gdy synowie przyczyniali się do ubóstwa. Jak niegdyś w Skandynawii, a dzisiaj na Wschodzie, Wendowie, wydając za mąż swoje córki wcale im nie dawali posagów, lecz po prostu je sprzedawali. Związek jednak małżeński, poniżany tym sposobem, uszlachetniał się symbolicznemi i pełnemi poezyi obrządkami. Jak tylko umowa była skończona, zaraz przyjaciółki narzeczonej zbierały się koło niej, nie dla czczych powinszowań, lecz żeby w tradycyjnych śpiewach lub nową improwizacyą opiewać żałobę rodziny i domowego ogniska, które opuścić miała. Potém przyszły małżonek przysyłał po nią powóz. Gdy przybyła do domu, który miała zamieszkać, spotykał ją u drzwi człowiek trzymający w jednym ręku kubek miodu, a w drugiej zapaloną głównię i przemawiał w te słowa: «Jak utrzymywałaś ogień, pod dachem twego ojca, tak też chowaj w domu twego męża.» Po wejściu do środka sadzono ją przy ognisku, dla pokazania, że tam powinien się skupiać cały zakres jęj działalności. Później obmywano jęj nogi, co mogło być oznaką czystości jaką wniesć była powinna do nowego domu, lub też może dla zniszczenia śladów tego domu, którego się na zawsze wyrze-

kała. Na usta jęj kładziono trocbę miodu w oznakę słodyczy, jaką zawsze w słowach swoich powinna była zachować. Orowadzano ją z zawiązanemi oczyma do kaźdych drzwi, dla pokazania, że jak w ciemności tak i we dnie powinna umieć w swym domu chodzić. W końcu rzucano na nią ziarna zboża, przemawiając w te słowa: «Zostań wierną czci naszych bogów, a oni użyzną tve pola.» Później jedna z towarzyszek obcinała jęj włosy, tę ozdobę dziewiczą, wkładała na głowę białą zasłonę z koroną i odprowadzała na weselną ucztę. W dniu tym, panna młoda była przedmiotem największego uszanowania. Nazajutrz wchodziła w obowiązki gospodyni i zostawała pięrszą sługą męza.

Obrządki pogrzebowe Wendów, również ciekawy dają nam rys ich obyczajów. Umierającego zwyczajną śmiercią, krewni nie spieszyli się wcale z pogrzebem dla prędszego osiągnięcia spadku. Owszem, trzymali jego ciało jak najdłużej w domu, dla pokazania, jak ciężko im przychodzi się rozstać ze zmarłym. Kiedy już ciało poczynało się rozkładać, wówczas ubierano je w białą koszulę, sadzono na krzesle i przyjaciele nieboszczyka w długich libacyach składali mu ostatnie pożegnanie; poczem wieziono już ciało na cmentarz. Ko-

bięty odprowadzały zwłoki aż po granicę wsi; a mężczyźni wydając żałośnie okrzyki, wstrzęsali w powietrzu pałkami dla odpędzenia złych duchów, któreby chciały zawładnąć nieboszczykiem. Zwykle ciała nie grzebano lecz palono na stosie. Popioły zebrane starannie składano do urny razem z pierścieniami, łańcużkami, sprzężkami ozdobami z bursztynu lub kości słoniowej, które zmarły nosił za życia—i wtedy urnę zakopywano do grobowca. Wendowie wierzyli, że po śmierci pójdą na inny świat i znajdą tam też same położenie jak na tym świecie; zajmować się będą tąż samą pracą, oddawać się tym samym uciechom, doznawać tychże samych boleści. (1) Taki był ich dogmat o nieśmiertelności, najnędzniejszy i najsmutniejszy ze wszystkich jakie napotykamy w rozmaitych mytologijach, i ażeby się niezawiedli w tém lichém oczekiwaniu, trzeba im było dopomagać, trzeba było spalić razem z niemi ich oręż, suknie, konie i psy myśliwskie. (2) Niekiedy

(1) U naszych antypodów, między mieszkańcami Nowej Zelandyi, podróżni znaleźli takąż samę gorzką i rospaczliwą wiarę. G. Grey, *Polynesian Mitholog*. Taylor, *New Zeland and its inhabitants*.

(2) Musimy wspomnieć przelotnie, że w dawniejszych posiadłościach Francuzkich na Madagaskarze, przed

nawet, żeby ich przyjsie na świat nowy było okazalsze, palono razem i sługi.

Wiadomem jest powszechnie, że Sławianie zjawiając się w różnych krajach Europy, odznaczali się od wszystkich narodów z którymi się zetknęli, więcej łagodnością charakteru, zamiłowaniem pracy i życia domowego, nizeli skłonnością do wędrownego i wojowniczego życia. Jak tylko narody opierające się ich przejściu, dały im chwilę wytchnienia, tak że mogli spokojnie broń złożyć, natychmiast budowali domy i zajmowali się uprawą roli. Wiele słów wprowadzonych przez nich do języka germańskiego jak n. p. *rož*

30 laty pogrzebiono sławnego króla Radama z zachowaniem obrządków, używanych u Sławian Pomorskich. Tylko że z nim niepochoowano ani grubej tkaniny ani broni pierwotnej; ale położono najbogatsze wyroby przemysłu Europejskiego, pyszną broń, dzieła sztuki, które Francya i Anglija przysłały w podarunku królowi Malgache; złote i srebrne wazy, dyamenty, wspaniałe zbroje, haftowaną odzież, i malowidła. Co więcej jeszcze, zarznięte na jego grobie sześć pięknych koni, i dwadzieścia tysięcy wołów, były ofiarowane na uczczenie tego dnia pogrzebu. (*K. de Froberville, Voyage à Madagascar, 1840*).

(żyto) *med* (miód), *pług* (pług) (1) i słowo *chleb* *klieb* (2) które się w języku gockim znajduje, zdają się świadczyć że Słowianie obeznali Niemców z lepszą uprawą roli, i z wielu przedmiotami domowego gospodarstwa.

Wszyscy podróżni zwiedzający Rosyę, podziwiają zręczność przewoźników na Donie i Wołdze, i my sami przypominamy, z jakim podziwieniem patrzaliśmy na przybywających do Hammerfestu marynarzy rosyjskich, bez obawy puszczających się z Archangielska aż do Spitzberga, na statkach których pomosty niebyły nawet przybite kołkami, ale tylko związane z sobą wiciami brzoźowemi. Na drugim końcu Europy, w Dalmacyi, z niemałym też podziwieniem postrzegamy wprawę marynarską narodu sławiańskiego w większej części miast, wsi i na brzegach Adryatyku. Dawniejsi Słowianie odznaczałi się takąż samą instynktywną zdolnością do marynarki, i niezachwianą odwagą w passowaniu się ze wzburzonym i rozhukanem morzem. Przybywali oni z nad brzegów Kaspijskiego mo-

(1) Po niemiecku Roggen, Meth, Pflug.

(2) Po gotycku *hlaib*.

rza, i napotykając w swój wędrówce inne jakie morze, witali je z radością, rzucali na nie swoje łodzie rybackie a potem i okręta.

Osiadłszy na Pomorzu, Wendowie znaleźli tam dwa drogie elementa pracy, ziemię dla uprawy i morze do żeglugi. Jeśli się nie rzucali podobnie jak Skandynawi na śmiałe wycieczki, to należy przypisać temu, że nie mieli owego burzliwego i wojowniczego usposobienia dawnych Normandów. Być może też, że sama natura kraju przerzniętego rzekami wpadającymi przy niegłębokich portach, przyczyniła się do rozwinięcia u nich spokojnej wewnętrznej żeglugi, i nie powodowała wydalać się na dalekie odkrycia i podróże.

Dzieje ich przedstawiają nam zajmujący przykład cichój i wytrwałój kolonizacyi. Zaczęli oni od budowania tu i ówdzie drewnianych chatek na uprawianych przez siebie gruntach. Tam, każda rodzina żyła udzielnie, jak patryarchalne familije, z owocu prac swoich około roli i z hodowli bydła. Praca była ich bogactwem, ziemia nauką, a jój piękność rozkoszą; wszystkie zjawiska przyrody stanowiły ich poezyę. Rok dzielili na dwie pory, zimę i lato,

a miesiące przezywali od szczególnych cech lub odmian wybitnie je odznaczających; tak np. były miesiące kruka, gołębia, kukułki, brzozy, siejby, żniwa, upału, opadania liści, wiatru, śniegu i lodu. Nasi demokraci z 1793 roku, chlubili się wprowadzeniem kalendarza republikańskiego. Na tysiąc lat przed niemi, ciemni, nieokrzescani Wendowie uprzedzili ich w tym mądrym wynalazku.

Powoli przez wzrost ludności, stosunki handlowe i przemysłowe, na miejscu pojedynczych samotnych domków powstały sioła. Później wojny zmusiły Wendów do budowania sobie warownych schronień od nieprzyjaciół. Kroniki świadczą, że oni pobudowali niektóre ważniejsze miasta, jak np. Julin i Vineta. To ostatnie leżące jakoby w miejscu gdzie dziś znajduje się Wolgast; między Szczecinem i Greifswald, miało być tak wielkie jak Lubeka i zaludnione przez bogatych mieszkańców. Ponieważ dziś nie mamy żadnych śladów tych miast, wnosić należy, że były stawione z bardzo nietrwałych materiałów, tak że dość było jednego pożaru na zupełne ich zniszczenie.

Nieszczęśliwy to był naród Wendowie! Jedy-
nem ich żądaniem było spokojne używanie po-

siadanego mienia, lecz zawistni i chciwi sąsiedzi i tego im nie dozwolili. Przez całe wieki, spokojna rolnicza kolonia nieustannie napastowana była przez Duńczyków, Sasów, Szwedów i Polaków. Nieprzyjaciele ci napadali na nich to oddzielnie, to znowu wspólnie gdy pojedynczo oporu przełamać nie mogli. Wendowie w obronie swojej niepodległości bili się z wytrwałym zapalem i męstwem; zwyciężeni, znowu powstawali, a pokonani przez liczniejszego wroga jedynie tylko dążyli do nowego wybicia się z niewoli. Naprzód Duńczycy nałożyli na nich haracz. W 1032 roku część wyższą Pomorza, dotykającą brzegów Wisły a przez Niemców nazywaną *Hinter-Pommern*, podbili Polacy, którzy w 1121 roku, po wielu morderczych napadach i krwawych zapasach zdobyli i drugą część tego kraju. I odtąd w dziejach téj ziemi rozpoczyna się epoka chrześcijańska.

Od trzech już wieków kwestya chrześcijanizmu poruszała barbarzyńskie ludy północnej Germanii. Karol W. ochrzcił był dzikich, Saksonów, nie przekonaniem ale siłą oręża. Ludwik *Dobroduszny* kontynuował dzieło swego ojca na drodze bardziej ewangelicznej, bo przez spokojne wpływy bogobojnych missyonarzy. Jedno biskup-

stwo założoném zostało w Bremen, drugie w Ham, gdzie później stanął Hamburg. Na brzegach Wezery, w Pikardyi, założono klasztor zależący od opactwa w Korbii. Odważni apostołowie wychodzili z tych ustroni i z krzyżem w rękę, bez żadnej pomocy, bez przewodnika, udawali się w dzikie kraje opowiadać barbarzyńskim plemionom słowo Ewangelii, wojownicze hordy nauczać cnoty łagodności, drapieżnym piratom wpajać miłość bliźniego i poszanowanie cudzej własności. Wytrzymali na brak wszystkiego, obojętni na zniewagi, bez troski o groźne niebezpieczeństwa, bez obawy śmierci, wytrwale dokonywali swego posłannictwa, z największym zapałem i miłością, niezachwianą wiarą w Boga i ze spokojnym poddaniem się jego woli. Też same czyny bohaterskiego poświęcenia się, też same cnoty ubóstwa i zaparcia się, też same cuda co przed laty uświetniły pierwotny Kościół, w wielowiekowej przerwie powtórzyły się na Północy. Kapłani pogańscy z osłupieniem patrzyli na tych biednych, osłabionych i wycieńczonych trudem i postami księży, którzy im obaleniem ołtarzów srogiego Odina i straszliwego Thora grozili. Starzy wojownicy ze drżeniem serca przyjęli słowa miłosierdzia, poraz pierwszy od nich usłyszane. Królowie

Danii i Szwecyi usłuchali nauk pokornego zakonnika S. Ansgarda. Islandya, kolebka tajemniczych sagów, świątynia poganizmu Skandynawskiego, zburzyła także ołtarze swych bogów, i na tém samem miejscu, gdzie Saemund pisał Eddę, zatknęła chorągiew krzyża.

Sławianie polscy już pod koniec X wieku przyjęli chrześcijaństwo; Meklemburscy zaś i Pomorscy trwali jeszcze w swojej czci lasów, wód, siedmiogłowych bogów i złych duchów. Książęta Polscy oświadczyli, że główną pobudką wypraw na ziemię Wendów było krzewienie tam wiary katolickiej. Ztém wszystkiém przypuścić się godzi, że i same korzyści materyalne obojętni dla nich nie były. W 1000 roku, cesarz Otton uwolnił Bolesława od corocznego haraczu pod warunkiem, że książę ten dołoży wszelkich starań do nawrócenia Pomorzan. Bolesław w celu dopełnienia przyjętego obowiązku ruszył tam z siłą zbrojną. Lecz ani on, ani wielu z jego następców, ani też zapamiętałe walki i liczne klęski nie zdołały upartych Wendów nawrócić. Nie przynosiły też żądanego skutku, spokojne i łagodne tłumaczenia pobożnych i wymownych misyonarzy, nawet S. Wojciecha. Pewien zakonnik hiszpański, Bernard, bosy w grubój, mni-

szej odzieży, przyszedł do miasta Julin, opowiadać tam słowa Ewangelii. Mieszkańcy tego dumnego handlowego grodu, odpowiedzieli mu, iż nie chcą wierzyć w potęgę takiego boga, którego słudzy tak nędznie są odziani, i z pogardą wygnali go za miasto.

Takowe niepowodzenia nie zostały jednak bez korzyści. Biskup Otton z Bambergu zamierzył także nawracać Pomorzan. Nauczony opowiadaniem Bernarda, którego ohotnie przyjął do swjej dyecezyi, z jaką pogardą mieszkańcy Julina przyjęli ubogiego missyonarza, postanowił on użyć innych środków dla osiągnięcia swego celu. Otrzymaawszy zezwolenie papieża Kalixta II i cesarza Henryka V, wezwał on wielu księży na towarzyszków podróży. Nazbierał wiele ksiąg mszalnych, ozdób ołtarza i bogatych ubiorów kapłańskich, porozumiał się z Bolesławem, który mu obiecał dać tłumaczów, straż przyzwolitą, wozy i wszystko, co nieodbitie potrzebnem być mogło dla pomyślnego dokonania przedsięwzięcia. 24 kwietnia 1124 roku wyruszył Otton w licznym orszaku z Bambergu, zatrzymywał się w drodze po klasztorach, gdzie był z największym zapalem przyjmowany; później w Pradze, gdzie ksiązę Czeski wręczył mu znaczną summę, którą biskup między biednych

rozdzielił, potem we Wrocławiu i w Gnieźnie rezydencyi Bolesława. O 200 kroków za miastem spotkał go książę z całą rodziną, z licznym orszakiem księży, z mnóstwem ludu, bosy, i upadłszy na kolana prosił o błogosławieństwo. Z wielką wystawą zaprowadzono biskupa do katedralnego kościoła, który cały tydzień przebawił w tém mieście, czyniąc ostateczne przygotowania.

Bolesław dotrzymując swego przyrzeczenia, przydał biskupowi dla bezpieczeństwa oddział wyborowego wojska, pod dowództwem gorliwego katolika; wybrał mu zdolnych i sumiennych tłumaczy, opatrzył w konie, wozy i pieniądze.

Otton przybył do Pomorza z taką okazałością, jaką się otaczali dawniejsi królowie, gdy swoje państwo zwiedzali. Nie był to ów pokorny słaby Kościół, który szedł szukając współczucia w sercach biednych i schronienia w ich chatkach; ale raczej potężny i świetny Kościół, w tryumfie na zdobycie nowych ludów idący. Ujrzawszy taki orszak rycerzy towarzyszący biskupowi, tę niezliczoną ilość wozów naładowanych, przypatrując wspaniałym obrządkom religijnym, dopełnianym pod gołym niebem, widząc bogate złote i srebrne naczynia, świetne i błyszczące

szaty, kadzielnice rozlewające w powietrzu rozkoszne wonie,—Pomorzanie, w materyalném swém pojmowaniu Bóstwa uczuli, iż w rzeczy samej musi to być Bóg wielki i potężny, którego śludzy takim się blaskiem otaczają. Pomimo oporu, jakiego prace poprzednich missyonarzy doznawały, nauka chrześcijańska zaszczepiła się już była w wielu miastach i wioskach; w radzie gmin zasiadali już stronnicy Ewangelii, i jak niegdyś w legijonach Rzymskich, tak i w wojsku krajowców zaprzysięgającym obronę swych bóstw pogańskich, wielu się chrześcijan liczyło. Przytém Pomorzanie lękali się obrazić Bolesława; ich książęta i magnaci sami dali narodowi przykład uniżoności i uszanowania, z jakimi byli dla biskupa. Wszystko to ułatwiało religijne prace, czcigodnego missyonarza, tak iż w kilka miesięcy mnóstwo ludu nawróciło. Zmuszony powrócić do swojej dyecezyi, we dwa lata przybył on znowu na Pomorze, i tą razą dopełnił ostatecznie dzieła swojego. Ostatnie świątynie pogańskie w najuporzeczyszych miastach zostały zniszczone, bałwany pobalane i Krzyż S-ty zajaśniał po całej ziemi Wendów.

Chrześcijaństwo odmieniło byt moralny tego kraju. W urządzeniu społeczném zaszyły znów

zmiany z powodu niesnasków między synami Bolesława, wynikłych po jego śmierci z powodu wojen domowych i klęsk za niemi idących. Wyniszczona wojnami i osłabiana podziałem na części, Polska nie była w siłach utrzymania w zależności i porządku podbitych w rozmaitych epokach prowincyj. Książęta którzy jeszcze niedawno Pomorzem w imieniu Polski rządili, skorzystali z téj zrzeczności i zrzucili jarzmo wasalstwa. Lecz taka niezależność schlebiając tylko próżności, i zwiększając pozorną godność, wcale nie dodawała im siły, ani też zapewniała spokoju. W wyższym Pomorzu dynastia książąt panujących wygasła w XIII wieku, zostawując większą część swych posiadłości w ręku Zakonu Niemieckiego. W dolnym zaś, rozmaite linie książąt pomorskich wygasły na Bogusławie XIV, ciągnęły aż do roku 1637, lecz z jakimże szeregiem wojen, wewnętrznych zamieszek i klęsk przeróżnych.

W końcu XII wieku dolne Pomorze przez częste najścia Dończyków i mieszkańców wyspy Rugii, takiemu uległo spustoszeniu, że panujący książęta, Bogusław i Kazimierz, szukając wsparcia, dobrowolnie się pod władzę Cesarstwa Niemieckiego poddali, wzywając ztamtąd dla zaludnienia swego kraju szlachtę, rolników i rze-

mieślników. Jednocześnie przybyło z Niemiec mnóstwo księży i zakonników katolików; wiele też rodzin z Brunświku i Luneburgu, spustoszonych w ową epokę przez napady Henryka Saskiego zwanego Lwém, na Pomorzu schronienia szukało. Tym sposobem powstała w tym kraju przeważna ludność niemiecka, która wkrótce ośwładnęła handlem i przemysłem miast, jako też posiadała najpiękniejsze dobra w kraju. Przybysze ci protegowani przez władzę świecką, z zapałem przyjmowani przez władzę duchowną, powoli wcisnęli się do urzędów i rady książęcej, przywłaszczyli sobie kierunek spraw religijnych, wprowadzili język i zwyczaje niemieckie, i usuwając Słowian od wszystkiego, zaczęli ich uważać i obchodzić się z niemi jak z kastą zupełnie podrzędną, tak że ci wkrótce do stanu niewoli przyszli. PIERWOTNY charakter Słowian zatarł się do ostatka pod naciskiem germanizmu; język nawet uległ zapomnieniu gdyż jedynie niemiecki był używany przy dworze i w szkołach. Wendowie osiedli byli na ziemi opuszczonej przez plemiona niemieckie; zdawało się teraz, że byli tylko jak gdyby czasowymi dzierżawcami, z warunkiem zwrócenia jej na zapotrzebowanie dawnych dziedziców.

Lecz tym nowym posiadaczom, również jak

i Wendum nie sędzono było używać spokoju, gdyż burzliwi sąsiedzi bezustannie się o posiadanie tego kraju śpierali. Przyjęcie wiary chrześcijańskiej i wędrowki Niemców, wprowadziły ten kraj w nową dziejową epokę, i odtąd poczyna się powtórzenie dawniejszych czasów. Wojny i zawsze wojny! raz z Daniją, drugi raz z Polską, to znowu z margrabiami Brandenburskiemi, którzy dążąc do powiększenia tym krajem swoich posiadłości, w końcu dopięli tego. Zazwyczaj kiedy wojna się zawiązuje między dwoma potężnemi Państwami, jakkolwiek przerażający to widok, oczy i myśl wszystkich zwracają się na nią, nawet z pozawiekowej przestrzeni w historii z ciekawością śledzi się jęj postępów. Współcześni upatrują w niej wielkie zadanie przyszłości; potomność widzi dzieła, których wielkość i wspaniałość przejmuje zdziwieniem; a też zuchwałe przedsięwzięcia jakiegoś Sennacheryba, którego wśród chwały dotyka anioł niszczyiciel, albo owe krwawe rozruchy obalające Państwa jakby dla zrobienia miejsca innym, nie jestże to wielka nauka dla ludzkości, nie sążo tajemnicze prawa opatrności?

Lecz w wojnach Pomorskich nie dostrzegamy ni scen wspaniałych ani też przerabiania się wielkich spraw ludzkości. Działania wojenne ze-

środkowują się na bardzo małej przestrzeni, zaburzenia na bardzo małą odbywają się skalę. Dla kraju, były to zapewne znaczące wypadki, dla obcych zaś, burzą w szklance wody.

Pomorze nigdy do rozszerzenia swoich granic nie dążyło: nie sądzono było temu krajowi podnieść się kiedykolwiek nad jego skromną i bierną sferę, lub też mieć jak inne małe państwa Europy, swoje dni sławy i epoki szczęścia. Oparte z jednej strony o morze, z drugiej naciskane przez zaborcze Państwa, nieumiało jak Danija i Hollandya, ani panować na morzu zwyciężką flotą, ani pomścić się na swych nieprzyjaciołach za krzywdy i szkody wzajemnym napadem. Broniło tylko swojej ziemi, a panujący byli tylko pierwszą pograniczną strażą. Licząc się pomiędzy pierwszymi lennikami Cesarstwa z tytułem książąt, nie mieli oni nawet własnego wojska, ani pałaców. W potrzebie przyzywali posiadaczy feodalnych z uzbrojonym ludem. W czasie pokoju przebywali oni w rozmaitych klasztorach z całym dworem, co nieraz wielkim było ciężarem dla zakonników. Podatki tak źle były rozdzielone i wybierane, że bardzo mały stanowiły dochód. Pierwszy Bogusław X pomyślał o zaprowadzenie systematu finansowego. Nowa organizacya

podatków dała mu środki utrzymać ciągłą straż, składającą się ze 200 ludzi, ustalić administrację i mieć wyłącznie dom dla siebie. Uwolnił klasztory od uciążliwej gościnności, wymaganej przez jego poprzedników, a zobowiązał tylko do oddawania pewnej części daniny rolniej, stosownie do obszaru posiadłości.

W całej tej długiej seryi książąt, którzy przez pięć wieków rządili Pomorzem, i którzy w długiej przestrzeni czasu, sami się na dwie dynastye, a małe swe państwo, na dwa księstwa podzielili—ten jeden tylko Bogusław najbardziej się odznaczył. Podobał się on włościanom ze swęj atletycznęj budowy, szlachcie, ze wspaniałęgo życia, duchowienstwu ze swęj religijności. Z jego dzieciństwem wiąże się rzewna legenda, a wiek dojrzały, przez poetyczną odznacza się podróż.

Ojciec jego Eryk II, uwikłany w wojnę z margrabią Brandenburgii i księciem Meklemburskim, dla uniknienia grożącego niebezpieczeństwa, wysłał żonę swoją z dziećmi do Rugenwald. Lecz żona ta już uchybiła obowiązkowi małżonki i wkrótce miała podeptać obowiązki matki. Rozkochana w jakimś szambelanie, który jęj towarzyszył do Rugenwald, znieawidziła swoje dzieci, zrodzone z Erykiem, zostawując je w naj-

okropniejszej nędzy i opuszczeniu. Powiadają że okrucieństwo jej doszło do tego, że otruła najstarszego syna, i że nawet sam Bogusław uszedł takiéjże śmierci tylko przez ostrzeżenie wiernego sługi.

Mieszkał wtedy w okolicach Rugenwaldu pewien bogaty włościanin, nazwiskiem Jan Lange. Widok nędzy i opuszczenia, jakich doznawał młody książę błakający się po ulicach miasta w obdartéj odzieży, przejmował go dotkliwie przy każdym spotkaniu. Pewnego dnia zatrzymał dziecko i wyraziwszy mu swoją życzliwość i gotowość usłużenia, powiedział: «poproś matki niech mię tobie daruje jako twego włościanina, i niech wszystkie moje powinności i podatki, jakie opłacam, obrócone będą na twoją korzyść.

— Nigdy się nie ośmielę prosić o to matki— odrzekł Bogusław.

— A więc poproś jej szambelana.»

Książę usłuchał przychylnéj rady, i gdy prózba jego została przyjętą, Lange kazał mu sporządzić suknie, obuwie i dał mu pieniądze. Przypominał mu ciągle jego książęce urodzenie, o którym już był zapomniął, i nie pozwalał należeć do nieprzyzwoitych zabaw z pospolitemi dziećmi, zalecając pożyteczniej czasu swego używać. Posłuszny Bogusław oddał się naukom

i męzkim ćwiczeniom, jakimi owoczesna szlachta kraju się zajmowała. He razy tylko z przychyny swój matki znalazł się w ciężkiej potrzebie, wspaniałomyślny Lange zawsze mu stawał z pomocą i w każdej chwili oświecał go doświadczoną radą i zdrowym rozsądkiem.

Eryk umarł w 1474 r. Bogusław liczył wtedy lat piętnaście. Matka korzystając z nieletności Bogusława, domagała się oddania sobie władzy i zaczęła rządzić krajem. Wówczas Lange namawiał młodego księcia schronić się na dworze swego krewnego Wratysława, dostarczył mu wszystkiego i ułatwił ucieczkę. Wratysław przyjął swego krewnego z największą uprzejmością, i żeby skutecznie niedorzeczne żądania matki usunąć, do jej uwięzienia nakłonił. Ta dowiedziawszy się o grożącym niebezpieczeństwie, umknęła razem z szambelanem do Gdańska, a Bogusław stanąwszy w kraju przyjął przysięgę na wierność od mieszkańców księstwa.

Zaczął on swoje panowanie od wojny z margrabią Brandeburskim, który się dobijał o Pomorze, i zakończył ją podwójnym traktatem. Zaślubił córkę margrabiego i po wygaśnięciu swojej linii władzę nad swém Państwem obiecał przekazać domowi Brandeburskiemu.

W 1479 r. po bezpotomnym zgonie Wratysława, Bogusław odziedziczył jego dzielnicę i został jedynym władcą Pomorza.

Po dwódziesto-trzech-letniem spokojnem panowaniu, bez przykładnem w dziejach krajowych, Bogusław dla podziękowania Bogu za doznawane Jego łaski, a szczególnie za spokój jakiego używał, uroczystym ślubem zwiedzić święte miejsca obowiązał się.

W owój epoce nie była to tak łatwa podróż jak za dni naszych odbywać ją można ze wszelkiem bezpieczeństwem i wygodami na parostatkach. W owe czasy, nikt też bez narażenia życia nie mógł zwiedzać kraje podwładne Turkom. Zajadli ci wyznawcy Mahometa, zacięte prowadząc wojny z chrześcijanami, zagrażali podówczas wyśpie Rodos, obozowali nad Dunajem i sięgali aż do stolicy Węgier. Zaslepieni powodzeniem, zagrzani fanatyzmem, chcieli wytępić tych wszystkich, których niewiernymi nazywali, i w swoich zuchwałych marzeniach nieraz może półksiężyc na wieży S. Piotra zatknęli. Daleko jeszcze było wówczas od dnia pamiętnój klęski pod Lepantem, i dalej jeszcze od owój chwili, w której zwycięzka szabla Polaków, zgromić ich miała pod murami Wiednia. W epoce gdy ksiązę Pomorski na ułożo-

na pielgrzymkę miał się puszczać, to jest w końcu XV wieku, towarzysze sławnych wypraw Bajazeta II, ani pomyśleć jeszcze mogli, że się znajdzie potęga mająca z rąk Turków zwycięzki oręż wytrącić. Ci sami sułtani, którzy wstępując na tron odzywali się do wodza swoich janczarów, «do widzenia w murach Rzymu,» nie wyobrażali nawet, iż przyjdzie czas, kiedy następca ich dla utrzymania siebie na chwiejącym się tronie i dla obrony własnej stolicy przyzwie na pomoc niewiernych—psów chrześcijańskich.

Bogusław, oddawszy swoje Państwo pod opiekę księcia Meklenburgskiego i królów Duńskiego i polskiego, którego córkę w powtórne pojął śluby; wyruszył ze Szczecina w 1497 r. z licznym orszakiem szlachty i z eskortą we trzysta koni. Przeszedł Saxoniję, zatrzymał się w Norymbergu, owém piękném, artystyczném średniowiekowym mieście, gdy spędził wielki post, a na Wielkanoc przybył do Spira. Ztamtąd udał się do Insprucku, gdzie się znajdował Cesarz Maximilijan, Elektor Saski i ksiązę Brunswicki. W tém mieście wielu panów Austriackich i Czeskich, kierowanych tąż samą religijną myślą, otrzymało pozwolenie towarzyszyć mu w téj podróży. W Wenecyi, gdzie siedli na okręt, przyłączyło się do nich wielu Francuzkich

i Włoskich pielgrzymów. Nie daleko Kandyi, okręt ich został napadnięty przez Turków. Wszczęła się zażarta i straszna bitwa; pielgrzymi bardzo źle uzbrojeni, mieli zbyt licznych przeciwników do odparcia. Dzięki jednak niezachwianej odwadze Bogusława i męztwu jego towarzyszy, Turcy, chociaż się byli wdarli na okręt, zostali odparci i zmuszeni do ucieczki.

Bez dalszych złych przygód, Bogusław przybył nakoniec do Jeruzalem. Tam pobożnie odwiedził wszystkie uświęcone miejsca podług Ewangelii, wszędzie bogate składając podarunki kościołom. (1)

W rok później, radośny głos dzwonów katedry Szczecińskiej, ogłosił przybycie Bogusława i lud tłumnie się zgromadził dla podziękowania Bogu za szczęśliwy powrót ukochanego księcia. Po wyjściu z kościoła przyjmował on w swoim pałacu wojskowych, szlachtę i znakomitszych dygnitarzy, z niecierpliwością oczekujących jego powitania. Za tym tłumem arystokratycznym

(1) Opisanie jego podróży znajduje się w bogatym zbiorze wydania Frankfortskiego 1584 r. *Reisebuch des heiligen Landes* (Księga podróży po ziemi świętej I t. in folio.)

stał zdaleka starzec w skromnej sukni rolnika; w pokorze swojej nie śmiał on wciskać się między możnych, zdaleka wpatrywał się w księcia, a w oczach jego malował się wyraz najżywszej radości. Bogusław postrzegłszy go przystąpił ku niemu i podając rękę, zawołał: «Ach, to ty mój poczciwy Lange. Jeszcze nie wynagrodziłem twojego poświęcenia jakim był winiem. Chcę ciebie i dzieci twoje nazawsze od pańszczyzny i wszelkich podatków uwolnić.—Dziękuję ci, panie, za tę łaskę, odpowiedział Lange; chętnie ją dla siebie przyjmuję, lecz nigdy dla moich dzieci. Niedobrze jest gdy włościanin otrzymuje niezasłużone przywileje. Zbytńia swoboda może go zaślepić, a bardzo dobry byt, może go uczynić leniwym.»

Jadąc ze Szczecina do Stralsundu znalazłem się w towarzystwie jakiegoś poczciwego księdza z Pomorza, który mi historję Bogusława i ustęp z życia Lange opowiadał. «W tej chwili, mówił on, przejeżdżamy niedaleko wioseczki słynnej z podobnego podania. Jeśli pan życzysz, mógłbym je opowiedzieć; lecz zapewne, dodał ze skromnością, znajdziesz pan daleko lepszą wzmiankę o tém w wielu naszych księgach.»

W rzeczy samej przeczytałem później też sa-

ma legendę w zbiorach Freiberg'a (1) i Temme'a (2); treść onęj następująca:

W powiecie Greifswaldskim znajduje się wioseczka Cosserow, od niepamiętnych lat przez trzy osady rolnicze zamieszkała. Po bitwie pod Póltawą, rozniosły się na brzegach Bałtyku wieści że Karol XII znajduje się w Turcyi pozbawiony przyjaciół i wszelkich środków utrzymania. Od czasu panowania Gustawa-Adolfa, ta część Pomorza należała do Szwecyi, i losy walecznego króla, który swými zwycięztwy zadziwiał Europę, zajmowały umysły wszystkich. Trzej rolnicy z Cosserów, do takiego stopnia uczuli nad nieszczęściem Karola, że postanowili pójść mu na pomoc. Posprzedawali wszystko co tylko mogli, a jeden z nich nazwiskiem Müseback, będąc w Wolgast dla wymiany na złoto skarbu gminy, podjął się zanieść pieniądze do Bender. Była to długa i uciążliwa podróż; żadna większa droga, żadna *sznell-poczta* nie łączyła wówczas Bałtyku z Bessarabią; poczciwy Müseback nie uczył się jeografii w uniwersytecie Greifswaldskim, lecz miłość i prawdziwe poświęcenie może, i bez uczo-

(1) Pommersche Sagen.

(2) Die Volkssagen von Pommern und Rügen.

nych lekcji, przebywać przestrzenie; one same tworzą dla siebie topografię. Wszakże Blondel odszukał był swego ukochanego Ryszarda na brzegach Dunaju, w więzieniu Durrenstein; czyżby nie miał Müseback wynaleźć także swego króla w odległych stronach. Przybył on do Benderu w chwili kiedy Karol XII, pozbawiony pensyi jaką z Konstantynopola pobierał, dla utrzymania siebie i swoich ludzi, kazał zabijać najpiękniejsze swe konie, darowane mu niegdyś przez sułtana. Obecny tej nieszczęsnej egzekucyi, król z podziwieniem usłyszał głos człowieka, który w języku pomorskim przemówił: «Panie Boże, gdzie jest mój król?» Karol zbliża się, wieśniak z Cośserów poznaje go, rzuca się z konia na ziemię, klęka i wyjąwszy z za pasa dwa rulony dukatów podaje królowi. Przystępem opowiada mu ile oni i sąsiedzi ich ucierpieli dowiedziawszy się o nieszczęściu Karola, i jakim sposobem tę summę uzbierali. Kronika podaje że bohater Północy płakał słuchając tego prostego opowiadania. Wynagradzając poświęcenie Müsebacka, Karol chciał go uszlachetnić; lecz ten nie przyjął zaszczytu, prosząc tylko aby ziemia uprawiana dotąd przez niego i jego towarzyszków oddaną im była prawem spadku na wieczny czynsz. Takowy akt został niebawem napisany i według legendy, Karol XII

przypieczętował go trzema włosami ze swojej brody. Czyż nie było to godne przypomnienie Cyda oddającego w zastaw swoje wasy?

Powróćmy do Bogusława. Po powrocie z Jeruzolimy panował on jeszcze najspokojniej dwadzieścia sześć lat. Jedno tylko powstanie Lubeki, łatwo i prędko uśmierzone, zamąciło ten pokój. 30 września 1523 r. umarł on spokojnie w Szczecinie po pięćdziesięcioletniem panowaniu. Jakież znakomite wojenne wyprawy zwycięzcy, mogły by się co do szczęścia narodu, z tym półwiekowym pokojem porównać?

Oddawna już Bogusław z wiarą w Boga i z rezygnacją chrześcijanina gotował się do śmierci. Aż do ostatniej choroby, każdy dzień od modlitwy w kościele zaczynał; co niedziela bywał na uroczystem nabożeństwie w katedrze z całym dworem, i na pieczęcie swojej miał wryte cztery litery D. U. I. W. skrócenie przyjętej dewizy (*Der Uhren ich warte*) czekam godziny.

Szlachetny ten katolicki monarcha umarł w samą porę, żeby nie patrzeć z boleścią na rozkrzewiającą się w swem państwie naukę Lutra, obalającą klasztory, przekształcającą świątynie.

Reformacja zrodziła straszną Trzydziestoletnią wojnę. Pomorze zajęte w czasie wojny przez cesarskich, Szwedów, na pokoju Westfalskim rozdzielone zostało na dwie połowy: jedną z nich wziął Brandeburczyk, a drugą Szwecya. Ta ostatnia część ustąpiona w 1814 r. Danii w zamian za Norwegiję, była w 1815 r. oddana Prusóm; i dziś w całości posiadają one ten kraj, którego sławiańscy i niemieccy mieszkańcy, przez tysiące lat, tyle krwi przeleli w obronie swojej niezawisłości.

Ze starożytnej populacyi Wendów dziś tylko wspomnienie zostało, jako o szlachetnym, spokojnym, przywiązanym do swobody narodzie, kochającym pracę, i słynnym ze swój szczerój gościnności, téj charakterystycznój cnoty Sławian w ogóle.

Nie znajdujemy dziś prawie żadnego miasta, żadnej warowni, o których kronikarze wzmiankują. Rhetra, gdzie się najpiękniejsze świątynie wznosiły, zniszczona niewiadomym sposobem. Julin, którego pyszni mieszkańcy z taką pogardą obdartych chrześcijańskich misyonarzy przyjmowali, zdobyty w 1170 r. przez króla Duńskiego Waldemara, z gruntu zburzony został.

Wineta, okazałe i wspaniałe miasto zginęło jak Sodoma i Gomora. Tradycye gminne poda-

ją, że to miasto zamieszkałem było przez kupców rozmaitych narodów Greckich, Sławiańskich i Saxońskich, i że tam ze wszech stron przybywały okręta. Miało ono być tak bogate, że bramy jego okopów i mury świątyń, obite były srebrną blachą. Zaślepione szczęściem oddało się lenistwu i rozpuście, i Pan Bóg karząc je za występki, wtrącił w przepaści morskie. Lecz że mieszkańcy jego wiernie przechowywali gościnność przodków, i że w obrębie jego istniała kaplica Saxońska której srebrne dzwony wzywały lud do modlitwy, miasto nie zostało zniszczonem, ale się utrzymało na dnie morskiem w całości. W pięknym, pogodnym dniu, kiedy wiatr nie burzy powierzchni morza, w przezroczystym lazurze wód dają się spostrzegać jego marmurowe kolumny i wspaniałe gmachy. Niekiedy nawet widzieć się daje ruch mieszkańców na ulicach i placach publicznych. Jedni się przechadzają w obszernych rozwiewnych tunikach; inni rozjeżdżają w powozach złocistych, a młodzież harcuje na rozhukanych rumakach. Różnym się tam scenom z życia napatrzeć można, wesołym i smutnym, gdyż nieraz widać ludzi w żałobnej odzieży i grabarzy kopiących mogiły na cmentarzu, rozprawiających być może o szlachetności swojego rzemiosła, jak grabarze Hamleta.

There is no ancient
Gentlemen but gardeners, ditchers and grave makers
They hold up Adam's profession. (1)

Starsze to miasto od tych wszystkich których ślady, uczeni z radością odgrzebują w piaskach pustyni lub z popiołów Wezuwiusza. Jest to Palmyra w swoim pierwotnym blasku; żyjąca Pompeja. Podanie utrzymuje nawet, że w Wielki Piątek, wspaniała Wineta ukazuje się na powierzchni morza ze wszystkimi pałacami, murami i wieżami i znowu w dzień Wielkanocy zapada w przepaście morskie, jakby przypominając srogą sprawiedliwość Boską, coby o niej zapomnieć mogli. Jaka szkoda, że nikt nie skorzystał z tego peryodycznego wynurzania się i nie zbadał w szczegółach tej starożytnej stolicy Wędów, lub nie skreślił jej widoku.

Naiwne tradycje dawno ubiegłych czasów, poetyczne fikcje ludowe, piękne kwiaty z wieków prostoty i serc wierzących, ogromny świat podań, świat zaczarowany, ilekroć się weń zapuścimy, czyż możemy nie zatrzymać się dla przypatrzenia jego fantastycznym kreacyom

(1) Niemasz starszej szlachty jak ogrodnicy, kopacze i grabarze. Oni kontynuują professyę Adama.

lub nieposłuchać czarownych melodyj Wunderhorn'u? Czyż marzenia wywoływane z tych skarbów przeszłości, nie naprowadzają nas nieraz na głębokie zastanowienie? Owe legendy o miastach zagrzebanych wprzepaściach oceanu lecz razem i żyjących pod falami morza, nie są obrazem państw pochłoniętych przez rewolucye wieków, których życie i zwyczaje przechowały kroniki i historia? I my sami w pewnej epoce istnienia, czyż nie jesteśmy przykładami tych zwalisk żyjących. Czyż nie nosimy w głębi serc naszych czarownych zamków naszej młodości, złotych pałaców naszych złudzeń, które się pod załoną wieku przechowują, trwają w pamięci, i nieraz w schłodniałej myśli naszej ożyją z całym swym uroczystym pryzmatem i zadziwią nas swoim wdziękiem i harmonią?

Z religijnych instytucyj, powstałych na Pomorzu po wprowadzeniu Chrześcijaństwa, same za ledwie pozostały szczątki. W XV wieku liczyło się tam do czterdziestu pięciu klasztorów rozmaitych zakonów: Reformacya wyzuła je ze wszystkich posiadłości i zniszczyła. Jeden z najpiękniejszych klasztorów był w Eldena, zbudowany w 1199, wzbogacony wiekami przez pobożnych książąt, nakoniec w 1535 r. zamknięty. Niedaleko Greifswald, na brzegu morza, widać je-

szcze kilka łuków z jego gotyckiego kościoła. Trzydziestoletnia wojna, zniszczywszy gmach ten zostawiła jeszcze sterczące ściany, okna łękowate i kolumny, jakby dla pokazania, co epoka religijna stworzyła, a co jeden dzień wściekłości mógł zburzyć.

Lud; który do zjawisk i pomników uderzających jego wyobraźnię, zwykł przywiązywać jakiś fakt cudowny, opowiada że w przybytkach tego klasztoru znajdują się obszerne sale, gdzie całe zgromadzenie prowadzi życie tajemnicze, jak cesarz Barbarossa w grotach Kihauser. Legenda podaje, że pewnego razu, a było to bardzo dawno, przybyło do Eldena z Rzymu dwóch kapucynów, którzy prosili jakiegoś włościanina o przewodnika przez gęste krzaki w około klasztoru rosnące. Włościanin ten dał im swojego chłopca. Zakonnicy szukając długo po gęstych zaroślach, trafili nakoniec na drzwi, których nikt dotąd nie był dostrzegł i które się przed nimi otworzyły. Weszli przez nie do jednej pustej izby, później do drugiej, gdzie przy długim stole siedziało kilkanastu mnichów, już to czytających z dużych foliałów, już piszących na pargaminie. Na widok podróżnych, siedzący żywo powstali i powitawszy ich rozpoczęli z nimi cichą rozmowę. Potem kapucyni wyszli z podziemia i przed odej-

ściem wręczyli swemu przewodnikowi zwitek starych papierów, w których był kawał czystego złota. Gdy służący powrócił do swego pana, dowiedział się, że podróż jego z kapucynami trwała trzy lata. Nie jednokrotnie potem usiłowano odszukać drzwi owych przez które był wyszedł, lecz zawsze na próżno.

Po tych nieprzeliczonych walkach i rozmaitego rodzaju klęskach, Pomorze szczęśliwem rządzeniem połączone nakoniec zostało z państwem, które otaczając je skuteczną pomocą, przypuszcza wraz z innemi prowincjami do korzystania ze wszystkich rozumnych instytucyj krajowych. Dzięki nowemu stanowisku i czterdziestoletniemu pokojowi, ustalił się byt Pomorza, rozwinęła się i zakwitła pomyślność jego.

Kraj ten, któremu z niewypowiedzianą ciekawością przypatrzeć się chciałem, którego wspomnienia historyczne z przyjemnością zbierałem, nie posiada tak pięknych i malowniczych widoków jak kraje położone z drugiej strony Bałtyku. Malarz nie znajdzie tam owój nieopisanój rozmaitości pozycyj, jakie w Szwecyi i Norwegii czarują oko podróżnego; ani też wdzięku niektórych krajobrazów Danii, gdzie piękność przyrody łączy się z majestatyczną okazałością pomników. Samo wybrzeże Pomorza, owe brzegi morskie, które

w innych krajach zachwycają oko i duszę tysiącami skał najeżonych, grot przepaścistych, gdzie bałwany morskie ze strasznym gubią się wyciem, lub też czarują widokami olbrzymich rozmiarów, tutaj jest martwe i bezbarwne. Pochyłość ich ku morzu jest jakby wyobrażeniem dawniej niewoli; zdaje się że z największą uniżonością zbliża się do tych fal, które niegdyś panowały nad nimi i zalewały.

Lecz aż po same te płaszczyzny brzegowe, kraj cały jest najstaranniej uprawiany. Patrząc na te obszerne zagony na zieleniejące pastwiska, stawały mi przed oczyma bogate widoki Normandyi; a prace agronomiczne dokonane na tych bagnistych lub piaszczystych stepach, nieraz mi wytrzymałość i cierpliwość Hollandczyków przypominały. Tu i ówdzie dostrzeżesz piękne wioski rozłożone nad cichém jeziorem, w cieniu lasów dębowych, lub pośród niw urodzajnych. Porządne zabudowania gospodarskie wysuwają czerwone swoje dachy i ceglane mury z poza otaczających je ogrodów fruktowych. Liczne strumienie, te żywotne arterye obszerniej krainy, użyźniając ziemię, służą razem za drogi komunikacyjne rozmaitym powiatom. Mnogie rzeki, powiększane przez poboczne spady i żeglowne na znacznych przestrzeniach, łączą prowincye te z mo-

rzem w które wpadają. Przy ujściu każdej z tych rzek jest most, którego chociaż wprawdzie nie- można porównać do owych mostów na Loarze, Sekwanie, a tém bardziej na Tamizie i Hudsonie; lecz zawsze przyczyniają się one do ruchu, który z każdym rokiem się powiększa.

Na brzegu Wisły leży starożytny Gdańsk. Udając się ztamtąd na wschód, napotykamy Leba i Słupsko, dwa małe handlowe miasteczka nad dwóma rzeczkami tychże imion położone; Ceslin, które z jednej strony opiera się o piękne jezioro a z drugiej o brzeg morza; i silnie ufortyfikowany Kołobrzeg (Colberg).

Przy ujściu Odry leży Szczecin, stolica jednego z dawnych ksiąząt Pomorskich, rezydencya Bogusława X, jedno ze znaczniejszych handlowych miast Pruss i znakomita twierdza. Przed stu laty liczyło ono zaledwie 8000 mieszkańców, dziś ma ich 50000 i posiada 2000 okrętów. Cokolwiek dalej na północ, znajduje się Swinemünde. Przed dwódziesiąt laty była to tylko skromna osada rybaków,— dziś jest miasto o 5000 ludności, ożywione i kwitnące.

Na brzegu Peenu, stanowiącego niegdyś granicę między prusskiem i szwedzkim Pomorzem, w ślicznem położeniu rozciąga się obwód Anklamski i zwolennik archeologii z przyjemnością się tam

zatrzymuje, żeby w murach Wolgastu, najstarszego miasta prowincyi, szukać śladów zamierchłej przeszłości.

Przy ujściu Ryck leży Greifswald, posiadający bogaty Uniwersytet, który w celu zużytkowania wielkich swoich dochodów część uczniów utrzymuje bezpłatnie.

Na brzegu małej odnogi morza oddzielającej ląd stały od wyspy Rugii i nazywanej Strelą, wznosi się Stralsund. Małe i ładne domki, otaczająca ze wszech stron woda, i zieloność ubierająca jego szare okopy, nadają temu miastu nadzwyczaj wiele powabu. Z pod jego to murów musiał się cofnąć Wallenstein, ów dumny i nieugięty wódz, który postanowił zdobyć to miasto, chociażby było, jak mówił, przykute żelaznym łańcuchem do nieba i ziemi; tam był przyjęty Karol XII, uciekający bez wojska i pieniędzy od granic Turcyi, tam on wytrzymał owe straszne oblężenie, tak dramatycznie przez Woltera opowiedziane.

Wszystkie te porty, jak już powiedzieliśmy, wcale są płytkie, i na wojenne porty zupełnie nie przydatne. Są to spokojne przystanie należące do narodu, który od samego początku swych dziejów aż do dzisiaj, pozostał wiernym swojej naturze cierpliwój, pracowitej i oddanej głównie

uprawie ziemi; do narodu tak bojaźliwego, że z wahaniem puszczał się po awanturniczj drodze przemysłu, i skromną lecz pewniejszą korzyść z rolnictwa nad ułudne obietnice fabryk i rękodzielni przekłada.



V.

Wyspa Rugija.

Zastanawiając się nad czynnościami człowieka, nieraz gotowi jesteśmy myśleć, że Bóg niemi wcale nie kieruje. Ziemia, na której się człowiek oddaje całej ruchliwości swojej jako stworzenie, swoim chwilowym namiętnościami, również w nieustającym jest ruchu, jak gdyby w przelotnym jego tu pobycie, nie miała mu przedstawić obrazu trwałego spokoju, lub też dać pojęcia o skończoności. Geologowie badając rozmaite pokłady ziemi, doszli do przekonania, iż z równą łatwością z warstw żwiru i granitu umieją poznawać wiek naszego globu i jego rewolucye, jak uczniowie gimnazjum z elementar-

nych książek nauczyć się mogą dziejów rzymskich lub greckich. Fizycy z matematyczną ścisłością obliczyć mogą wybuchy wulkanów i trzęsienia ziemi. Lecz gdy takowe rewolucye dzieją się przed oczami wszystkich, i neofitom nauki podają zręczność występowania z nowemi memoryałami, wówczas w głębi tej samej ziemi, której tylko powierzchnią widzimy, dokonywają się głucho i skryte wzburzenia i przekształcania się, których skutki w seciny lat może, przezorne oko nowego Cuvier'a dostrzeże.

Podług mitologii Skandynawskiej, ziemia utworzoną została z ciała olbrzyma Bura, lasy z jego włosów, skały z jego kości, a morze z krwi jego. Zważając ten nieustanny ruch ziemi, czyżby nie można powiedzieć, że ten olbrzym kosmogoniczny jeszcze nie umarł zupełnie, że zdaje się jeszcze podnosić ociężałe swe członki, jak gdyby usiłował do pierwotnego powrócić, bytu. Pod siekierami drwala padają odwieczne lasy, a z czasem, nowe na licznych piaskach wzrastają. Skały się przenoszą: jedne z olbrzymiemi lodownicami spadają z gór na doliny Norwegii, Tyrolu i Szwajcaryi; inne znowu rozrzucone, zalegają równiny Północy, i jest to fenomen, na wyjaśnienie którego mamy tylko dotąd mniej więcej prawdopodobne hipotezy. Są

i takie skały, co się kruszą jak mury nadwę-
rężone ręką czasu, inne zaś tworzą się przez
zrastanie cząstek.

Ziemia także podnosi się lub opada stopniowo
w rozmaitych krajach. Brzegi Azyi Mniejszej
znacznie od upadku cesarstwa Rzymskiego o-
siadły. Takie same opadnięcie bardzo wyraźnie
daje się widzieć w wielu miejscach na Adrya-
tyku, mianowicie pod Zara i w Wenecyi. Prze-
ciwnie w Szwecyi, na północ Skanii, ziemia się
podnosi od trzech do pięciu stóp w przeciągu
każdego wieku. Od niepamiętnych czasów, pół-
nocna Rosya ciągle się wznosi nad brzegi Lo-
dowatego Oceanu i nie ulega wątpliwości, że i we
Francyi mamy podnoszenie się ziemi w daleko
mniejszym zakresie.

Ziemia wcale nie jest tą nieruchomą *Tellus*,
którą, w pojęciu starożytnych, syn Ocean w mi-
łośnym trzymał uścisku. Lub jeśli kiedy i ist-
niała tak szczęśliwa zgoda, to koniecznie przy-
puścić trzeba, że jakieś straszne nieporozumie-
nie! rzuciło niezgodę w tę wielką rodzinę, jak
się to często i pomiędzy ludźmi na naszym bie-
dnym świecie przytrafia. Ziemia jest w cią-
głej walce z Oceanem. Na każdym punkcie u-
siłują wydrzeć sobie wzajem, zajmowaną prze-
strzeń. Czasami stara, cierpliwa ziemia, jedynie

przez wytrwałość odnosi zwycięstwo nad swoim burzliwym przeciwnikiem. W *Aigues-Mortes*, zachwycała ona jako historyczne trofeum port, z kąd Ludwik S-ty odpływał. W okolicach Roszelli, tam gdzie przed stu laty łowiono ostrygi, dziś urodzajne rozpacza się pole. W Anglii, w królestwie Kent, dawniejsza zatoka zmieniała się w bujne pastwiska. Bywa też, że nie przestając na takim rozszerzeniu brzegów, ziemia się wkradnie aż w obręb państw swego napastnika i na powierzchnią morza wyrzuci zieleniące wyspy, któreby do koszyków kwiatów oderwanych z jakiej doliny Pyreneów porównać dały. Lecz niebawem Ocean, uspiiony pod gorącym niebem, ukołysany łagodnym zefirem, albo roztagoniony pływającymi barkami, z kąd melodyjne rozchodzą się śpiewy, obudza się gwałtownie i pochłania nową wyspę, na której Anglicy, jako królowie morza, już zabierali się zatknąć chorągiew S-go Jerzego. Później, na wsze strony bierze się do pracy: rzuca się pomiędzy skały które tamowały drogę jego falom, ze wściekłością rozrywa ziemię, jak rozhukany koń swoje wędzidła, ciska się gwałtownie w spokojne swoje odnogi, rozrywa ich brzegi i wykopuje długie *fiordy*, owe wdzięki Norwegii. A jeśli się kiedy i cofnie ze drzeniem przed skupionymi granita-

mi, co z wyroków Boskich na poniżenie dumy jego, zdają się mówić: „Nie pójdziesz dalej,”—to wówczas ma on swoje dni wściekłości, dni tryumfu, gdy rozłamuje ludzką ręką wzniesione tamy i groble, rozbija skały, pustoszy olbrzymie lasy a czasem pochłaniając przyładki, rozdzierając między-morza, zmusza geografów przerabiać całe karty nie jednej prowincyi (1).

Wyobraźmy sobie czworobok ziemi od 5 do 6 mil szeroki i długi, który z jednej strony przytykał niegdyś do Pomorza, a z drugiej najpodobniej do jakiej kończyny archipelagu Duńskiego. Morze gwałtownie zerwało zeń pierwotnie więzy, uczyniło go wyspą, i mając raz w swém posiadaniu, zaczęło go obcinać, jak dziecko dla zabawki obcina kawałek papieru. Poodrywało od niego trójkąty, czworoboki, z których się utworzyły nowe wyspy lub płachty ziemi zaledwie głównej wyspy dotykające; powycinało i poszczerbiło jej brzegi. Tu, morze w swoich swawolnych ruchach, wyrobiło małe przystanie, ta-

(1) P. de Quatrefages, znakomity pisarz i zręczny postrzegacz, niedawno ogłosił w *Souvenir d'un naturaliste*, ciekawe szczegóły o takich rewolucjach Oceanu w wielu okręgach Francyi, a mianowicie w Normandyi i *Saintonge*.

jemnicze jak źródła egeryjskie; tam znowu, wyryło obszerne porty w najdziwaczniejszych zarysach. Całość podobna jest do jakiegoś fantastycznego deseni, do jakiegoś haftu wyrobionego gorączkową ręką. Taką jest stara, północna wyspa Rugija, którą fale morskie tak wyżłobiły, iż nie ma prawie osady, leżącej dalej od jakiej zatoki lub i samego morza, jak o dwa lieues. Powierzchnia ziemi płaska po większej części, podnosi się stopniowo ku środkowi wyspy, jak się piérs ludzka wzbiera na świeżem powietrzu; lecz żadna z wyniosłości nie przenosi czterystu stóp nad poziom morza. Kilka kanałów przerzyna wyspę, kilka pięknych jezior widać tu i ówdzie, które tak blisko leżą od morza, iż o kilka tylko kroków od siebie, można czerpać słoną lub najczystsą wodę. Na pustyni którą Izraelici przechodzili, niedaleko słonawych jezior, Mojżesz odkrył roślinę łagodzącą ich gorzyc; na rozlicznych ścieżkach żywota, obok zlewającej się na nas gorzkiej fali nieszczęść, czyż nie znajdujemy także zbawiennéj rośliny Izraela, albo orzeźwiających jezior Rugii? Klimat téj wyspy wilgotny i zimny, temperatura bardzo zmienna. Bardzo często latem, po wielkim upale, nagle następuje chłód lodowaty. Wiatry wschodowe nieraz niszczą najpiękniejsze nadzie-

je wiosny; a wiatr północny daleko bywa straszniejszy. Na jego złowrogich skrzydłach przylatują burze. Mimo to jednak, widzieć tam można piękne dęby, buki, olchy, jasiony a nawet i fruktowe drzewa. Część ziemi służy na pastwiska, a reszta, starannie uprawna, wydaje różnego rodzaju zboże. Lecz dzisiejsza Rugija niedaje nam wcale wyobrażenia o swym dawnym stanie. Czas, chrystyanizm, cywilizacya odmieniły ją zupełnie.

Jest to owa wojownicza wyspa, zawsze w ruchu i w gotowości do bojów staczanych bezustannie z Duńczykami, Meklenburgiem i Pomorzem. To owo uparte ognisko pogaństwa, które jeszcze długo po wprowadzeniu wiary Ś. w innych krajach Północy, zawzięcie trzymało się swoich bogów, tak dalece, że królowie Danii po dwakroć czynić musieli wyprawę na tę wyspę, nim poniszczyli wszystkie bałwany.

Piérwsze wiarogodne podania dziejowe o téj wyspie, nie sięgają wyżej IX wieku. Dzisiejsza jój nazwa jest jeszcze późniejszą. W kronice klasztoru Korbii, tym rozsądniku północnych misyonarzy, mieszkańcy wyspy Rugii nazywani są *Ruani*. Saxo, Grammatyk i Dziejopis piérwszych wieków Danii, mianuje ich *Rivani*. Ku połowie IX wieku, Adam z Bremen znowu

przekształca ich nazwę, pisząc *Rani*. Helmold, autor Kroniki Sławiańskiej pod koniec XII wieku, po raz pierwszy przezywa ich *Rugani*, i takowe znajdujemy później w listach Papieżkich z roku 1177 i 1189, a także w nadaniach miejscowych.

W *Germanii* Tacyta znajduje się miejsce objaśniane i komentowane przez wszystkich historyków Rugii. Znakomity autor przy wyliczeniu północnych plemion Germańskich, wspominając *Reudigni*, dodaje: Na jednej z wysp Oceanu znajduje się las święty; wóz przykryty zasłoną poświęcony jest bogini i sam tylko najwyższy kapłan ma prawo go dotykać. On tylko wie kiedy boginia jest obecną w świątyni; wyjeżdża ona ztamtąd ciągniona przez jałowice, a kapłan z głębokim uszanowaniem idzie za nią. Wówczas dla miejsc zaszczyconych obecnością bogini, nastają dni radości, święcone z największą uroczystością. Nie rozpoczynają wówczas wojny i nie noszą broni; wszelkie żelazo się chowa. Wówczas tylko używają i lubią spoczynek i pokój, aż nim kapłan nie odprowadzi do świątyni bogini ztrudzonej widzeniem się ze śmiertelnymi. Niebawem wóz i bogini, jeśli dadcie temu wiarę, zanurzają się w tajemnicze jezioro. Używani do jej usług niewolnicy,

topią się również w jeziorze. Ztąd to pochodzi ów przestrach i religijna nieświadomość tego, o czem tylko tracąc życie dowiedzieć się można.”

Jeżeli, jak ze wszystkiego sądzić należy, ustep ten stosuje się do wyspy Rugii, byłby to najdawniejszy jej historyczny dokument, z którego moglibyśmy wnosić, że jej mieszkańcy należeli do owych plemion Germańskich, oddających cześć, jak powiada Tacyt, bogini ziemi, Herta (1). Na wschodnim brzegu Rugii, na półwyspie Jasmund, widne jeszcze ślady starożytnej budowli, która była jakoby świątynią Herty; niedaleko ztamtąd leży ciemne, głębokie jezioro, otoczone gęstym lasem, rzucającym wielki cień na wodę, nazywane także jeziorem Herta. Lud opowiada, że często latem, przy świetle księżyca, wychodzi z lasu powolnym krokiem kobieta wspaniałej postaci, wiódąc za sobą wielki orszak innych kobiet. Zbliża się do jeziora, nurza się w wodzie ze swemi towarzyszkami i potem wszystkie znikają. Ich by-

(1) Nazwa ta zachowała się w językach germańskich. U Anglo-Sasów *heorth*; u Anglików *earth*; u Niemców *Erde*. (ziemia).

ność w jeziorze poznaje się tylko po kołysaniu się wód, i po błyszczących falach, które poruszają podwodnym pływaniem. Wkrótce wszystkie wychodzą z jeziora i okryte białymi zasłonami wracają do lasu. Lecz biada temu kto by się odważył im przypatrywać. Wstydliva Herta, okrutniejsza od Dyany, nie przestałaby na przemienieniu śmiałka w Akteona, ale by go wtrąciła w przepaść swego jeziora. Powiadają nawet, że nikt z łodzią nie może bezkarnie puścić się na te zaczarowane wody, i że żaden rybak nie śmie tam sieci zarzucić; bo nixy piekielne dniem i nocą czuwają nad niemi i stariej tylko pogańskiej bogini pozwalają do nich przystępu.

Jedno podanie, które Kantzow przywodzi w swojej stariej naiwnej kronice, inne nam znowu daje poszlaki o pierwotnych mieszkańcach Rugii.

Było to bardzo dawno, powiada owe podanie, kiedy w Norwegii po wielkim nieurodzaju tak straszny głód nastąpił, że młodzież chciała wyniszczyć starców i dzieci dla oszczędzenia sobie małej pozostałej ilości pożywienia. Wówczas dzielna jakaś niewiasta przemówiła do nich i wykazując całą okropność ich zamiaru podała więcej ludzki środek dla uniknięcia grożącej niedoli. Był to podział ludności na dwie klasy:

do jednej należeć mieli starcy niedołęgi i dzieci, do drugiej młodzi ludzie zdrowi w pełnej sile życia. Obie te klasy miały ciągnąć losy której wypadnie udać się w dalekie kraje dla przeżywania siebie. Myśl ta została przyjęta i los wydalenia się z kraju padł na młodych i zdrowych. I wyruszyli oni do Szwecyi, przeszli jej środkowe prowincye i później zwrócili się na Półudnie jak wszystkie hordy północne, co nie umiejąc ugiąć się do ciężkiej rolniczej pracy, nadzikięj swęj ziemi, z orężem w ręku szukają łatwiejszego placu w lepszym klimacie. Przy padkiem wylądowali na brzegach Rugii. Na widok tych strasznych z pozoru ludzi, z dzikim wyrazem twarzy, spokojni mieszkańcy wyspy przejęci trwogą nie bronili nawet swoich siedlisk, lecz uciekli aż na kończyny Pomorza, gdzie zbudowali miasto Rügenwald. Norwegowie swobodnie zajęli w posiadanie odbiezaną tak ziemię. A ponieważ w ciągu długiej ich wyprawy powyrastały im długie brody zwieszające się szeroko na piersi, nazywano więc ich *Langbarte*. Ztąd włoskie słowo *Longobardi*, przerobione przez Francuzów na *Lombardów* słowo nic już w tym języku nie oznaczające, jak i wiele innych przekształconych słów cudzoziemskich, których pierwsze znaczenie przemieni się lub zatraci.

Jak długo Longobardowie zostawali na wyspie Rugii, żaden historyk z pewnością nie oznacza. Wiedzą tylko, że ztamtąd osiadali oni na sąsiednich brzegach lub się puszczali na dalsze wędrówki. W VI wieku należeć mogli do wyprawy Alboina, który z dziką a liczną hordą podbił północne Włochy; w VI też wieku Wendowie opanowali południowy brzeg Bałtyku. To cośmy powiedzieli o obyczajach plemienia sławiańskiego osiadłego w Pomorzu, może się też i domieszkańców wyspy Rugii stosować. Tenże sam język i religija, tożsamo wielożeństwo, ten sam rząd demokratyczny w gminach i absolutny w rodzinie. Lecz powoli, z różnicy materialnych warunków ich życia, wyrobiła się wielka różnica charakterów w obu narodach. Pomorzanie, osiedli na rozległych błoniach urodzajnej ziemi, wśród bogatych pastwisk, zmierzali ciągle do zupełnego oddania się spokojnej pracy rolniczej. Mieszkańcy zaś Rugii, otoczeni, ciśnieni ze wszystkich stron morzem, na widok fal wzburzonych oddawali się myślom o dalekich wyprawach, awanturniczych przygodach, wojowniczym życiu. Zaczęli więc naprzód zajmować się przewozem po morzu a w końcu wyszli na morskich rozbojników.

Jak wesoła czereda towarzyszy Bajronowskie-

go *Korsarza* w tryumfujących swych śpiewach, mogli oni wykrzyknąć, że dziedziną ich Ocean, a mieszkaniem burzliwe fale.

„Na modrych głębiach jasnej morskiej wody,
Myśl nasza wolna, buja duch swobody;
Moc nasza wielka!— W krąg wysp i nadbrzeża,
Gdzie wiatr dowiewa, gdzie fala uderza,
Tam dom nasz, państwo, łup naszej odwagi;
Mórz i flot berłem jest maszt naszej flagi.”

I również jak zuchwali piraci Skandynawskich wybrzeży którzy z dumą zwali siebie *Sioekonungar*, królami morza, z najzimniejszą obojętnością śmiało stawili czoło i swoim przeciwnikom i wściekłości morskich huraganów. Nie jeden z nich, w najniebezpieczniejszych walkach, którym się ciągle oddawali, zasłużył na ową energiczną pogrzebową mowę jednego z bohaterów *Islandskiej Sagi*: „upadł, uśmiechnął się, umarł.” Nie jeden też z nich towarzyszył hordom Normandów na owych *drakar*, które tak straszną trwogę rzuciły na brzegi Sekwany i Karola W. do płaczu przywiodły.

Jeszcze wówczas handlowe miasta leżące nad Renem, Dunajem, Elbą, Północnym i Bałtyckim morzem nie zawiązały były owój pamiętnej Hanzeatyckiej ligi dla wspólnej obrony przeciw niesprawiedliwym napadom i łupieztwu pi-

ratów. Książęta Meklenburscy, Pomorscy, i królowie Danii gnębili na morzu, i usiłowali w samym gnieździe wytępić plemię sępów na wyspie Rugii wylęgte. Czasami nawet trzy te mocarstwa jednoczyły się dla łatwiejszego poskromienia téj hordy napastników, najeżdżali wyspę, pustoszyli ją i zmuszali mieszkańców do opłaty poniżającego haraczu. Lecz prędko znowu, mieszkańcy wyspy porywali się do broni; i starawszy więzy niewoli, mścili się okrutnym prawem odwetu za wszystkie doznane upokorzenia.

Spokojni opowiadacze nauki chrześcijańskiej probowali innych środków w celu poskromienia narodu nie dającego się pokonać siłą materyalną. Z klasztoru Korbii, założonego przez Ludwika Dobrodusznego, zakonnicy udali się na brzegi Bałtyku i w 878 roku z narażeniem życia wysiedli na wyspę Rugiję. Natchnione ich słowa, cnota pokory i łagodności, silnie i poruszająco podziały na tych wespół dzikich ludzi, dotąd tylko słyszających krzyk wojny i ślepo wierzących tajemniczym wyrocznióm swoich kapłanów z poza krwawych wyrzuconych ołtarzy. Znaczna ich liczba chrzest święty przyjęła. Założono tam zaraz kościół pod wezwaniem S-go Wita, którego relikwije klasztor Korbii posiadał, uważając go za osobliwszego swego patrona.

Po szczęśliwém dokonaniu niebezpiecznego zadania, misyonarze ci poszli dalej opowiadać słowo Boże. Lecz jeszcze zawczasie liczyli na trwałość swojej nauki, zaszczerpionej w ludzie, którego charakter i zwyczaje tak dalece przeciwne były zasadom sprawiedliwości i braterstwa dogmatu ewangelicznego. Wkrótce po ich odejściu mieszkańcy Rugii powrócili do swych pogańskich bogów, zniszczyli kościoły chrześcijańskie i wygnali kapłanów. To jednak co im misyonarze o cudach i męztwie S-go Wita opowiadali, tak dalece się im podobało, że zachowali cześć tego świętego, umieszczając jego posąg w liczbie innych swoich bałwanów, któremu przez małeńkie przekształcenie ortograficzne, nadali nazwę *Swantewil'a* (1), (Świętowita.)

A i bez tego mieli już oni dość piękną kolekcję bogów. We wsi Carenza (dzisiejszy Garz) było trzy świątynie, w których trzem ogromnym kłaniano się bożyszczom. Jeden przedstawiał *Borewita*, boga wiatrów i lasów. Nie miał on żadnego oręża, lecz zato miał pięć wielkich

(1) Mniemają także iż nazwisko półwyspu Witków jednego z najżyźniejszych okręgów Rugii pochodzi od S-go Wita.

głów; zapewno cztery z nich wyobrażały główne cztery strony nieba, a piąta krainę lasów. Drugi posąg przedstawiał *Porenuta*, boga piorunów, z pięcią twarzami, z których jedna była wyróżniona na piersiach. Trzeci wyciosany w olbrzymim dębie, wyobrażał *Rugowita* patrona wyspy; miał on siedem głów, u pasa wisiało mu siedem mieczów, a ośmy trzymał w ręku. Przy tej strasznej powierzchowności był on tak łagodnego charakteru, że pozwalał jaskółkom gnieździć się na olbrzymiej swojej głowie i brudzić oblicze, nie obrażając się tem wcale.

Lecz dla nowego boga Swantewita, wybudowano daleko okazalszą świątynię na północnym końcu wyspy, w środku Arkony stołecznego miasta całej wyspy i razem silnej fortecy. Świątynia ta miała dwa osobne wnętrza, złączone pod jednym dachem. Pierwsze z nich było ozdobione mnóstwem rzeźby i wymalowane czerwono. Ztamtąd wchodziło się do drugiego, wspartego na czterech kolumnach i przybranego w dywany rozmaitych kolorów. Tam stał zakryty bogatemi firankami olbrzymi posąg bożyszczka, którego mieszkańcy kraju czcili zarazem jako boga wojny i żniwa. Miał on cztery twarze pokryte kudłami włosów, a jego postać okryta była długą szatą spadającą aż do nóg. Było to

może przypomnienie brody i sutany zakonników opowiadających cześć S-go Wita. Jego lewa ręka zgięta była w kształcie łuku. W prawej zaś trzymał róg metalowy, którego używali do swoich proroctw kapłani.

Obok zawieszzone były attributa wojenne tego potężnego boga, który w ważnych okolicznościach sam dowodził wiernemu swemu ludowi były to miecz ogromny, siodło i wędzidło jego rumaka. Na ścianach ubranych w osłony z purpurowej materyi, widziano jeszcze mnóstwo naczyń, ozdób srebrnych i złotych, oraz rogów zwierząt, ofiarowanych Swantewitowi w dank jego łaski lub w godzinie trwogi.

W taki sposób starożytni kronikarze Pomorza, Kantzów, Micraelius, Cramer opisują nam cuda świątyni Arkonskiej wedle tradycyi i opisów grammatyka Saxo, który sam to wszystko widział. Znaczna część ozdób świątyni zapewne od piratów pochodziła. Co zaś do jej kolumn i posągów, to Wendowie z Rugii sami mogli je wyrobić. Niewątpliwą zda się być rzeczą, że od najdawniejszych czasów Sławianie posiadali wielką zdolność i niepospolitą zręczność władania siekierą, czém i dziś włościanie ruscy odznaczają się. Umieli oni także tkąć i farbować materye, i zapewne całą swą umiejętność artysty-

czną i przemysłową biegłość obracać musieli na upiększenie przybytku swego boga Swantewita.

Ten bóg tak dalece był poważany, że kapłani zbliżając się do jego posągu musieli powstrzymywać oddech; a ile razy chcieli odechnąć, musieli się cofać aż do drzwi świątyni żeby nie obrazić bóstwa ludzkim oddechem.

Każdego roku po ukończoném żniwie, cały naród zgromadzał się koło świątyni. Kapłan zaczynał od rozpatrzenia rogu znajdującego się w prawém ręku Swantewita. Róg ten oznajmywał ludowi, jak nilometr w Egipcie, nawet jeszcze wczesniej, jakie będą urodzaje w roku przyszłym. Jeżeli ziarno, którém róg był napełniony w roku przeszłym, równało się jeszcze z brzegami, była to szczęśliwa przepowiednia; jeżeli zaś opadło, wówczas był to znak niepokojący. Jakakolwiek była wróżba, zawsze musiało składać wielkie ofiary z wołów, koguta a nawet i jeńców wojennych, a całe zgromadzenie przez kilka dni oddawało się wesołym ucztom.

Każdy mężczyzna i kobieta obowiązani byli w tym dniu uroczystym zapłacić haracz kapłanom Swantewita. Oprócz tego oddawano mu trzecią część zdobyczy wojennej z każdej wyprawy. Cześć tego bóstwa drogo kosztowa-

ła mieszkańcom kraju. Trzeba było utrzymywać ze trzysta koni wyborowych na jego użytek i nadto jednego białego, którego tylko wielki kapłan miał prawo dosiadać. Niekiedy po nocy, koń ten bywał zmęczony i okryty potem. Znaczyło to, że bóg opiekuńczy sam w nocy gromił nieprzyjaciół Rugii. Czasami też z ruchów tego konia, wróżono przyszłość. Przed rozpoczęciem jakiej wielkiej wyprawy wojennej, kładziono przed nim na ziemi kopije i dziiryty: jeżeli dla ich przestąpienia podnosił prawą nogę, było to znakiem zwycięstwa; gdy zaś lewą, zapowiadało klęskę.

Nic bardziej naiwnego, i razem przebiegłego nie dostrzegamy w obrządkach aruspexów Rzymskich ani też w nocnych naradach Indyjskich wodzów z Manitu.

Lecz mieszkańcy Rugii wierzyli we wszystkie te wróżby i w każdej potrzebie do nich się uciekali, gdyż niespokojny i burzliwy ich charakter w coraz nowe wikłał zatargi i wojny.

Knud (Kanut) Wielki, pierwszy uśmierzył ich zuchwałość i położył koniec ich łupieztwu. Znakomity ten wojownik jednocześnie rządził Anglią i Daniją, podbił Norwegiję i część Pomorza. O nim to pochlebni skaldowie mówili: „Kanut panuje na ziemi, jak pan Bóg na

niebie,” a on drwił z pochlebców filozoficznie, i siadając na brzegu morza pokazywał im jak fale morskie nieposłuszne były jego rozkazóm. On to, w pokorze religijnej, przerwał dobrowolnie szereg swych zwycięstw dla odbycia pielgrzymki do Rzymu i oddania hołdu głowie Kościoła, i on to w stolicy świata chrześcijańskiego fundował dom dla pielgrzymów z Północy.

Mimo swoją pobożność i gorliwość w nawracaniu, nie mógł wszakże Kanut utrwalić chrześcijaństwa na wyspie Rugii i utrzymać na długo w karbach posłuszeństwa jój mieszkańców. Jeszcze za jego życia zdarzały się tam bunty, a zaledwie skończył, wnet złamali obietnice wierności i z niepohamowaną zawziętością powstali przeciw Danii. Nietylko że u siebie okrutnie prześladowali opowiadanie Ewangelii, ale jeszcze wypowiedzieli wojnę prowincjom nad-Baltyckim za to, że usłuchały głosu misyjonarzy.

W końcu XI wieku, w epoce kiedy cała Europa z gorącą pobożnością odradzała się pod ożywiającem tchnieniem chrystyanizmu; kiedy ze wszech stron, od równin Saxonii aż za Pyreneje, od Tamizy do Dunaju, duch krucyat owiewał umysły i zapalał wyobraźnię; w czasie kiedy namiętne słowa Piotra pustelnika wstrząsały zamki i chaty, kiedy Godfryd de

Bouillon i Tankred wyprawiali się na odebranie grobu Chrystusowego,—w tymże samym czasie, powiadamy, w zapadłych krainach Północy, odbywała się krucjata przeciw tymże samym podaniom i nauce, co tylu królów, panów, rycerzy i ludu zagrzewały. Panował wówczas na wyspie Rugii książę Krito, którego zbuntowane przeciw swemu władzcy, sławiańskie plemię, Obotrytów, wezwało na pomoc. Krito na czele pogańskiego tego plemienia, ze zgrają swoich żołnierzy i piratów, naszedł Meklemburgję rozbił synów księcia Gottschalka, już zabitego przez Obotrytów, zamordował biskupa i zburzył wszystkie kościoły katolickie. Ztamtąd zwrócił się na Pomorze, później do Holsztynii podbił obie te prowincje i wszędzie na miejsce krzyża poprzywracał swoje bałwany. Danija i Saxonija niemogły powstrzymać jego zapędów, a dwóch synów Gottschalka poległo w tych walkach. Pozostał jeszcze trzeci Henryk, który miał wojnę dalej prowadzić. W ciągu tych krwawych tryumfów, Krito został zamordowanym. Mieszkańcy Rugii obrali na następcę jego synowca, imieniem Ratze, i dla niego odstąpili nawet praw swych usilnie przestrzeganych: odtąd godność książeństwa z obieralnej przeszła na dziedziczną.

Ratze, również mężny i odważny jak stryj

jego, nie był tyle szczęśliwym. Zwyciężony pod Lubeką cofnął się na wyspę dla zebrania nowych posiłków; lecz zwycięzki Henryk popędził za nim. Było to w zimie. Zamarzłe wszystkie pobrażne i wewnętrzne zatoki, ułatwiały przejście Henrykowi. Naród Rugii zdumiony i przestraszony tém najściem, prosił o pokój. Henryk przyzwolił na to, lecz pod warunkiem, że mieszkańcy pod przysięgą zobowiążą się nie wydawać mu nigdy wojny, i zapłacą 4400 marek srebra. Dla zebrania téj summy kobiety musiały oddać wszystkie swoje ozdoby i kapłani najkosztowniejsze ozdoby ze świątyni Swantewita. Następnęj zimy, pod pozorem że jakoby Rugijanie warunków umowy nie dotrzymali, Henryk wspólnie z księciem Saxonii przedsięwzięli nową na wyspę wyprawę; lecz tą razą Swantewit słusznym oburzony gniewem, za złupienie swojej świątyni, dosiadł w nocy swojego białego rumaka, strwożył nieprzyjaciół tak iż Ratze nazajutrz z łatwością ich rozproszył.

W tym samym czasie kiedy waleczni mieszkańcy wyspy prowadzili wojnę ze zręcznym swym przeciwnikiem, jój piraci nie omieszkali korzystać z okoliczności; schwytali kilka Duńskich okrętów, a niekiedy nawet zapędzali się za zdobyczą aż na brzegi Danii, szukając w dopełnia-

nych łupieżach, jakby wynagrodzenia za haracz jaki przez lat kilka Rugija temu państwu wypłacać musiała.

Po śmierci Kanuta, Danija mając niespokojnych królów i uwikłana w nieszczęśliwe wojny, prócz tego osłabiona wewnętrznym niepokojem musiała cierpliwie znosić obelgi od dawnych swoich wasalów. Lecz przyszedł dzień, w którym ona w swoje łwie szpony pochwyciła same gniazdo korsarzy, co swoją zuchwałością obrażali jój władzę, łupieżstwem przerażali jój kupców i bałwochwalstwem razili i obrażali jój wiarę.

W 1135 roku, Eryk Esmund uzbroiwszy flotę ze 110 statków, rozumie się owoczesnych, wylądował we 25000 ludzi przy fortecy Arkona. Zaraz po przybyciu udało mu się przeciąć podziemne kanały, któremi miasto opatrywało się w świeżą wodę, i tym sposobem zmusił je do poddania się. Za przykładem miasta poddała się i cała wyspa, z obowiązkiem znowu płacenia Danii haraczu. Prócz tego mieszkańcy obiecali wyrzec się pogaństwa i słuchać nauk przybyć mających chrześcijańskich kapłanów. Niektórzy nawet dla okazania swój dobrej woli natychmiast chrzest przyjęli. Lecz przyjęli takowy bez najmniejszego pojęcia o religii, prawie jak

ów dziki teutończyk, o którym kronika z czasów Ludwika Dobrodusznego podaje, że z chrztu uczynił sobie spekulacyę; gdyż jednego dnia kiedy go na nowo chrzczono, na widok płuciennej szaty, którą mu podano odezwał się: „cóż to mi za łachmany podajecie. Ze dwadzieścia już razy oblewano mię, tak jak dziś wodą i zawsze najpiękniejszą dawano bieliznę.”

Eryk dał się uwieść protestacyom chytrych mieszkańców Rugii. Niedaleko Arkony kazał wybudować kościół, umieścił przy nim księdza i wrócił do siebie w przekonaniu, że zasiew nauki Chrystusa przyjmie się nareszcie na tej starej dziedzinie pogaństwa. Poddani jego nadali mu przydomek *wymównego*; lecz mieszkańcy Rugii mogli go nazwać *Łatwowiernym*. Zaraz po odpłynieniu jego z wyspy, zburzyli kościół, wygnali księdza i na nowo cześć swoich bożyszcz przywrócili.

Wkrótce potem Eryk umarł. W dziedzicznym jego państwie powstały zamieszki i niepokoje, a dzicy wyspiarze, których uważał za pokonanych i nawróconych, rozpoczęli na nowo swoje napały i łupieże.

Nakoniec w 1168 roku wstąpił na tron energiczny i mądry król Waldemar, którego nazwano Wielkim. Nauczony doświadczeniem swo-

ich poprzedników, postanowił dać uczuć Rugii potęgę swego oręża, i niepozwoić oszukać siebie próżnemi obietnicami. Przyzwawszy na pomoc księcia Meklemburskiego wyruszył na wyprawę ze znacznemi siłami. Dla uświęcenia religijnego celu wyprawy, towarzyszyli jój dwaj biskupi, Szweryński i Absalon Roeskilde, minister i przyjaciel Waldemara, jeden z najoświecenijszych ludzi średnich wieków, jeden z tych mężów wielkiego ducha i serca, którzy w dziejach narodu zostawują po sobie świetną drogę i niemogące zaginać imię.

Rugijanie gotowali się mężnie na odparcie grożącego im niebezpieczeństwa. Książę ich z częścią wojska zamknął się w Gartz, a jednemu z najlepszych swych wodzów polecił obronę Arkony. Waldemar wylądował na tym samym przyładku gdzie niegdyś poprzednik jego Eryk. Miasto otoczone było silną palisadą i od strony lądu bronione ogromną wieżą z dębowych dylów. Duńczycy po bezskutecznych usiłowaniach zdobycia jój lub zniszczenia taranami, potrafili zapalić. Oblężeni widząc niepodobienstwo zagasić płomieni które rozszerzając się coraz bardziej zagrażały zniszczeniem całego miasta, kapitulowali. Wieść o upadku Arkony skłoniła załogę Gartzu do poddania się. Cała wyspa musiała

przyjąć warunki narzucone przez Waldemara. Wszystkie świątynie pogańskie były zniszczone; bogi wojny i piorunów rozbito w kawałki i wrzuciono w błoto; bogate opony i skarby świątyni w Arkonie złupiono. Kolosalny posąg potężnego Swantewita obalono z podstawy; biskup Absalon odciętą głowę posłał do Rzymu papieżowi Alexandrowi; a sam posąg z dębowego drzewa porąbany na sztuki, posłużył Duńskim żołnierzom do podsycania obozowych ogni.

Tak zostało zniszczone ostatnie siedlisko poganizmu na Północy. Trzy wieki minęło jak świątobliwi missyonarze z Korbii zaniesli tam słowa Ewangelii, a łupieżcy mieszkańcy wyspy tyle tylko zachowali w pamięci ich naukę, żeby ze świętego czczonego przez nich, utworzyć sobie nowe bożyszcze.

W rok po zwyciężkiej wyprawie Waldemara, Pomorzanie tak często napastowani przez okrutnych sąsiadów, najechali wyspę, spustoszyli ją i zniszczyli do szczętu ostatnie warownie.

Od tego czasu mała wyspa, tak ożywiona niedawno, tak burzliwa i groźna dla sąsiadów, zaczyna być wcale nieznaczącą i dzieje onęj wplatają się i nikną w dziejach Danii i Pomorza. Nawet dzielni jej mieszkańcy dziesiątkowani w tyłu krwawych walkach zawziętych, zubożeni po-

wściągnięciem ich rabunków, zniknęli powoli ustępując miejsca kolonistom Niemieckim, którzy zaludnili ich wsie i pobudowali nowe. Powiadają że w końcu XIV wieku, na całej wyspie została tylko jedna kobieta, która zachowała jeszcze zwyczaje Wendów i mówiła ich językiem. Ta ostatnia przedstawicielka zgasłego pokolenia umarła w 1404 roku.

Tak zniknęły i inne pokolenia, które w danym czasie miały epoki swego powodzenia i wierzyły w nieskończoność swego istnienia. I tak to od wieku do wieku, ziszcza się przepowiednia Biblii: *Et terra renovabitur*. Jest to prawo Boga na pychę naszej ludzkości. Drzewa przeżywają człowieka, który je sadził. Dąb ocienia mnogie pokolenia swojemi konarami. Powiadają, że w Soma (w Lombardyi) znajduje się cyprys posadzony jeszcze za czasów Juljusza Cezara. W Mexiko, w Chapultepec, rośnie inny cyprys niesłychanej objętości, mający według zdania P. de Candolle znakomitego naturalisty, wiele tysięcy lat. W Jeruzalem, niedaleko groty Konania widzieliśmy osiem świętych drzew oliwnych, które wedle podania istnieją od czasu męki Chrystusa Pana. Heż jest narodów trwających tak długo?

Wojownicza wyspa Rugija, co niegdyś była

postrachem mieszkańców nad-Baltyckich wybrzeży, co niepokoiła Kanuta W. w jego ogromnym państwie, i Waldemara w całej świetności jego potęgi, dzisiaj jest zaledwie małym okręgiem jednej Pruskiej prowincyi, ulegającym władzy administracyjnjej Stralzundu.

Starożytne miasto pogańskie Garenza, gdzie niegdyś tysiące ludu zbierało się na wspaniałe gody dla uczczenia głośnych z cudów swych bożyszcz, dziś jest skromną miejsciną od 200 domów, której mieszkańcy zaledwo mogą zebrać składkę na zbudowanie szkółki i dokończenie szosy.

W Stubenkammer, niedaleko tajemniczego, czarnego jeziora bogini Herty podróżni z przyjemnością zatrzymać się i wypocząć mogą w przelicznej chatce szwajcarskiej.

Na cyplu przylądka Arkony, zkad niegdyś rabusie wyspy czatowali na przechodzące okręta handlowe, by się jak sępy rzucić na swoją zdobycz, wznosi się dziś wysoka latarnia morska, zbudowana podług planu znakomitego berlińskiego architekta Schinckel'a.

Stróż tego obserwatorium jest razem oberżystą. Za pół talara, podróżny ma przyjemność w dolnym pięttrze jego powietrznego mieszkania zasnąć na potwornym łożu niemieckim, które-

go prześcierała do serwet a kołdry do materaca porównać można. Za kilka *groschen* podają ci *bifleck* z cebulą i pieczeń duszoną z kartoflami. Oba te zatrwajające pierwiastki kuchni teutońskiej, kaducznie zalecają się podróżnym od brzegów Renu i prześladowają go niemiłosiernie swoim nudzącym zapachem od miasta do miasta, od hotelu do hotelu, aż do ostatnich krańców starożytnej Germanii. Potrawy te okazują się na wszystkich nowych liniach kolei żelaznej, a wyziewy ich napełniają wszystkie nowe *Lustgarten*. Patrząc na szlachetną dumę z jaką przemysłowy Niemiec podaje one na fajansowych talerzach, w najlichszym traktyerku, ochrzczonej brzmiącą nazwą *Restauracyi*, zdaje mi się, że on w tym widzi najwyższe znamię cywilizacyi, i ta nieszczęsna cywilizacya przeniknęła aż do ostatnich krańców ziemi Wendów, do przylądka Arkona.

Tyle jest świetnych dowodów cywilizacyi w naszym szczęśliwym wieku! Romanse po cztery *sous* i nowe narzędzia wojenne; lichy podatek dla biednych słusznie pogardzany, i wielkie gry na giełdzie z takim uwielbieniem szanowane; sztuka nauczania się obcego języka w dni piętnaście i sztuka nauczania się wiarołomstwa we własnym języku, w daleko krótszym czasie; sumie-

nia, co dla łatwiejszego uspienia zamykają się w bankowych biletach i rozumiemy dla których za ciasno w głowach ludzkich, przechodzące w wirujące stoliki.

Mieszkańcy Rugii jeszcze się nie wzniesli do tych wysokich przejawów naszej intelligencji. Nie mają jeszcze ci biedacy ani banku, ani teatru; żadnego telegrafu coby im ruch akcji kredytowych zwiastował, ani też dziennika, który niemając nic lepszego, opisywał by im choć igraszki hipopotama, i czynności cesarza Chińskiego. Tak jeszcze daleko pozostali za nami, iż nie sędzę aby pojąć mogli jakim sposobem wzięta modniarka kupuje pałace i jakim sposobem piękne i pracowite jej pomocniczki zużywają o-czy przy drobniutkim hafcie a umierają w szpitalu.

Nauka przeszła do nich za pośrednictwem Niemców. Nie pojęli oni jeszcze jej cudów, i dali prawo gościnności tylko najpospolitszym a razem najpotrzebniejszym księgom, np. *Kucharka obywatelska*, *Podręcznik tkacza*, i *podręcznik rolnika*.

Czytając kronikę grammatyka Saxo powzięłem pierwszą myśl zwiedzenia Rugii, i muszę wyznać, że tą razą jak i przy wielu innych okolicznościach, moja zdradziecka i ułudna wy-

braźnia zarzuciła mię mnóstwem fantastycznych obrazów, w których niebyło ani odrobiny prawdy. Znalazłszy w naiwnych opisach sekretarza biskupa Absalona, opowiadania o wyprawie Waldemara i oblężeniu Arkony, wyobraziłem sobie dziką, złowrogą wyspę jako jedną z takich miejsc które się zwiedza z wewnętrzną trwogą, których wspaniałe okropności później spokojnie przy kominku opowiadać można przyjaciołom, nie przekraczającym nigdy końca *Bulwarów*, a którzy zachwycać się będą odwagą wędrowca.

Odjeżdżając ze Stralsundu z zapasem książek mających mi dać prawdziwe poznanie rzeczy, lubiłem jeszcze pozostać w błędzie: my tak wszyscy lubimy się łudzić!

Statek zastępujący tu pocztę, przeleciał w dieście minut ciąsninę Strela, i wysadził nas na brzeg pokryty koczykami, berlinkami i brykami. Trafiliśmy właśnie na dzień, w którym według dawnego zwyczaju, właściciele dóbr na Rugii zjeżdżają się ze swymi dzierżawcami w hotelach Stralsundu dla obrachunków i przyjmują należne pieniądze. Panowie posiadacze dóbr przybywają aż na sam brzeg ciąsniny. Dzierżawcy zatrzymują się na témże samém miejscu z ciężkimi wozami ładowanemi zbożem i wełną, aby korzystając z okoliczności choć mały odbyć han-

delek. Przy powrocie téj podwójnej karawany postrzega się dziwna odmiana: ci którzy przybyli do Stralsundu z pustými rękoma, powracają z wielkimi workami pieniędzy, ci zaś którzy tam wieźli naładowane wozy odjeżdżają zupełnie lekcy. Patrząc na tych szczęśliwych patrycyuszów opatrzonych w pieniądze, i tych rolników ogołconych, mógłbym powiedzieć w duchu iż moje wyobrażenie o dzikich mieszkańcach Rugi urzeczywistniają się:— pomyślałem sobie, „masz tu prawdziwy napad piratów. Oto są rabusie, a to ich ofiary.” Moje wszakże zamiłowanie scen przeszłości niepowinno mię upoważniać do ubliżania szanowanym prawom własności i do zapisania się w szeregi uczniów Proudhońa.

Odbywałem dalszą drogę w wygodnym dyliżansie po doskonałej jak szossa drodze, wyżwirowanéj jak alea w parku; lecz gdzie nie spojrzę, nigdzie żadnego powodu trwogi lub zgromy. „Cierpliwości! powiadam sobie, jeżeli te wesołe pola z taką zuchwałą pewnością bezpieczeństwa roztaczają przedemną swoją zieloność, te murowane i kryte dachówką domy z lakierowanými drzwiami, zdają się zemnie natrzęsać okazywaniem dobrego bytu, to zapewno w innych miejscach wyspy znajdę najeżone skały, tajemnicze grotty i straszliwe przepaście. Tego przy-

najmniej każą spodziewać się opisy jakie mam w ręku.

Z największą więc dobrą wiarą zwiedzałem wszystkie wskazywane miejsca; w końcu, żeby już zbyt nie potępiać opisujących wyspę w tak świetnych kolorach, musiałem myśleć, że oni nic więcej nie widzieli nad piaski Brandeburskie lub równiny Pomorza, i zdumieli się na widok pagórka, jak ów sznur w bajce *La Fontain'a*; gdyż co do mnie, nic więcej na téj okrzyczanej wyspie nie dostrzegłem, jak massy krędy podkopane u dołu, ponacinane w kontur i podmyte falą; ani jednej skały, któraby mi przypomniła wspaniałe widoki Feroe, żadnego przyłądka, któryby choć w części podobny był do piętrzącego przyłądka Północnego, nawet ani takiej rafy jakie bez liku można widzieć przy brzegach Francyi.

Proszę sobie wyobrazić malarza, który przygotowuje paletę dla zdjęcia jakiegoś przerażającego krajobrazu, a napotyka tylko zagony, albo poetę, który spodziewa się uchwycić scenę godną dramatu a znajdzie sielankę;—takie i moje były zawody.

Lecz pospieszam uprzedzić, że te zawody nie należały do rzędu tych o których długie jere-miady wywodzić trzeba było. Poszukawszy na-próżno bajecznej Rugii, którą sobie wymarzył,

pogodziłem się prędko z rzeczywistością, piękną, uśmiechniętą wyspą, z przyjemnością patrzyłem na jej bogate niwy, prześliczne grupy dębów rozrzucone po zieleniejących kobiercach łąk, jej domki kryjące się w gęstwi drzew owocowych jak gniazdka; na to morze, które zewsząd wzrok i myśl porywa, a jasnym kryształem swoim okalając mnóstwo wysepek i półwysepek, otacza je jakby precudną ramą zieleni i białej piany;— morze tak ponętne szmerem fal swoich oblewających piaszczyste wybrzeża, tak wspaniałe swoją bezgraniczną przestrzenią.

Są obrazy w naturze, które można do rozmaitych epok życia człowieka porównać: jedne śmiałe, burzliwe, niespokojne, pełne jędrności, ożywienia i dziwnych kontrastów jak ognista młodość; inne blade, zimne, spokojne jak ostatnie chwile dogorywającego starca. Obrazy Rugii przedstawiają nam wiek dojrzały, silny, lecz już ponury i zamknięty, szukający spokoju w cieniu ustroń i pochylający się stopniowo z wyżyny swego biegu, jak i sama powierzchnia wyspy ze środka swoich pagórków zbiega do morza, do swojej wieczności.

Rugija liczy do 40000 mieszkańców rozrzuconych po oddzielnych zagrodach albo skupionych w wioseczkach, od stu do stu pięćdziesięciu głów.

Rękodzielnie nie zaniósł jeszcze do tych poczciwych kolonij swego zhytku i nędzy. Jeszcze żelazna ręka przemysłu nie odbiera rolników i tysięcy dzieci i nie zaprzęga ich do machin w zaraźliwej atmosferze. Gospodyni domu, wspólnie z córkami, sama jeszcze wyprzedza tkaninę na skromną odzież dla swój rodziny. Rolnik i rybak sami wyrabiają swoje narzędzia. Dary ziemi i morza wystarczają na ich potrzeby. Jeżeli nie znają okazałości miast wielkich, to też nie znają i głębokich cierpień tamecznego życia. A jakkolwiek zdają się być ubogimi, mają jednak zawsze kawałek chleba i miskę mleka, czém chętniej przyjmują i dzielą się z szukającymi gościny u ich ogniska; bo odziedziczając tę ziemię po dawnych Wendach i ich gościnne cnoty przyjęli.

czasami jedne i też same warunki geograficzne wyrabiają całkiem odmienne charaktery. Morze otaczające wyspę podbudzało chciwość Wendów i unosiło ich na swych falach w dalekie strony, w celu pochycenia kupieckiego statku, albo złupienia nadbrzeżnych mieszkańców. Toż samo morze zamyka dzisiaj spokojnych mieszkańców wyspy w małych granicach ich własnego kraju. Większa część ich nie była dalej jak w Stralundzie. Inni nie znają większego mia-

sta nad swoją stolicę Bergen, liczącą 3500 mieszkańców, a są i tacy, którzy nie znają sąsiedniego międzymorza. Mają oni jednak zboże do sprzedania, lecz dla tego jedynie nie są zmuszeni wyjeżdżać ze swój wioski: sami kupcy zakupują wszystkie produkta po wioskach i ładują na statki. Niejedne miasto Anglii i Szkocji zaopatruje swe rynki zbożem Rugii; a rybę ztamtań rozwozą w bardzo odległe kraje.

Jednego razu szedłem po osuszonej pochyłości półwyspy Wittow. U stóp moich, fale podejmowane północnym wiatrem, spadały jedna na drugą z rozgłośném wyciem. W około widziałem tylko piaszczyste wzgórza pokryte gdzieś gdzie dziką trawą i małemi krzakami bladej zieloności, na których piasek mieciony wiatrem zatrzymywał się nakształt sniegu. Żadnego śladu uprawy, żadnego mieszkania ludzkiego. A jednak cokolwiek dalej, półwysep ten jest piękny i żyzny, tu zaś wyglądał jak pustynia ziemna obok wielkiego stepu oceanu.

Nagle w głębokim wąwozie, zamkniętym piaszczystymi wzgórzami postrzegłem kilkanaście małych chatek przyczepionych jak gniazda jaskółek do szczelin muru, ściśniętych obok siebie jak stado wystraszonych mew i postawionych tak i owak, bez żadnego porządku, jak łodzie, które

burza na brzeg wyrzuciła. Była to osada rybaków, jakich tam dużo napotkać można. Wędrówki śledzi, dla tych biedaków jak i dla wielu okręgów Hollandyi, są prawdziwą łaską opatrności. Skoro tylko pływające chmury téj ryby ukażą się w pewnej porze roku, wszystkie sieci już gotowe i łodzie puszczają się na morze. Dopóki trwa to żniwo morskie, rybacy nie mogą nawet oddalić się do parafialnego swego kościoła w Altenkirchen. Ksiądz sam wówczas co tydzień przychodzi na miejsce gdzie oni są zebrani i odprawia nabożeństwo pod gołym niebem, jeśli pogoda pozwala, lub w zbudowanej na ten cel na brzegu morza maluchnej kapliczce. Jaki pocziwy a razem wspaniały obyczaj! Jaki szlachetny i tkliwy obraz, widzieć tę pracowitą gromadkę zanoszącą pobożne śpiewy wśród wycia fali i świstu wiatru, i słyszeć szczery głos mówiący im o Bogu przy cudownych dziełach Jego, na brzegu morza, pod sklepieniem nieba!

Przebywając piękne łąki, piaszczyste stepy i żyzne pola téj wyspy, wszędzie napotkasz ślady starożytnej rasy Sławiańskiej lub Germańskiej, szczątki okopów, których studia zachwyciłyby Oldbuck'a, antykwarjusza Walter-Skotta, ofiarne zgłiszczą, ciekawy przedmiot dla archeologa i

mnóstwo rozmaitych kurhanów, których tam liczą do 1800.

Pierwotni mieszkańcy Rugii daleko trwalsze budowali mieszkanie dla zmarłych niż dla żyjących. Sami mieszkali w drewnianych chatkach, a ich warownie w Gartz i Arkonie mogą być porównane do obozowych fortyfikacyj z okopami z piasku, podtrzymywanych palissadą; ale za to dla przechowania popiołów swoich ojców kopali głębokie rowy, wykładali je wewnątrz kamieniami i pokrywali ogromnemi plitami. Turcy na cmentarzach zasadzają cyprysy ocieniające wiele pokoleń. Egipcyanie starali się zachować swych zmarłych obwijając ich ciało w pieluchy. Wędrówce wznosili im pomniki, co przetrwały wszystkie rewolucye społeczne przez dziesięć prawie wieków. Znajdują się tam miecze i strzały krzemienne, ozdoby bronzowe, popielnice starsze od najstarszych królewskich zamków w Europie.

Niektóre pomniki zaokrąglone w kształt kopuł, pokryte darnią, podobne są do mogił widzianych na stepach Rossyi albo do szwedzkich kurhanów; inne znów równają się wysokością trzem pagórkom pod Upsalą, gdzie jak powiadają spoczywają trzy wielkie bóstwa skandynawskie. W tych starożytnych kurhanach, grzebano zapewne umar-

łych z prostej ludu. Są też i takie, w których znajdowano szkielety nie spalonych na stosach ludzi. Domyślają się, że to były cmentarze niewolników lub więźniów wojennych, skazanych na ofiarę bogom w Gartz i Arkonie. Jeszcze inne, według wszelkiego prawdopodobieństwa, mogły zawierać ciała naczelników plemienia lub bogatych familij. Długość ich nie przechodzi dwudziestu stóp, lecz wyłożone są tak wielkimi kamieniami i nad niemi wznoszą się tak kolosalne bryły granitu iż wybudowanie takowych przypisują olbrzymóm; i w rzeczy samej, spojrzawszy na te potworne bryły ułożone w massy, niepodobna zdaje się pomyśleć aby ręka ludzka podjęła się takiej pracy, chyba przypuścić trzeba, że Wendowie podobnie jak Egipcyanie przy budowaniu swoich obelisków, używali takich pomocniczych narzędzi, o których my dziś i wyobrażenia nie mamy.

Pocziwi mieszkańcy Rugii, w prostocie ducha, okazują największą obojętność dla kruszcu, któremu już dzisiaj wszystkie narody Europy hołdują jak Żydzi. Spokojnie uprawiają rolę i pasą trzody w około tych wiekowych pomników. A jednak legendy opowiadają im o ukrytych tam skarbach daleko droższych może niż kopalnie Kalifornii. Olbrzymy zakopali pod temi bryłami granitu

sztaby złota i drogie kamienie, chowając je przed chciwością nienawistnych sobie ludzi. We wnętrzu tych kurhanów mieszkają też karły pod sklepieniem z rubinów i szafirów. W samym mieście Gartz żył kiedyś stary wódz Wendów, który chował w jaskini mnóstwo beczek złota i srebra, i w czasie przybycia chrześcijan zagrzebał się sam w tych bogactwach, ażeby je ukryć przed nienawistnymi prześladowcami swojej religii. Nakoniec byli i korsarze, którzy w głębokich przymorskich grotach najkosztowniej swoje zdobycze pozakopywali.

Dwóch z nich, Claus Stortbeck i Michał Gadeke, byli postrachem kraju. Należeli oni do tej bandy flibustierów, których nazywano *Vitalienbrüder* (bracia żywności) ponieważ żyli ze swęj zdobyczy, albo *Liekendeeler*, ponieważ dzielili zdobycz między sobą na równe części. Długo bardzo groźna ich bandera powiewała na morzu Bałtyckim, a często też wysiadali na brzegi pałac i rabując wsie poblizsze. Scigani przez eskadry Lubeki i Hamburga, staczali najuporczywsze walki i nieraz zdobywali wysłane przeciw nim statki. W razie zaś gdy uważali niepodobieństwo pokonania przemagającej siły przeciwników swoich, wówczas uciekali w maleńkie cieśniny lub zatoki i nikt już ścigać ich nie o-

śmiała się, gdyż oni sami tylko znali te miejsca, któreimi przepłynąć można było.

Naiwna ludowa legenda opiewa, że ci rabusie w jednej ze swoich wycieczek złupili gdzieś byli relikwie jakiegoś świętego, które zawsze mieli przy sobie na obronę od wszelkiego niebezpieczeństwa, oddając im największą cześć i uszanowanie. Litościwy święty, w nadziei ich poprawy, był cierpliwy po Bożemu; lecz gdy się już przebrała miara występów i czynów bezbożnych, i kara dopełnić się musiała. Po krwawej i zaciętej bitwie z połączonemi siłami trzech miast hanzeatyckich, Gadene i Stortebeck rozbici i wzięci w niewolę razem z ośmiuset towarzyszami swemi, odprowadzeni do Hamburga, ściegi tam zostali.

Stortebeck przechowywał swoje skarby w jednej jaskini w Stubbenkammer, razem z bardzo ładną młodą dziewczyną, którą pochwycił był w Rydze. Biedna ta ofiara, zamknięta w ciemnym więzieniu, nieznalazszy żadnego otworu, napróżno wzywała pomocy. Wydierca jej walczył wówczas w ostatniej bitwie; a ponieważ nikt z mieszkańców nie usłyszał jej płaczu, w męczarniach głodnej śmierci zakończyła życie. Lecz zapewne i ona musiała mieć udział w jakim morderstwie, gdy i po śmierci nie znalazła spokoju. Od pięciu prawie wieków jest ona jakby obrazem zgryzoty

sumienia, którego śmierć zmasać nie może, jakby symbolem dogmatu pokuty, opowiadanego przez wszystkie średniowieczne legendy ludowe całej prawie Europy. Od pięciu wieków wzywa ona miłosierne słowa, coby uspokoiło ciężkie wyrzuty sumienia, litościwej ręki, coby jej dopomogła zmasać ślady zbrodni, i dała przy pobożnej modlitwie pogrzeb chrześcijański.

Ukazuje się ona co rok, w nocy z 24 na 25 czerwca, w owej tajemniczej nocy S-go Jana, kiedy słońce na naszej półkuli najdłużej się zatrzymuje, jakby niechciało z nią się rozstać, kiedy ziemia jest pełna cudów i polne kwiatki zwiastują dziewczętom kto będzie ich mężem; kiedy drzewa i wody mają wieszczce szemrania, kiedy promienie przedwiecznego światła przenikając w mogiły przebudzają umarłych, aby szli na krzyżowe drogi i tam wyrzucali wiarołomnej kobiecie zapomnienie przysięgi, lub ukochanym istotom zbawienną udzielili radę.

Ta nieszczęśliwa ofiara piratów ukazuje się na brzegu morza, przy wejściu do jednej z grot w Stubbenkammer, i trzymając w ręku zakrwawioną chustkę nurza ją w wodzie, wyciera konwulsyjną ręką i znowu z najgłębszym smutkiem spogląda na nią; lecz plama, którą zmyć stara się, zawsze zostaje równie czerwoną. Ktoby wówczas

zbliżył się do niej z pobożnym współczuciem, wybawiłby ją od męki i pokuty. Ona by spokojnie upadła, w tém samym miejscu gdzie się ukazuje, i przed zamknięciem na wieczny pokój oczu, wskazała by mu miejsce, gdzie Stortebeck zakopał swoje skarby.

Przypadkiem, w nocy 25 czerwca znajdując się w Stubbenkammer. Słyszałem tę historię, która pod dziwną barwą kryje głęboką myśl religijną, i chętniebym podał rękę nieszczęśliwej pokutnicy. Lecz wyznać muszę że ja wcale jej wcale nie widział, i tą razą nie sądzono mi jeszcze być sprawcą dobrego czynu. Nie mówię wcale o tém, że miałem zręczność zrobienia fortuny; czego już oddawna wszelką straciłem nadzieję.

Wyspa Rugija tak powabna przy swój cichój, wiejskiej fizyonomii skromnemi chatkami rolnika, wśród których rzadko bardzo można dojrzeć dwór pański, odznaczający się bardziej wystawą niżeli dobrym smakiem; głośna ze swoich starożytnych kronik i zabytków, z piękności malowniczych widoków—przez długi czas przez niezmiernie małą liczbę podróżnych zwiedzana bywała. Kilku chyba archeologów niemieckich zabłądziło tam dla wyszukania śladu jakich okopów, rozkopania kilku kurhanów i grobowców, żeby z tego napisać jaką

akademicką rozprawę o Wendach. Kilku może poetów, w swobodnej chwili, zwiedzało te rozkoszne miejsce dla nadania werwy ociężałym swym marzeniom. Lecz przybył tam człowiek, który światłym umysłem i wytrwałą pracą nadał zupełnie nowy blask temu zakątkowi ziemi, przerabiając prawie nieznaną okolicę w najświetniejszą w całych Niemczech z uzdrawiających kąpiel. Był to potomek jednej z najdawniejszych rodzin Północy, książę Putbus, dziedzic obszernej i wspaniałej posiadłości, która od wzgórza pokrytego lasem, schodzi stopniowo polami aż do brzegu morza, naprzeciw małej wysepki Wilm.

Kiedyś miejsce to było pokryte gęstym, dzikim lasem, pośród którego wznosiła się niezgrabna budowa założona w początku XIII wieku. W 1583 r. jeden z książąt Putbus przystawił tam kaplicę; w 1725, inny tego rodu zaczął tam wznosić w ogromnych rozmiarach dzisiejszy pałac. Jedna linija z téj rodziny mieszkała wówczas o kilka mil ztamtąd we wsi Wilmnitz, gdzie jeszcze dziś są ich groby. Znajduje się także na téj wyspie wspaniały zamek, zbudowany przez hrabiego Gustawa Wrangela, gdzie ów znakomity wodz z Trzydziestoletniej wojny szukał wytchnienia dla skołatanego trudami żywota i tam dokończył dni swoich. Przy śmierci, przekazał tę posiadłość szlachtetnej fa-

mili Brahe, której nazwisko od wieków zapisane jest na kartach dziejów Szwedzkich. Z przyłączeniem Rugii i Pomorza do Pruss, hr. Brahe sprzedał księciu Putbus zamek Spyke z ogromnemi lasami i z całą attynencyą, ze czterdziestu składającą się folwarków.

Piękna ta majątność dla każdego nabywcy mogłaby służyć rozkoszném miejscem wypoczynku; lecz charakter jego był zanadto czynny, żeby poprzestał tylko na przyjemności spokojnego używania darów losu. Chciał on stworzyć co nowego, i wziął się do dzieła, które rozpoczynawszy 1810 r. kontynuował przez czterdzieści cztery lata aż do ostatniej chwili swego życia.

W 1810 r. ukończył ów pałac Putbus, zaczęty przez jednego ze swoich dziadów, a z obszernych i gęstych otaczających gaików zrobił park angielski, wspaniałej piękności.

Z daleka daje się widzieć ten okazały pałac z wysoką facyatą, szerokimi balkonami i mnóstwem białych kolumn; przepyszne ozdoby, brązowe i marmurowe posągi, cieplarnie w których kwitną podzwrotnikowe rośliny, szerokie kanały po których pływają łabędzie, i bażantarnie, wszystko jest tak piękne, iż zda się nic nie brak ażeby tam rezydencyę królewską uczynić. Mnóstwo robotników pracuje nad utrzymaniem tych ogro-

dów i aleje jego ocieniają stuletnie lipy. Okna pałacu z jednej strony wychodzą na duże lasy, a z drugiej na morze. Wszędzie bogata i piękna przyroda; wszędzie ślady pracowitej ręki i światłego umysłu.

Jednocześnie z tą pracą, książę szkicował plan miasteczka, które chciał pobudować około swojej rezydencji. Ta część wyspy była prawie pusta; sprowadził zatem rzemieślników i kupców, dając im za małą opłatą od 20 do 30 franków rocznie dość znaczne wydziały ziemi na założenie ogrodów i zabudowanie się, z warunkiem tylko aby domy były kształtne i stawiane pod linię. Tak powoli wzniosła się kolonja podtrzymywana w nagłych razach wspaniałomyślnością księcia. W miarę jej wzrostu, książę dla ułatwienia środków przewozu, w różnych kierunkach porobił nowe drogi.

To wszystko co tu było do zrobienia, jakby w jakiej amerykańskiej pustyni, karczowanie pól, mosty, bite drogi, założenie ferm, domów dla rzemieślników—wszystko to jest dziełem jednego człowieka, dziełem jego pracy i wytrwałości.

Piękna droga łączy dziś majętność Putbus ze stolicą wyspy i z przystanią, Stralsundu; druga schodzi na brzeg morza, gdzie książę wybudował okazały dom dla biorących kąpiele. Później gdy

coraz większa liczba osób zachęconych starannością gospodarza poczęła się zbierać na kąpiele, kazał on wybudować obok swego parku teatr, i w środku ogrodu salę koncertową i balową, oraz kawiarnię i sklepy.

Jego własne dochody wystarczały na te wydatki. Żył bardzo skromnie, lecz bogactwo jego przeszło w dziedzinę podania współczesnego ludu. „Patrzaj pan, powiadał mi raz jednego jego włościanin, książę nasz posiadał już dziewiędziesiąt dziewięć majątków; zachciało mu się mieć ich sto i jak tylko miał sto, natychmiast umarł. Wielkie to nieszczęście dla nas, że tego zapragnął, gdyż był bardzo miłosierny, świadczył bardzo wiele dobrego w kraju, i nam się tu wszystkim zdaje, iż złe duchy zaczarowały ten setny majątek.

O filozofijo ludu, naiwna mądrości prostego serca! Jeśli jego wiara w cuda stwarza czasami dziwaczne pomysły, czyż niewidzimy często, nawet w jego błędach, oznaki zdrowego rozsądku, nauki pokory i umiarkowania?

Książę wcale nie myślał o nabywaniu nowych posiadłości, lecz tylko o zbogaceniu i zaopatrzeniu we wszystko swojej kreacyi Putbus. Prace materialne nie zajmowały go wyłącznie. Zamieszkał on także naukę i sztuki. Zebrał bibliote-

kę składającą się z 10000 tomów, muzeum etnograficzne i, jak powiadają, bardzo znakomitą kolekcję obrazów. Podczas mojego tu pobytu, księżna wdowa była cierpiącą i pałac zamknięty. Żałowałem bardzo iż nie mogłem wówczas zwiedzić galeryj, które zawierają kosztowne dzieła szkoły Włoskiej, posągi Thorwaldsena i kilka arcy-rzadkich ksiąg w bogatej bibliotece. Między innemi, wielką miałem ochotę zobaczyć książkę do nabożeństwa Filipa II, drukowaną gockimi literami na czterdziestu pergaminowych stronnicach i ozdobną miniaturami.

Przed dwudziestą laty wyspa Rugija na 35,000 mieszkańców, miała tylko elementarne szkółki. Książę Putbus założył tam gimnazjum. Oprócz tego sam wybudował w swoim miasteczku, dom dla uczniów, mieszkanie dla dyrektora i uposażył ten zakład bardzo wspaniałomyślnie.

Widziałem w Filadelfii pałac zbudowany w takim samym celu, z donacją dumnego Girarda. Jestem przekonany, że ten wspaniały zakład jest tylko dowodem próżności, gdy tymczasem fundacya Putbus'a istnieć będzie jako poważna i użyteczna instytucya.

1854 roku, 27 września książę umarł w swojej majątności, i ostatnie jego spójrzanie z prawdziwym zadowoleniem spocząć mogło na owocach

pracy, której cały swój żywot poświęcił. Na nie-
 płodnej dotąd niwie, zasiał ziarno pracy i prze-
 myśłu. Na opuszczonym kawałku zbudował pię-
 kne miasteczko, które dziś liczy z górą 1500
 mieszkańców, i dąży do coraz większego wzrostu.
 W zimie mieszcina ta utulona pod śniegowym przy-
 kryciem, odpoczywa w cichości. Z przyjściem
 wiosny obudza się razem z zieleńjącą trawą,
 z rozpuszczającymi się drzewami, przy świer-
 gotaniu ptaków, czynnym a ruchawym ożywia się
 życiem. Porządnie utrzymane oberże stojące na-
 około placu, otwierają okna swoje, dające śliczne
 widoki na umajone pola i przestwor błękitnego
 morza. Kucharze, cukiernicy i piekarze przyby-
 wają tam z Berlina i rozstawiają swoje piecyki
 i kosze likierów. Modniarki i czescy szklarze
 rozkładają swoje lśniące towary po kramiach w par-
 ku. Księgarze przysyłają do czytelnicy pałacowej naj-
 nowsze poezye i romanse. Truppa aktorów zaj-
 muje teatr, i dla okazania swój umiejętności daje
 przedstawienia *Mademoiselle de la Seiglière* albo
Dame aux Camélias w tłumaczeniu. Parostatki
 ze Stralsundu i z Greifswald przywożą tłumy go-
 ści, nie dla rulety Badeńskiej, albo dla zielonych
 stolików Homburga, ale dla odetchnięcia świe-
 żym powietrzem i użycia rokoszy powabnej przy-
 rody. Park i ogrody otwarte są dla wszystkich.

Tam rozkwitają lilije, stare lipy rzucają szerokie cienie dla przechodniów, balsamiczna woń kwiatów rozchodzi się po całym powietrzu, i wesola muzyka ożywia salę balową. Jest to prawdziwa rokosz północnego lata, są to czary Tytanii; a wszystko to stało się skutkiem szczęśliwego pomysłu, i wytrwałości jednego człowieka.

Pośrodku wielkiego owalnego placu, otoczonego wieńcem rokosznych domków, wznosi się obelisk na którym czytamy ten skromny napis:

Gründung des Ortes Putbus.

Założenie placu Putbus, 1810 roku.

Tyle już postawiono wspaniałych pomników smutnym tryumfom wojny, że tu z prawdziwą rokoszą wzrok spoczywa na pamiątce użytecznej pracy i zbawiennęj myśli.

Ten potomek rycerskiej rodziny, co blisko pół wieku poświęcił na wykonanie spokojnego dzieła, ten cierpliwy mistrz, co jak drugi Oberlin wywołał kwitnące miasto na dzikiej ziemi, albo jak drugi Boromeusz stworzył na Bałtyckim morzu drugą *Isola Bella*, bez zaprzeczenia zasługuje na wspaniały pomnik.

VI.

H a m b u r g.

Z przyczyny rozpadnięcia się na sześć monarchij, dwadzieścia siedem księstw i cztery miasta wolne, przy swoich starożytnych instytucjach, Niemcy we wszystkich swych strefach zachowały tenże sam ruch polityczny umysłowy i całą żywotność, które w państwach podwładnych energicznemu systematowi centralizacyi, wpływają jedynie do serca ich stolicy. Germanija nie jest w Berlinie lub w Wiedniu, [tak jak Francya w Paryżu. Jeżeli Prussy, Austria i drugorzędne państwa jak Bawarya, Hannover, Saxonija, Wirtemberg, wywierają na sejm Niemiecki wpływ, jakiego im dozwala ich siła numeryczna; to ka-

źde z tych państw jest niemniej samo w sobie wszechwładnym, niezawisłym, małą Germaniją wśród wielkiego państwa Niemieckiego. Każde księstwo ma swoją oddzielną organizacyę. Każde księżątko ma swój dwór, swoich ministrów, generałów, a Altemburg i Rudolfstadt są takimiż stolicami jak Monachium lub Studgardt. Ztąd pochodzi ta rozmaitość władz administracyjnych, pojedynczych interesów i zwyczajów oddzielnych, we wszystkich tych stanach, które na sejmie Frankfurtskim są przedstawicielami jednego narodu i mówią jednym językiem. Rozmaitość położenia geograficznego i różność dogmatycznych wyznań, są przyczyną inną jeszcze pomiędzy niemi różnicy. Wesoły winiarz z nad Renu, wyhodowany pod umiarkowanym słońcem, zbierający soczyste grona w okolicach Rudeshejmu, nie może być podobnym do rolnika z północnych stref Brandeburgii, który w pocie czoła uprawia piaszczystą niwę pod mglistym niebem. Pobożny Bawarczyk, który klęcząc u stóp swojego spowiednika, zachowuje posty, szanuje klasztory, — nie może być podobnym do hardego Sasa, który trzymając w ręku Bibliję Lutra, odrzuca te wszystkie obrządki jako czcze przesady. Ze względu takowej różnolicości, studia nad Niemcami są bardzo zajmujące a zarazem i trudne. Wcale

ten nie widział Niemiec, kto odbył tylko wesołą przejażdżkę od Mannheim do Kolonii, nawet i ten nie może sobie coś podobnego powiedzieć, kto przeniknął aż do samego serca któregośkolwiek państwa. A więc zapytamy tedy któż je widział? Dwadzieścia już lat upływa jak przejeżdżam ten kraj w rozmaitych kierunkach; zatrzymywałem się po najgłówniejszych jego miastach i miałem zaszczyt poznać wielu ze znakomitych jego ludzi. Kiedy byłem młody, kiedy żywa wiara, śmiała wyobraźnia i uprzedzenia zastępowały miejsce zdrowego poglądu i przekonania, wówczas twierdziłem że znam Niemcy; później jeszcze raz je zwiedziłem,— i sprawiedliwość każe mi wyznać, iż nie jestem wcale pewny, czy schwyciłem choć kilka rysów rzeczywistych tego narodu.

Każde z tych drobnych państw, o które polityka Europejska mało się troszczy, i którego nazwa ukuta z twardych spółgłosek, przeraziłaby *Boileau*, jak te, na które się skarżył Ludwiko-
wi XIV; każde z nich pojedynczo, dla artysty, kronikarza, lub dla poety mogło-by być ciekawym przedmiotem studyj. Każde miasto ma jakąś wyłączną cechę, którą się chlubi w obec innych. Jedno posiada piękne pamiątki przeszłości, podania, które ze czcią religijną szanuje;

drugie szczyć się wymysłami nowożytnéj architektury; inne znowu naiwnie stroi się w malownicze okolice, jak jego księżniczki w swoje perły lub brylanty. Są i takie, które szczęśliwie łączą w sobie szlachetne pamiątki przeszłości z utworami tegoczesnemi, i poetyczne wdzięki pejzażu z wynalazkami przemysłu. W końcu znajdują się i takie, co w niedostatku darów losu i darów natury, słusznie się pyszną swemi naukowemi zakładami.

Tu i ówdzie rozrzucone po Niemczech Uniwersytety, dały rozgłosną sławę takim miastom, które we Francyi zaledwie są stolicą podprefektury. Wiekopomne dzieła zostały wypracowane w tych cichych zakątkach. Tysiące słuchaczy ze wszystkich krain Niemieckiego zwiąsku, zbiega się na sam rozgłos imienia profesora, który znakomicie wstawia jakieś prowincjonalne miasteczko. Na północnym krańcu Niemiec, w Królewcu, Kant utorował nową drogę filozofii. Tysiące uczniów otaczały w Getyndze mównicę Heeren'a i braci Grimm, tych dwóch niewyczerpanych źródeł filologii. Do Heidelbergu z najodleglejszych stron przybywano słuchać wykładu prawa Mittermajer'a. Kursa teologiczne w Halli zjednały temu miastu niepospolitą sławę. Wielki poeta Szyller, wykladał lekye historyi w ma-

leńkiem miasteczku Jena. Rückert był profesorem literatury przy uniwersytecie w Erlangen, a Uhland takimże w Tübingen. Do wzrostu tych wyższych zakładów naukowych przyczynia się głównie exystujące pomiędzy niemi współzawodnictwo, którego potężną dźwignią jest opinija publiczna, opieka książąt i uwzględnienie interesów materalnych. Jeżeli jaki uczony wykładem swoich lekcyj jako *Privat-docent* zwróci na siebie powszechną uwagę, każdy książę uważa to za zaszczyt gdy może go wezwać do swego uniwersytetu, a miasto ma sobie za największe szczęście widzieć go w rzędzie swoich professorów; a gdy do jego stałej pensyi dołączają jeszcze opłatę od uczniów, słuchających jego kursu, wówczas nauka robi mu nie tylko imię, ale nawet i majątek.

Pamiętam, jak kiedyś będąc na świetnym zgromadzeniu u profesora prawa w Gettyndze, Hugo, gdym podziwiał i chwalił śliczne, wygodne i ozdobne urządzenie jego domu, on mi dobrodusznie odpowiedział śmiejąc się: „Ten dom jest materalnym pomnikiem mojego professorstwa. Pierwsze jego piętro zbudowałem z Pandektów, drugie z Instytucyj Justinijana, a ukończyłem pokrycie z moich treściwych zarysów nad ogółem prawa Rzymskiego.»

Poeta łaciński inaczej rozumiał swoje *Exegi monumentum*. Lecz w naszej kochanej epoce pozytywnego rachunku, niejednen z dziedziców wolałby zamiast *aere perennius* od Horacego, mieć trzypiętrowy murowany dom profesora z Getyngi.

We Francyi, skoro tylko młodzieniec uczuje w sobie instykt literacki, ułoży pięć aktów klassycznej tragedyi, lub wydrukuje jakąś elegiję w dzienniku swego Departamentu, natychmiast mu się zdaje, że granice rodzinnj prowincyi dla niego są za ciasne, jój atmosfera dusząca. Rozpościera swoje skrzydła i leci do Paryża. Lecz ileż już takich skrzydeł Ikara stopniało! A nawet z pomiędzy tych, którym jakoś się udało zaspokoić swoją próżność, iluż szczerze żałuje później domowego ustronia, i głosu rodzinnej dzwonnicy?

W Niemczech pisarze nie są jeszcze oczarowani obietnicami wielkich miast, tak często zawodnemi. Są poeci których ulubiony głos zdaleka się poznaje, i którzy śpiewają w swojej wiosce jak skowronek na swoim polu. *Novalis*, na równinach *Weissenfels'u* napisał swoje *Hymny do nocy*; a *Hebel* swoje *allemanische Gedichte*, te czarujące idylle, na łąkach Badenkich. Energeticzny talent hrabiego *Auersperg* (*Anastasius Grün*)

rozwinął się w zaciszu ustronnego zamku na krańcu Austrii. Zład zapewne i owa świeżość wrażeń, naiwne marzenia, żywe i proste uczucia natury, które cechują poezję liryczną Niemców. Można, nie przeczę, także własności poetyczne zachować w sobie czas jakiś w duszącej atmosferze miasta; lecz one się nie odświeżają, nie ozywiają, jak tylko na czystym powietrzu, w wiejskim zaciszu, na swobodnym pól przestworzu.

Inne też naukowe prace stanowiące epokę w Germanii, wcale nie pochodzą z Berlina lub z Wiednia. Opitz, ten Malherbe poezji germańskiej, mieszkał w Szlązku w majątności Liegnitz. Z Hanowerskiego miasteczka o 12,000 ludności, z uczonój Gettyngi wionął pierwszy duch nowój poezji germańskiej przez Bürger'a i Haeltly. Nieporównany Jean-Paul większą część swoich utworów napisał w Bayreuth; H. Schlegel, przyjaciel pani Staël, zapalił w Bonn gregoryański ogień swojej krytyki—i każdemu wiadomo, że Wieland, Herder, Goethe, z pięknego książęcego miasteczka Wejmaru, uczynili literacką metropoliję w Niemczech.

Trzeba przyznać, że pisarze w Niemczech po małych miasteczkach nawet znajdują takie zasoby, które niebardzo się znajdują w najbogatszych departamentach Francyi. Niemcy liczą u siebie

dwadzieścia dwa miasta w których są uniwersytety, w każdym z nich znajdują się bogate biblioteki, zbiory naukowe i znakomite księgarnie. Większa część innych miast posiada gimnazye, albo przynajmniej owe praktyczne i pożyteczne szkoły, zwane *Realschule*, księgarzy i wydawców, owe białe kruki, *rara avis* we Francyi. Księgarnie niemieckie niesłychanie wpływają na rozszerzenie wiedzy w kraju. Wszystkie książki wydawane w Niemczech przychodzą do wielkiego rezerwuaru w Lipsku i ztamtąd rozsyłają się do każdego okręgu Niemiec. Większa część francuzkich księgarzy traci majątek na sprowadzanie nowości, które najczęściej leżą nietykane w magazynie. Księgarz niemiecki wcale takim wypadkom nie podlega. On bez obawy może ozdabiać szyby swoje, dziełami które mu przysyłają komissowo. Jeżeli je sprzeda, wówczas obowiązany zapłacić za nie wydawcy; w przeciwnym razie powinien tylko zwrócić nierozcznięte i czyste exemplarze. Tym sposobem książki nieraz powracają do Lipska ze smutnym imieniem *krebsen* (raki) i corocznie na Jarmarku wielkonocnym, wydawcy przybywają do księgarni i załatwiają rachunki sprzedanych i powróconych exemplarzy. Dziwiono się nadzwyczajnej propagacyi przedruków belgijskich, wprowadzie da-

leko mniej poprawnych a czasem tyleż kosztownych co i paryżkie wydania. Powodzenie takowe wydawcy bruxelscy zawdzięczają właśnie przyjęciu systematu *komissyjnego*, gdy tymczasem paryżcy wcale w takowy nie wierzą.

Dla określenia choć po krótkce téj różnaitości Państw Niemieckich, potrzeba byłoby wielkich i grubych tomów jakie piszą o sobie sami Niemcy; co do mnie, wcale nie wiem jakim sposobem przyszło mi napisać te kilka wierszy. Lecz oto jestem na brzegu Elby, oddalony od miast monarchicznych i uniwersytetów, oczekując statku, który mnie do Helgoland ma zawieźć. Do czego więc ten ustęp literacki? Teraz chciałbym już wrócić do swéj własnej materyi i mówić o moim odjeździe; szukam tylko stosownego przejścia. A jakże to trudno dla piszącego zejść znowu na własną drogę! Suche porosty, za które strwożony pływacz napróżno się chwyta, by czém prędzej dostać się do brzegu! błędne ogniki dla zbłąkanego wędrowca, ruchliwsze od owych sznurów łyeczanych zarzucanych przez Indyan ze skały na skałę, dla przebycia wzburzonych potoków! Tyle już mamy dykcyonarzy dla synonimów, rymów i Bóg wie nie czego; któż nam kiedy ułoży choć jeden

dykeyonarz przejść, tak nieodzowny dla unoszących się i zapominających się pisarzy.

W obawie abym za długo nie czekał na wynalezienie stosownego przejścia, i ażeby czasami wynalezione nie wyglądało jak pożyczona łata do dziurawej sukni, wolę, długo nieszukając, jednem uderzeniem przeciąć ten węzeł gordyjski i przyznać się, że nie mam środka. Chciałem mówić o Hamburgu, i rzuciwszy pobieżnie okiem na inne większe Niemieckie miasta, powtórzyć, że na mocy niejednokrotnego doświadczenia, ostatnie, pomiędzy wszystkiemi wydaje mi się najprzyjemniejszém do zamieszkania. Co za myśl oryginalna! powiedzą uczeni i artyści, słysząc takowe zdanie. Czyż jest w Hamburgu taki ruch literacki jak w Berlinie albo w Lipsku? czyż są tam galerye Drezdeńskie, muzea Monachium? Dziwna myśl wykrzykną dziedzice niemieckich *Rittersgüter*. Gdzież ten wybor towarzystwa arystokratycznego innych królewskich miast Germanii?» Nie, Hamburg wcale nie ma katedry historii i filozofii, bo nie ma uniwersytetu i akademii. Tameczni burmistrze wcale nie myśleli zbierać w pałacach arcydzieł szkoły włoskiej lub niemieckiej jak Sascy królowie albo Ludwik Bawarski. Ich demokratyczny Senat wcale nie podobny do Rzymskiego, albo

do majestatycznego zgromadzenia królów; na jego sessjach nie lśnią złociste hafty; na uroczystościach nie sami bywają herbowni, a w salonach nie spotkać przeiękłych dumą i śmieszoną próżnością spróchniałych niemieckich baronów.

Hamburg jest państwem republikańskim, bardzo szczupłego rozmiaru; jest to tylko miasto handlowe, lecz jego instytucje zapewniają człowiekowi poczciwych dążeń, największą swobodę; handel nadaje mu rozmaitość barw i ożywienie, które nie znudzą nigdy bawiącego tam gościa. Handel ten wcale się nie ogranicza na kilku worach kawy lub bawełny. Jest on czynny i przedsiębiorczy, a przedewszystkiem nauka przewodniczy jego obrótom. Hamburg ma bibliotekę od 200,000 tomów; w salach Giełdy znajduje się druga, więcej specjalna, zebrana nakładem negocyantów, która corocznie się powiększa i dziś może być uważaną jako jeden ze znakomitszych w Europie zbiorów dzieł pod względem Statystyki i Geografii. Taż sama Giełda za pomocą kolei żelaznych i parostatków otrzymuje dzienniki całego świata. Każdy cudzoziemiec ma prawo wchodzić bezpłatnie do jej galerij literackich i znajdzie tam, począwszy od Strabona aż do Humboldta, wszystkie dzieła geo-

graficzne. Tam podróżny szczęśliwszym jest od Odina, któremu dwa kruki codziennie przylatywały komunikować nowiny świata, gdyż w sali dzienników co rana znajdzie wszystko co go obchodzić może, i czytać jeśli mu się podoba Gazetę Petersburgską, przegląd z Bombay lub też złoto-nośny dziennik z San-Francisco. Wyliczając zasoby intelektualne w Hamburgu, trudno pominąć bogate księgarnie, które można za najznakomitsze w Niemczech uważać. (1)

Kilka także znakomitych talentów promieniem sławy literackiej oświeciły handlową tarczę Hamburga. Lessing stworzył tam swoją Dramaturgię; Klopstock mieszkał tam czas jakiś i pisał tam Heine. Boehl de Fabre wydał tam bardzo szacowny zbiór starodawnych poezyj Hiszpańskich (2); inny uczony z tegoż miasta, doktor Julius, w swoich tłumaczeniach Ticknor'a zamieścił bardzo ciekawe studia nad literaturą Hiszpańską; a P. Lappenberg patrycyusz hamburski zajmuje zaszczytne miejsce między współczesnymi historykami niemieckimi.

Na koniec, wiem i to jeszcze, że można przy-

(1) Pomiędzy innemi, księgarnie Perthes'a, Schubert'a i Campe.

(2) Floresta de las rimas antiguas.

być do tego starożytnego Hanzeatyckiego miasta z zamiarem przepędzenia kilku dni, a zabawiwszy kilka tygodni a nawet miesięcy, z żalem wyjeżdżać.

Na czemże ten powab zależy, spróbujmy powiedzieć.

Przypuśćmy, że w piękny letni dzień, podróżny przybywa do miasta, zatrzymuje się w hotelu nazwanym *Victoria* i szczęśliwym trafem znajduje jeszcze wolny pokój z oknami na Alster.

Pokoik taki należy do idealnych przyjemności podróżującego na Północy. Przed nami rozwijają się jak dwa jeziora szwajcarskie, dwie gałęzie téj rzeki Holsztyńskiej, zamknięte z trzech stron w ramki malowniczych domów, pięknych willi i ogrodów, i uciekającej z widnokregu po ogromnej zielonej równinie. Bez wątpienia jest to jeden z najwspanialszych obrazów, jakie zdarza się napotkać: dzieło człowieka obok najpyszniejszego dzieła przyrody; wdzięczna rzeczywistość obok poetycznego marzenia; gwar miasta i spokój wiejskiego ustronia. Całość tego obrazu zmienia się kilka razy na dzień. Jezioro, zwierciadło nieba, jak twarz człowieka to drugie zwierciadło naszych wrażeń, ma swoje jasne i ponure godziny. Wiatry Północy to są

jego niedole, chmury — to jego troski, a światło czystej jutrzeńki — świetne i pogodne myśli? Widok otaczającego świata jest jeszcze bardziej zmienny. Z okien pierwszego lub drugiego piętra hotelu *Victoria*, po kilka razy na dzień można mieć widowisko, jakiego żadna Opera nie jest w stanie zastąpić ani różnaitością, ani życiem.

Zrana otwierasz swoje sztory i promyk słońca wchodzi z uśmiechem, by cię jak przyjaciel powitać. Pracowite miasto jeszcze w uśpieniu. Magazyny i warsztaty jeszcze pozamykane. Tylko mleczarka chodzi od domu do domu i wypróżnia swoje brązowe wiadra. Ze wszech stron cisza największa. Świeży wietrzyk przynosi ci aromat ogrodów z nad Alster i z łąk kwiecistych. Jezioro się mieni kolorami tęczy przy łagodnym blasku wschodzącego słońca, i łabędzie kołyszą się na jego lazurowych falach. Ptaki te nawet są tam szczęśliwe. Na utrzymanie bowiem roczne tych łabedzi, poczciwa jakaś wdowina zapisała pewną sumę.

Powoli mrowisko komercyjne poruszać się zaczyna. Omnibusy i wózki ręczne cisną się po ulicach. Kommissanci spieszą do swoich klientów, rzemieślnicy do swoich warsztatów a niecierpliwi armatorowie przechadzają się po nadbrzeżu,

oczekując z niepokojem na zapowiedziane przybycie ich statków. Młode kwieciarki w króciutkich spódniczkach, w ciasnych gorsetach, w szerokich kapeluszach podobnych do koszyków słomianych, napastują poważnych bankierów, gniewających się, że im przerywają głębokie zamyslenie nad jakimś wyrachowaniem, a potem ofiarują swoje skromne z pierwiosnków bukiety biednemu młodzieńcowi, który im przynajmniej dziękuje uśmiechem.

W południe, pawilon Alster zapełnia się różnego rodzaju ludźmi, którzy tam zatrzymują się po ranniej przechadzce, zakąsują, piją grog, i wyszukują po świeżo-przywiezionych dziennikach nowin ze swego kraju: kto z Francyi, kto ze Szwecyi, Anglii lub Ameryki. W kawiarni téj znaleźć można również gazety ze wszystkich stron świata; a jezioro spokojnie przypatruje się temu tłumowi, jak filozof co pośród zgiełku i bałasu ludu zachowuje powagę swojej mysli.

Kortyna ciągle otwarta, scena na którą patrzym, nieprzestaje być zajęta; nie widzimy żadnego reżyssera, nie słyszymy żadnej oznaki ruchu teatralnego; wieczorem dopiero następuje zmiana dekoracyi. Już nie postrzegamy tego krzątającego się tłumu, co spieszy do pracy lub

zysku po aleach Alsteru, albo po szerokiej *Jungfernstieg*. Teraz oficjaliści handlowych domów, ukończywszy dzienną czynność, jak więźnie przemysłu, z radością przybywają odetchnąć świeżem powietrzem. Ojcowie familij przechadzają się ze swemi dziećmi. Dalej, złota młodzież co na tę godzinę parady w *Alameda* hamburskiem ścisnęła szyję ozdobną krawatką, okryła rękę żółtą rękawiczką; przed nimi kobiety, które na téj wystawie pokazują, że i im nie obce ostatnie wyroki modnych żurnalów. Pawilon Alster niemoże w sobie pomieścić całego tego *beau monde*; bufety wyczerpują ostatnie zapasy lodów i sorbetów; orkestra raz po raz daje słyszeć piękne spiewy Mozarta albo Rossiniego; a jezioro pośród tych melodyj muzycznych, pośród śmiechów i wrzawy, usypia przy blasku gwiazd, jak dusza która usypia pod okiem swego Anioła-stróża.

Ta przechadzka nad brzegiem Alster, ze wszystkimi przytykającemi ulicami, jest uprzywilejowaną częścią miasta wysokiego *fashion'u* są to bulwary, Broadway, Regent-Street, Newski Prospekt, Hamburga. Było już tam bardzo pięknie przed piętnastu laty. Zniszczone straszną katastrofą, miejsce to powstało ze swych ruin jeszcze piękniejsze. Wiemy że 1842 r. stra-

sżliwy pożar zniszczył trzecią część Hamburga. Ogień trwał przez cztery dni i jeszcze we dwa miesiące potem widziano płomie wydobywające się z pod gruzów. Towarzystwa ubezpieczeń zamknąć się musiały, gdy przyszło zapłacić miliony; najświetniejsze zakłady poupadały i tysiące familij przyszły do ostatniej nędzy. Jednakże dzięki troskliwej opiece rządu, ze zgodą braterską obywateli i dobroczynnym ze wszech stron wsparciem, największe klęski i nieszczęścia znalazły ulgę. Potem oczyszczono gruzy i odbudowano zniszczone kwartały podług nowego planu. Kiedyś, około dawniej Giełdy Hamburgskiej był labirynt ciasnych, błotnistych i błędnych uliczek; ja sam nieraz żałowałem iż nie miałem tam z sobą nitki Aryadny. Pożar 1842 r. zniszczył je zupełnie i na ich miejscu stanęły regularne, proste ulice; większa część wspaniałych domów na Neuer-Wall, Jungfernstieg i na przyległych ulicach także pięknie się odbudowała. Hamburg dziś jest żywym obrazem bajecznego Fenixa.

Drugą pięknością Hamburga jest otaczająca prześliczna go prawdziwie wiejska zieloność. Spokojnem dziś wydaje się nam to miasto bogatych bankierów i właścicieli okrętów, gdy przedtem długie lata stało ono ciągle pod bronią.

Połowa jego nazwiska świadczy o wojenném przeznaczeniu.

Około 780 r. na tém miejscu, gdzie dziś wznoszą się bogate handlowe domy, stała mała osada rybaków Ham. W początkach IX wieku, Karol W. który tak daleko sięgał wojenném okiem i powodowany gorliwością chrześcijanina, kazał przy tej wiosce wybudować fortecę (Burg) i założył tam arcybiskupstwo, z kąd odważny Ś. Ansgary poniósł naukę Ewangelii między ludy Skandynawii, obudzając tém wściekłość pogan północnych. Forteca przeznaczona ku obronie brzegów Elby, przeciw napadóm Wendów i rozbojom Duńczyków, nie miała dosyć mocy ażeby ostać się przeciw zawziętości tych band wojowniczych. W 845 r. Wikingi Duńscy napadli na tę spokojną kolonię, zwalili okopy, zburzyli nowy kościół założony przez Karola W. i powiększony przez Ludwika Dobrodusznego, i zniszczyli do szczętu przybytek, z którego światło Ewangelii miało zabłysnąć na krańcach Północy.

Wkrótce jednak złupione miasto powstało ze zwalisk. Położenie jego nad Elbą zapewniało mu znaczenie handlowe, które co roku wzrastało. Lecz to obudzało zawiść i chciwość jego sąsiadów, przeciw którym należało wystą-

pić zbrojno ażeby niezależność utrzymać. Przyłączenie się jego do związku Hanzy, pociągnęło za sobą wydatki na utrzymanie siły morskiej. Ściganie flibustyerów po Bałtyckim i Niemiec-kiem morzu, wywołało ich wzajemne napady. Jak wszystkie średniowieczne miasta, tak i Hamburg narażony na nieustanne wojny i współzawodnictwa sąsiadów, musiał się ogrodzić uzbrojonym murem i opasać ogromnemi wałami.

Mury te istniały jeszcze w epoce, kiedy owe stare miasto Karola W., dawne wolne miasto Hanzy, jeduém pociągnięciem pióra wcielone zostało do Cesarstwa, z tytułem stolicy Departamentu Ujścia-Elby.

W 1815 r. poważny i mądry Hamburg stanowczo się zdecydował zniszczyć wszystkie starodawne swoje mury i okopy wojenne, a nawet wzniesione później przez Francuzów. Przez to objawiła się stanowcza jego dążność unikania na przyszłość wszelkich wojen i zachowania we wszystkich zajściach Europejskich ścisłej neutralności; i przez to jeszcze pokazało się, ile mu przybyło powabów i wdzięku przez zwalenie ponurych okopów. Na splantowanych wałach, poźwirowano ścieżki jak w ogrodach, wydarniowano brzegi, zasadzono przesliczne kwiaty, kląby drzew, porobiono upstrzone jak ko-

bierce gazony, tak, że dzisiaj miasto objęte jest zachwycającym angielskim ogrodem, gdzie na każdym kroku z obmyśloną ozdobą, z przeslicznym a coraz nowym widokiem spotkać się możesz. Taką samą metamorfozę z wielką trafnością wykonano w Lipsku i we Frankfurcie, lecz z mniejszą niż tutaj okazałością.

Jeśli z tej powabnej ciszy przejdziemy do środka miasta, do ogniska wszystkich interesów i ogólnego ruchu, jakaż rażąca sprzeczność! Tam na zieleniejących wzgórzach dawnych okopów panuje poetyczna cisza; tu zaś, wzdłuż żyjących arteryj Elby i Alster, na krawędziach kanałów, gdzie wyładowują się rozmaite produkty, ruch i czynność nieustanna jak w poruszonem mrowisku. Tuż obok w porcie, na prawym brzegu rzeki, gdzie przyływ morza codzien największe wprowadza okręta, jakież las masztów i żagli, co za mnogość i różnorodność statków, jakież widok tysiąca wozów rozmaitego kształtu, mnóstwa kupców, tragarzy, stręczycieli i majtków rozmaitych narodów.

Hamburg, jak wiadomo, jest pierwszym handlowem miastem na Północy, i na mniejszą skalę, również jak Liverpool i New-York, miastem całego świata.

Port hamburgski w najobszerniejszym znacze-

niu jest portem wolnym. Żaden systemat zakazowy, żadne komory celne nie ograniczają jego obrotów handlowych, nie tamują jego ruchu.

Wszelkie przybywające tam okręta płacą tylko 2 procenta od całego ładunku i żadnych już więcej ze skarbem rozrachunków nie mają. Miasto Hamburg wszystkie cztery strony świata obejmuje w sieć swoich handlowych operacyj. Do jego portu zawijają wszystkie jakie są tylko flagi, mówi ono wszystkimi językami i przyjmuje wszystkie monety. Pomiedzy plikami biletów bankowych i banknotów, pośród rubli, talarów, franków, dolarów, dublonów, piastrow i dukatów, które obracają się w ręku jego negocyantów, jedna jest tylko moneta, o której nikt nie może powiedzieć że ją widział: jest to ta, której i same miasto używa we wszystkich swoich rachunkach i kontraktach, *marc-banco* i *marc-courant*, a które wcale nie istnieją. Niegdyś Hollendrzy stawili wielkie summy na *tulipany*, jakich żaden ogrodnik nie mógł doczekać na swoich kłobach, dziś Hamburg oblicza codziennie swoje obróty na urojone pieniądze, których dotąd żadna nie wybijała mennica.

Obrotna Hamburgska rzeczpospolita wcale się

nie ubiega o próżny zaszczyt wybijania własnej monety: zostawuje innym państwom ten kosztowny przywilej, a sama gotowa z uśmiechem słuchać wszelkich nieporozumień przy robionych z nią obrachunkach. «Mój panie, powiada podróżny do swojego oberżysty, winienem ci tyle to marc-banco, lecz niepodobna mi dostać ani jednej sztuki takowej monety.—Panie, odpowiada bardzo grzecznie oberżysta,—tyle marc-banko, stanowi tyle ludorów lub talarów, gwinei lub rubli.» I rachunek tym sposobem, stosownie do narodowości cudzoziemca, prędko się ułatwia.

Koleje żelazne, które obecnie połączyły Hamburg z całym lądem stałym Europy, parostatki i żaglowe okręta, które go łączą z Angliją i Ameryką, z brzegami Chin i Indyj, przywożą w jego mury corocznie do dwóchset tysięcy podróżnych, nielicząc w to marynarzy należących do osady statków. Proszę tedy sobie wyobrazić rozmaitość fizyognomij tych przybyszów do miasta, liczącego zaledwie sto ośmdziesiąt tysięcy mieszkańców, i ten ruch jaki mu nadają.

Stała jego ludność składa się także z rozmaitych pierwiastków: na pierwszym planie są konsulowie i pełnomocnicy pierwszo-rzędnych państw świata, pocztowy zarząd Pruss, Hano-

weru, Danii; milicya z dwóch tysięcy ludzi, którą Hamburg jako członek Związku Niemieckiego utrzymywać musi; dalej reprezentanci handlowi wszystkich krajów, obywatele, których nazwiska ruskie lub hiszpańskie świadczą o dalekiem pochodzeniu, wiele znakomitych rodzin francuzkich, potomków tych, którzy porzucili kraj w skutek Nantyjskiego Edyktu, lub też w 1791 roku. O ile Hamburg nie gardzi żadną monetą, o tyle też wyrozumiałym jest dla wszystkich wyznań, i każde używa tam największej swobody.

Nie zawsze jednak rzeczpospolita Hamburgska zachowywała taką chwalebną tolerancję. Starodawne katolickie miasto Karola W., po reformacyi bardzo nieprzyjawnem było dla katolików. W średnich wiekach panował w Hamburgu największy wstręt ku żydom. Surowsze jeszcze w tym względzie od świętego miasta Rzymu, nie tylko nie wyznaczyło im osobnego kwartału na mieszkanie, lecz nawet najkrótszy pobyt w mieście był im wzbroniony. Ale kiedyś tam, dawno, pewnego dnia zjawił się w Hamburgu człowiek dziwnej powierzchowności, z brodą nadzwyczaj długą, w sukni jakiej tam dotąd nigdy niewidziano. Człowiek ten, którego postać obudziła ciekawość całego

miasta, prosił o wskazanie mu pomieszkania doktora *Paula* najznakomitszego teologa w Hamburgu, i domagał się pozwolenia na publiczną z nim dysputę o zasadach Biblii. Był to bohater najpopularniejszych podań średniowiecznych, typ pokolenia Izraela, skazany na wieczne poświęcenie tułactwo, od owej godziny na Kalwaryi aż do skończenia świata — słowem, był to Ahasverus. Teza którą utrzymywał w obec swego przeciwnika przed licznem zgromadzeniem, była tak zawiłą i długą, że dla dalszego jej rozhioru pozwolono mu przenocować w Hamburgu. Nazajutrz poszedł on dalej do Szlezwiku. Lecz wyrok proskrypcyjny dla Żydów został naruszony, wyłom zrobiony. Niedługo potem przybył jakiś żyd portugalski, z pokorą prosząc o pozwolenie zabawienia czas jakiś w Hamburgu, dla wymiany, jak powiadał, na towary kilku sztab złota, które jakby od niechcienia pokazał z pod płaszcza. Z kolei zjawili się i inni pod rozmaitemi pozorami. Od wyjątkowych ustępstw doszło nareszcie do tego, że żydzi na dobre osiedli w miejscu, gdzie im tak długo najkrótszy pobyt srodze był wzbraniany. Dzisiaj liczą ich w Hamburgu do dziesięciu tysięcy; kilku nawet najznakomitszych negocyantów są tego wyznania, i najbogatszy ta-

meczny bankier, P. Heine, jest żydem. Nie będzie zbyt uczynnym dodać tu, że P. Salomon Heine zmarły przed kilką laty, przez nieograniczoną swoją miłość bliźniego i dobroczynność, zostawił po sobie niewygasłą pamięć i powszechnie szanowane imię. Przez całe życie swoje nie odmówił nigdy nikomu wsparcia bez względu na wyznanie, i hojnie zapomagał dobroczynne chrześcijańskie zakłady. Syn jego, z ogromnym spadkiem odziedziczył razem i szlachetne uczucia zmarłego, dając już niejedne dowody szlachetnej wspaniałości.

Dochodami swojego terytorium, zawierającego około dziesięciu mil kwadratowych, opłatami od wchodzących towarów, składkami lub kontrybucjami swoich obywateli, mała Rzeczpospolita Hamburgska wykonała takie dzieła, jakimi by nie jedno wielkie państwo pochlubić się mogło. Przysnąć się muszę, że wszystkie Rzeczypospolite, niewyłączając fantastycznej Ateńskiej i purytańskiej Sparty, nader mi się nie podobają. I Hamburg nie wolny jest także od złego pierwiastku, który się burzy w jego wnętrzu i brudnych mętów wydobywających się na wierzch przy podmuchach rewolucyjnych. I tam odbywa się także walka, wieczna walka utopii z rozumem, istnieje gwałtowna zawziętość

przeciw zasadom porządku i konserwatyzmu, przekorne przeciwieństwo gminu z patrycyutem. «Od czasów zabicia Abła przez Kaina, powiada poczciwy Ducis, niczemu już dziwić się nie należy». Dziś może bardziej niż kiedykolwiek, na każdym miejscu przypomina się nam ta filozoficzna sentencya.

Za pomocą wszakże niektórych ustępstw, Hamburgcy zapobiegli lub też całkiem przytłumili grożące wybuchy opozycyi, i dzisiaj niepodobna, zdaje mi się, człowiekowi wykształconemu nie podziwiać rozumnej administracyi tego miasta. Jest to prawdziwie rząd familijny, surowy bez przesady, silny bez cierpkości, uwzględniający wszystkie potrzeby materyalne i umysłowe biednej klasy, najczynniejszy w interesie dotyczącym ogółu. Policya jego, której zręczność zyskała powszechnie uznanie, czuwa niewidzialna i działa najciszej. Polityczne inkwizycye wcale do niej nie należą: i kto tylko nie uwłącza przepisom moralności, ani też prawu, najswobodniej może bawić w Hamburgu i przez całe życie nie mieć najmniejszej styczności z policyą.

Dla pokrycia nadzwyczajnych wydatków, spowodowanych takimi wypadkami jak np. pożar w 1842 roku, miasto Hamburg musiało zaciągać

pożyczki, straszliwie obciążające jego budżet; i z przykrością muszę powiedzieć, że wielka część jego długów pochodzi z epoki wcielenia jego terytorium do Francji w 1810 roku, i powtórnego wejścia wojsk naszych do miasta w 1813. Lecz z osiemdziesięciu pięciu miast, które kiedyś składały związek Hanzeatycki, Hamburg pozostał najbogatszym i najpotężniejszym. Jedne z nich całkiem zaginęły w ruinach rewolucyj społecznych i handlowych; inne zaledwie dziś mają ślady dawniejszej zamożności—gdy tymczasem Hamburg z każdym wiekiem wzrasta i zamożnieje.

Pomyślność i dobry byt mieszkańców usprawiedliwia uczciwe i pracowite to miasto swoim rozumem i filantropijnemi cnotami. Niemasz drugiej stolicy w Europie, któraby stosunkowo do swojej ludności, posiadała tyle domów przytułku dla biednych i nieszczęśliwych. Niektóre z tych zakładów fundowane były przez Rzeczpospolitą, lecz większa część powstała z dobrowolnych ofiar. P. Lappenberg pisząc o Hamburgu, cały tom in-8^{vo} poświęcił na samą nomenklaturę dotacyj, porobionych w różnych epokach przez obywateli miasta na korzyść rozmaitych dobroczynnych zakładów. Jest to złota księga litociwego mieszczaństwa Hamburga, uszlachetniająca

księga, trwalsza i zacniejsza od złotej księgi pysznej Wenecyi.

Niedawnemi czasy, bogaty jeden bankier Henryk Schroeder piękną do niej dorzucił kartę. Naokoło widział on rozmaite zakłady, dla starców i sierot, dla ślepych, głucho-niemych, dla pokutujących kobiet, dla poprawy młodych więźniów, lecz dojrzał, że jest jeszcze klasa ludzi, o których filantropija dotąd nie pomyślała, a którzy jednak godni są szczeręgo współczucia. Do klasy téj należą owi poczciwi i zacni ludzie, którzy posiadając w spadku rodzicielskim zyskowny przemysł i wpadli w nędzę przez nieprzewidziane wypadki lub klęski, którym zapobiedz i zaradzić niebyli w stanie, kupcy zrujnowani przez bankructwa, ludzie serca i rozumu, których choroby pozbawiły sił i którzy pociągają za sobą w nędzę całą rodzinę. Tacy nieszczęśliwi tém bardziej godni wspaniałomyślnéj pomocy, że w obawie poniżenia nigdy nie wyciągną ręki do tych, którzy ich znali w lepszym położeniu, że przez szlachetną dumę muszą ukrywać głębokie cierpienia i niekiedy całkiem upadają, okrywając swoje nędzę szczątkami dawnego dobrego bytu.

Takim właśnie nieszczęśliwym, P. Schroeder chciał podać wspaniałomyślną rękę pomocy. Na-

szerokim placu, który mu Senat Hamburga ustąpił, o ćwierć mili za miastem wznosi się poważny i okazały gmach w starożytnym niemieckim stylu, z ogromną główną połącią zawierającą w srodku kaplicę z dużemi skrzydłami po bokach; śliczna murawa rozściela się na przedzie, a z drugiej strony obszerny ciągnie się ogrod. Piędziesiąt familij znajduje tam staranne i wygodne utrzymanie. Każda z nich, oprócz innych potrzeb, otrzymuje roczną pensyę od pięciuset do sześciuset marc-banko (1000 do 1200 franków). Następcy założyciela mają prawo lokować tam połowę potrzebujących wsparcia, drugą rozporządza senat. Każdy z utrzymujących się w tym wspaniałomyślnym zakładzie, używa wszelkiej swobody i mieszka tam jak we własnym domu. Mężczyźni mogą poświęcać się naukom lub nawet jakiemuś zyskownemu zajęciu; dzieci mogą uczęszczać do szkół miejskich. Szlachetny P. Schroeder tworząc swój zakład, wcale nie miał na myśli robić zeń więzienia filantropii angielskiej, o-wych barbarzyńskich *workhouse*, ale owszem chciał dać prawdziwe schronienie nieszczęśliwym rozbitkom w burzach życia, i w tym celu usiłował o ile możności ozdobić i uprzyjemnić w tym porcie wytchnienia, uczucie tego srogiego bólu, o którym mówi Dante:

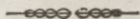
Nessun maggior dolore
 Che ricordarse del tempo felice
 Nella miseria. (*)

Na wykonanie tego szlachetnego przedsięwzięcia, wyłożył P. Schroeder milion marc-banko (dwa miliony franków).

Dobry jakiś człowieczek, którego prosiłem o wskazanie mi drogi do tego zakładu i który był tyle grzecznym, że dla zaprowadzenia mię tam zhoczył ze swoją, opowiadał mi idąc: „że P. Schroeder posiadał już dwanaście milionów marc-banko i miał dziesięcioro dzieci. Jednego razu opowiedział im zamiary swoje w następnym słowach: „Jeżeli umrę, żona moja otrzyma dwa miliony, a każdy z was po milionie. Lecz jeżeli pożyję tyle że jeszcze uzbieram milion, takowy ofiaruję Bogu.”—I rzeczywiście zebrał jeszcze milion i wznosił ten oto zakład, który pan idziesz oglądać.

Iluż ludzi, pomyślałem sobie powracając z oględzin, dalecy są od tak świątobliwej myśli, gdy starają się li tylko o powiększenie własnego majątku! Lecz za ten trzynasty milion, sądzę że imię P. Schroedera na zawsze szanowanym błogostawionem będzie.

(*) *Piekło* pieśń X. „Niemasz większego bolu, jak przypomnienie czasów szczęśliwych w niedoli.”



VII.

Ujście Elby.

Elba wcale nie jest taką dręczoną rzeką jak Dunaj, który od czasów Trajana aż do Omera Paszy, widział na swoich brzegach taką masę różnorodnych legionów, i staje się przedmiotem protokołów dyplomatycznych, jak tylko przestaje być areną walczących. Nie jest też tak strojną elegantką jak Ren, który co lata używa wszelkiej kokieterii dla przypodobania się swoim pięknym gościom, odwiedzającym go tłumnie i od Szaffhuzy aż do Kolonii przybrawszy się w brylantowe wodospady lub zębiaste korony nadbrzeżnych pałaców i winogronowe girlandy, wita romantyczne *lady* i sentymentalne *fräulein*. Elba jest to poważny i silny rzemieślnik, który jeden

ma tylko cel—sumienne wykonanie swojej pracy. Źródła jęj w majątności Kynast leżą 1420 metrów nad powierzchnią morza; lecz już o kilka mil dalej spada skromnie na 930 metrów. Pod Mielnikiem w Czechach, po złączeniu się z Mołdawą, zaczyna być spławną. Ztamtąd płynie przez Drezno, Torgau, Magdeburg i wzrastając na każdym kroku, przyjmuje do swego koryta, jak król pod swoje znamiona, kohortę z pięćdziesięciu rzek i trzechset ruczajów. W Hamburgu ukazuje się ona w całej swojej potędze: nosi na swęj powierzchni ogromne okręta i wspnianym ujściem wpada do Północnego morza.

Brzegi jęj nie są poszukiwane przez malarzy, ani okrzywane przez turystów, jak brzegi Renu, Dunaju, Neckaru lub wielu rzek Francyi. Jednak na granicy Czech i Saxonii są miejsca gdzie się dosyć napatrzeć nie można na jęj kapryśne zakręty, wpośród ocieniających ją pięknych gajów i między ponującemi nad nią malowniczymi wzgórzami.

Wspaniały jest na nią widok z Brühlowskiego tarasu w Dreźnie, gdzie na obszernęj równinie, srebrzyste jęj fale migocą śród złocistych kłosów nadbrzeżnego pola;—a także u stóp starożytnego miasta Meissen, pod warownią Magdeburga, i dalej za Hamburgiem przy ujściu do morza.

Prawda że od strony Hanoweru ściele się brzeg płaski i monotony; lecz za to na prawo, na ziemi Holsztyńskiej, ciągnie się nieprzerwany łańcuch najbardziej malowniczych pagórków, przerywanych kwiecistymi łąkami, widać mnóstwo letnich domków i ożywionych przemysłem wiosek.

Najprzód mamy Altonę, wolny port Holsztynu, miasto liczące przeszło 35000 ludności. Jeszcze w XV wieku była to mała kolonija rybacka; mieszkańcy jęj nie mieli nawet własnego kościoła, i na nabożeństwo chodzili do Hamburga. Reformacya przyczyniła się do bardzo szybkiego wzrostu tego miejsca. Nauka Lutra z zapalem przyjętą była w Hamburgu, owęj pięrwszej niegdys katolickięj metropolii na Północy. Zuieważani i prześladowani przez sektarzy Wittemberskich, katolicy, widząc niepodobienstwo utrzymania się tam dalej, szukali schronienia w Altonie, i dobrze przyjęci tam byli. Wiele innych familij katolickich, unikając srogiego prześladowania przybyło tam wkrótce z różnych krajów. Tym sposobem Altona przez ewangeliczną swoję łagodność przyszła niespodzianie do niepośledniego znaczenia. Jęj położenie geograficzne nad brzegami Elby, sprzyjało rozwojowi handlu; i Hamburg mógł się już obawiać młodego współzawodnika. Wielu nawet dziejopisów utrzymują,

że właśnie za namową Hamburgczyków, generał Stenbock, 1713 roku zdobywszy Altonę, w perzynę ją obrócił. Mniemanie to jednak niczem się nie potwierdza, gdyż generał Karola XII wcale nie potrzebował podsycenia swój nienawiści przeciwko tym co należeli do Danii, tém bardziej że król Duński najeżdżał prowincye Szwedzkie.

Cokolwiek było, dzisiaj bogaty Hamburg nie ma się czego obawiać Altony, gdyż najzupełniej przeważa nad nią. O pół mili tylko leżą te dwa miasta od siebie; nie dzielą je żadne wały i przekopy, a koryto Elby i szerokie szosy służy do ich połączenia. Po téj drodze toczą się bezustannie omnibusy, fijakry, i snują się tłumy idących. W niedzielę, ogród nad Elbą założony staraniem francuzkiego emigranta p. de *Rainville*, zapełnia się mieszkańcami Hamburga. Powiadają, że nazwisko Altony pochodzi od *Allzunah* (nadto blisko). Jeżeli takowa etymologija nie jest ściśle gramatyczną, to przynajmniej fakta ją usprawiedliwiają. Miasto duńskie jest bardzo blisko miasta republikańskiego. Niziutka krzewina nie rozrasta w cieniu gęstego orzecha. Altona jest właśnie tą krzewiną. Hamburg panuje nad nią i zabiera wszystkie soki komercyjne. Zrobił z niej swoje przedmieście i miejsce swojej przechadzki. Ci nawet, których ko-

nieczna potrzeba wzywa do Altony, wcale się tam nie zatrzymują; i jeśli mam prawdę powiedzieć, sam dobrze niewiem czy jest tam choć jeden przyzwoity hotel. Interessanci nawet wolą zatrzymać się w Hamburgu i ztamtąd komunikować się codzien z Altoną, przenosząc fatywę choćby kilkorazowej na dzień podróży, nad nudę pobytu w tej mieścinie.

Jednakowoż Altona liczy wiele handlowych domów, które bogactwem nie ustępują hamburskim;—posiada znakomite fabryki, i kilka pięknych ulic jak np. *Pallmail*, a od niewielu lat kolej żelazna wiąże ją z wojennym portem w Kiel.

Jeżeli wyliczanie przybywających do Altony okrętów i przywożonego na nich zboża znajdziecie monotonném, to zechciejcie zwrócić uwagę na kilka tam znajdujących się pamiątek literackich. Na końcu *Pallmail*, pod starými lipami kościoła Ottensen, spoczywają zwłoki dwóch poetów, *Klopstock'a* i *Schmidt'a*. Nie jeden z podróżujących wzniesie myśl do nieba, przypomniawszy pobożne natchnienia śpiewaka Messyady. Nie jeden też zapewne przypomni sobie że to jest ten sam Schmidt, który w jednej ze swoich elegii tak pięknie skreślił miotanie się ducha człowieka, kiedy wszędy szuka spokoju, którego znaleźć

nie może, kiedy czuje się obcym na tym świecie, nie podziela ani jego nienawiści, ani uniesień, albo gdy biegając po rozmaitych ścieżkach napróżno ścigał zwodniczy cień szczęścia, nim usłyszał tajemniczy głos w piersi:

Da, wo du nicht bis, ist das Glück (1).

O kilka mil ztamtąd leży Blankenes, co po duńsku znaczy *jaśniejący przylądek*. W samej rzeczy, jaśnieje otaczającymi go wkoło wesołymi wzgórzami, królewskim ogrodem arcy milionera Altony, pana Bauer, i pięknymi ceglano-domkami schodzącymi pośród gęstych drzew aż na brzegi morza.

Jest to ulubione miejsce mieszkańców Hamburga; i tam właśnie najczęściej widzieć można obraz towarzystwa niemieckiego w zadawalniającym używaniu podwójnej przyjemności, jaką mają i z pięknego położenia samego miejsca i z wygodnej tam oberży. Gdyż Niemcy, a zwłaszcza Niemcy Północni, obdarzeni są arcy ciekawym do badania dualizmem uczuć.— Każde niemieckie miasto, większe lub mniejsze, mieć musi gdziekolwiek, w najbardziej malowniczym swoim zakątku, na schyłku wzgórza lub nad wodą, tak

(1) Tam gdzie ty nie jesteś, tam jest szczęście.

zwany *Lustgarten*, to jest ogródek na czystém powietrzu, z drewnianými ławkami i stołami symetrycznie ustawionými, z cienistemi altankami, estradą dla orkiestry i traktyernią. Codziennie o pewnych godzinach, gdy tylko służy pogoda, wszystkie te stoły i ławki są zajęte. Poczciwe niemieckie matrony zasiadają tam z pończoszką, a młode panny z haftem w rękę. Poważni ludzie porzuciwszy swoje rachunki w kantorach lub po skończonej umysłowej pracy, przychodzą tam również na wypoczynek. W około dam kręci i motylkuje młodzież, *dandy*, *lwy* miejscowi z cieniutkimi trzcinkami w rękę i z ogromnemi kołnierzykami, które się nazywają *Vatermörder*, (ojcobójcy), zapewne dla tego, że ich ostre i nadzwyczaj długie końce zagrażają niebu ukłóciem. Zresztą miejsce takie jest bardzo wygodne dla zakochanych, i dla tych, których tkliwe uczucia krępowane są względami na przyzwoitość, lub majątkowem położeniem, co powieściopisarze nazywają prześladowaniem losu. Wejście do ogrodu jest wolne dla wszystkich: żadna nieubłagana matka, żaden okrutny ojciec, nie może wzbronić przystępu młodemu zuchwalcowi, który, nieposiadając przyzwoitej summy florenów ośmiela się podnieść swoje żądania aż do pięknych oczu ich córki, i wdzięków ich szkatuły.

Dzięki szczęśliwej instytucji *lustgarten'ów*, odepchnięty kochanek może niepostrzeżony spotkać upragnione wejrzenie napawać się lubym uśmiechem, jak wystraszony gołąb' napawa się znalezioną w skale kropelką wody—a niekiedy zawiązać ze swoją ukochaną niemą rozmowę, za pomocą sygnałów bystrzejszych i wyrazistszych niż sygnały telegrafów elektrycznych.

Tymczasem, kiedy w takiem niedostrzeżeniu odbywają się owe tajemnicze sceny, które mogłyby służyć za doskonały wzór dla artystów teatralnych, odegrywających rolę niewiniątek lub zakochanych,—poważniejsi ludzie, co już przebyli swoje burze namiętności, starannie się gotują do swobodnego używania wolnych swych godzin, w pełnem znaczeniu słowa. *Man muss sich bequem machen. Man muss sich ruhen.* (Trzeba sobie uwygodnić, trzeba odpocząć): takie tam ciągle słyhać sentencye w tym Niemieckim kraju, który tak dalece przejęty jest myślą o spokoju i odpoczynku, że rzeczywiście nie podobna pojąć jakim sposobem daje się tam zapalić pochodnia rewolucyi. W skutek więc tego mądrego aksjomatu, kobiéta zdejmuje swój szal, panna zrzuca swoje mitenki, a mężczyzna, o ile mu przyzwoitość pozwala, rozwiązuje węzeł swojej krawatki i zapala fajkę. Wten-

czas klarnety, skrzypce i trąbki zaczynają wygrywać melode swojego repertuaru: walce, przypominające żywej wyobraźni bale ostatniej zimy, polki, wprawiające w ruch drobne nóżki, śpiewy Schuberta usposabiające do marzeń. Wszyscy słuchają z największym zajęciem, przypatrując się pięknym pejzażom i nie masz zapewne wtedy ani jednej duszy, któraby nie uczuła jakiegoś idealnego wstrząśnienia, lub nie powtórzyła sobie w myśli jakiegoś poetycznego ustępu; gdyż Niemcy obdarzeni są dziwną skłonnością do poezyi, którą same wychowanie rozwija. Język ich poezyi nie różni się wcale od prozy; przystępny on jest dla wszystkich pojęć i upowszechniony we wszystkich szkołkach.

Francuzcy poeci, najbardziej ulubieni, nigdy nie wychodzą po za obręb pewnej sfery towarzyskiej. *Medytacje* Lamartina, *Liście Jesienne* Wiktora Hugo, *Hymny* Laprade'a nigdy nie zaszyły na poddasze rzemieślnika albo do chatki rolnika. Nawet popularność Beranger'a zdaje mi się być nader ograniczoną; wyższa klasa towarzystwa potępia wiele dzieł śpiewaka *Lizetty*, a lud, właściwie mówiąc, nie ocenia w nim najszlachetniejszych natchnień. W Niemczech, przeciwnie: Ody wojenne Kör-

ner'a, pieśni Müller'a, ballady Uhland'a znane są wszędy, i zrozumiałe dla wszystkich. Studya poetów narodowych, wchodzą w programmat nauk szkółek elementarnych, i kontynuują się przy wieczornych czytaniach w kółku familijnem. Piękny to zwyczaj! sam widziałem w Lipsku u odźwiernego domu, w którym mieszkałem, dzieła Schiller'a rozłożone na stole. Czytał on je po kilka razy, a wtedy odczytywał na nowo. Rozumiem nawet, że nie szukając długo między prostym ludem niemieckim, można napotkać wielu takich co znają Fausta i umieją na pamięć najtkliwsze z niego ustępy. Często doznawałem najprzykrzejszego wrażenia słysząc grube śpiewy naszych francuzkich włościan, których przeraźliwy głos, uwłacza wszystkim prawidłom harmonii, jak również same strofki pieśni obrażają nie tylko dobry smak, ale nawet moralność. W Niemczech zaś, śpiewy ludowe w ogólności są naiwne, lecz poprawne, tkliwe a przytém czyste i zawsze towarzyszy im prawdziwy rytm muzykalny. Takie są cechy ludu Niemieckiego, które przed półwiekiem pani Stael odmalowała w swoich utworach i które, chociaż przez rewolucyę czasu znacznie się odmieniły, jednak zawsze jeszcze zwracają uwagę cudzoziemców.

Lecz do tych darów umysłowych, Niemcy łączą też niepoślednie materyalne potrzeby. Lubią odetchnąć na świeżem powietrzu w cieniu swojego *Lustgarten*; lecz dla dopełnienia przyjemności potrzebują koniecznie odwilżyć i gardło. Melodyjny dźwięk tonow orkiestry i piękny obraz sprawia im wielką przyjemność; lecz takowa nic nie znaczy bez dodatku gastronomicznego. Napawają się wonią lilij i kwiatem cienistej lipy; lecz razem znajdują bardzo przyzwoitym dodać do tego aromatu wyziewy kuchennego pieca. Ojcowie ich czcili bogów przy dymiącym ofiarnym ołtarzu; wierni tej pogańskiej tradycyi, oddają cześć bożkowi *Pan*, przy dymiących kotletach. Wargi poruszają się razem z wyobraźnią. Żołądek wcale niechce paść ofiarą umysłu. Zresztą niemiec jest praktycznym filozofem, znającym doskonale fizyologiję biednego rodzaju ludzkiego. Wie on że człowiek składa się z dwóch pierwiastków, które zarówno powinny być utrzymane. Nawet za pomocą doświadczenia poznał on, że pierwiastek ciała wymaga bezustannój pieczołowitości: «Ciało jest słabe, powiada, a umysł mocny: trzeba więc wzmacniać ciało.» I wywiązuje się z téj powinności z najsumienniejszą starannością. Wprawdzie nie jest on wymyślny w wyborze środków

używanych dla podtrzymania fizycznej strony. Gdyby zwilżyć podniebienie i uspokoić po kilka razy apetyt,—przyjmuje bez szemrania okropne mixtury kory i cykoryi, którą mu bezczelnie pod nazwiskiem kawy podają, albo bezecny listek, co zdaje się być wyrzniętym z piersi końskiej i wybity pod siodłem Tatarą.

Mimo to nie jest on wcale obojętnym na wymyślne dzieła sztuki kuchennej. Na wiele mil wokoło słyhać o takich Lustgarten, które wydoskonalily sztukę robienia kotletów, i goście z większą niż gdzie indziej skwapliwością śpieszą tam oddawać się poetycznym kontemplacyom natury.

Lustgarten w Blankenes ustalona już mają sławę, i dla tego bardzo są uczęszczane. Latem i zimą cisną się tam wesołe czerechy, siadają na wzgórzu Süllberg i oceniają talent oberżysty; a wracając do Altony lub do Hamburga z zapalem wykrzykują: «Ach jaka czarująca panorama, co za wyborna cielęcina!»

Blankenes jest już ostatniem pięknem miejscem na brzegach Elby. Moznaby powiedziec że dla stworzenia tego czarującego obrazu, boginie Północy wyczerpały wszystko co tylko było najpowabniejszego z drzew i pagórków. Dalej, brzegi Holsztynu zniżają się coraz bar-

dziej i również są płaskie jak Hanowerskie. Rozległe, posępne, wilgotne, a przytém żyźne te równiny ciągną się wzdłuż rzeki aż do morza. Na brzegu jednej takiej równiny, pozbawionėj źródeł czystej wody i zarażonej wyziewami, w miejscu, gdzie się schodzą Elba i Ren, wznosi się miasto niegdyś znakomite w Danii. Miejsce, na którém stoi, nosiło smutną nazwę *pustyni* Miasto nazwaném zostało *Glückstadt*, *miasto szczęścia* lub *miasto losu*, gdyż słowa *glück* ma to podwójne znaczenie. Krystyan IV ufortyfikował je, i niejednen z jego następców miał nadzieję, że ono przyjdzie do takiego znaczenia jak Hamburg. Lecz te marzenia nie ziściły się nigdy. Zaszczytnie jednak podczas trzydziestoletniej wojny odparło dumnego Walensztejna, i z równą wytrwałością walczyło ze znakomitym szwedzkim jenerałem Torsteinssonem. W 1814 r. zdobyli je Anglicy, i w 1815 zniszczyli wszystkie jego fortyfikacye. Ludność tego miasta dochodzi do 6000 dusz, a ulice i port mało są ożywione. Liche pola otaczające je do koła, i dziśby nazwę pustyni nosić mogły. Każdy prawie z przyjeżdżających przechorować tam musi na febrę, jak na błotnistych równinach Wołoszczyzny pochyłych ku Dunajowi. Jednakże pośród tych nad-Elbiań-

skich stepów napotykają się tu i ówdzie piękne fermy zamieszkałe przez silnych i zdrowych rolników. Okręg Dittmars przyległy do Glückstandt, w XVI wieku walecznie bronił swojej niepodległości przeciw książętom Holsztynu, i ledwie po długich wojnach został podbity. Okręg ten, wydziedziczony przez naturę ze wszelkich wdzięków, głośny jest z innego względu. Jest to ojczyzna znakomitego wojażera Carstena Niebuhr. Syn jego Jerzy, znany historyk, przeżył tam także wiele lat swojej młodości. A licha miejscina Meldorf, przypomina nam o tym co zwiedził pałace strefy Arabii, i zgłębił starożytności Rzymu.

Z Brunsbüttel jedzie się parostatkiem do Cuxhaven. Obszerny ten port, oddzielony od Hamburga 22 milami terytorium Hanowerskiego, należał kiedyś razem z zamkiem Ritzebüttel, do rodziny, która podobnie jak dawni burgraffowie Renu i okrutne familije nad-Dunajskich Knuering'ów, napastowały statki i obdzierały kupców. Oddani handlowi mieszkańcy Hamburga wielkie ztąd ponosili straty i szkody; nie jednokrotnie poskramiali łupieżę napastników, ale nigdy na długo; zaledwie nakoniec 1393 nabyli ten port razem z dobrami na własność, kupując tym sposobem i spokój.

Posiadanie miasta Cuxhaven z morską przystanią, jest nieocenionem dla Hamburga. Tam zatrzymują się wojenne okręta i większe handlowe statki, niemogące chodzić po rzece. Tam stają i inne okręta oczekujące dla przebycia ujścia Elby, pomyślnego wiatru lub przyptywu morza. Tam nakoniec podczas zimy przybijają wszystkie okręta, póki Elba nie uwolni się z lodów.

Miasto Cuxhaven rządzone przez delegację senatu, liczy tylko 1200 mieszkańców. Miasto jednak, z powodu mnóstwa zatrzymujących się tam okrętów, niekiedy bywa bardzo ożywione. Od grudnia stoją tam w porcie prawie wszystkie statki płynące z ładunkiem do Hamburga; po ulicach więc i nadbrzeżu miasta uwija się masa majtków wszystkich narodowości; w jego tawernach słychać tyle języków ile może nieliczono przy budowaniu wieży Babel.

Rzeka, która od Glückstadt płynie z nadzwyczajną szybkością, wpada prosto do morza, zajmując w szerokość do dziesięciu mil. Żadna rzeka w Europie nie ma tak wspaniałego ujścia. Lecz również jak wszystkie okazałości naszego biednego świata, ma ona swoje zgubne skazy i głębokie rany. Pod jej falami, których szeroka przestrzeń zda się obiecywać żeglarzom tak bez-

pieczne przejście, pod tą zdradziecką falą, ścielą się ławice piasku, tak że jeśli na nie wpadnie okręt, nie wyjdzie bez wielkiego uszkodzenia a często nawet i rozbiciu ulegnie. Pływające drewniane beczki z chorągiewkami wskazują okrętom kierunek drogi. Lecz te mielizny co raz inne przyjmują rozmiary, i niezawsze zostają na jednym miejscu. Gwałtowność przypląwu i bystrość prądów przenoszą je czasami albo napędzają nowe. Nieustannie trzeba tam robić nowe badania, szukać przejść nowych i w coraz innym miejscu stawiać znaki. Żaden statek bez pomocy doświadczonego przewodnika nie może się puścić między te ciaśniny, a w czasie jesiennych tumanów lub w zimowe noce i najrzęczniejszy przewodnik nieraz zbije się z drogi i przyprawi statek o zgubę.

Pod samém Cuxhaven stoi morska latarnia. O pół mili dalej, na pustej wysepce Neuwerk, wznosi się druga, zbudowana jeszcze w XIII wieku. Wyspa Neuwerk nazywała się wówczas *Nowe Oko* (Neu Oge, Auge), Było to nowe oko otwarte na niebezpieczeństwo grożące żeglarzom. W 1286 r. miasto Hamburg wspólnie z arcybiskupem Bremenskim zbudowało tam latarnię, dla wskazywania okrętom drogi w czasie nocy; w dziesięć lat później postawiono latarnię na trwałym

wielkim budynku, gdzie na mocy bulli Papieżkiej urządzono ołtarz dla odprawowania nabożeństwa. Na miejscu téj dawniejszej budowli zniesionój 1372 roku, wznosi się olbrzymia wieża mająca czternaście stóp grubości, u dołu znajduje się cembrowanie dla odparcia uderzeń burzliwój fali, która bije w nią jak starożytne tarany w zdobywane warownie. Lecz ani farusy, ani sygnały ukazujące niebezpieczne miejsca, ani doświadczenie sterników, nic nie zdoła obronić od nieszczęśliwych przygód okręta, żeglujące po tych nieszczęsnych szlakach. Co roku okrutna rzeka potrzebuje nowych ofiar; co roku widać tam rzucone na zasy piasku okręta, wyrócone na bok albo rozbite, wyciągające po nad wodą swoje maszty jak błagalne ręce, i później znówu szczątki ich pływające po tych straszliwych falach. Na mocy praw dawniejszych, złowione ładunki rozbitych okrętów stawały się łupem nadbrzeżnych mieszkańców; dziś zabierają je z uczuciem słuszności i oddają co komu należy. Magazyny w Neuwerk nieraz bywają niemi wypełnione.

Miasto Hamburg wydaje corok wielkie summy na ułatwienie żeglugi po Elbie, i morze jest w ciągłej walce z tą rzeką, która zdaje się drażnić jego dumę, nanosząc mu zasy piasku,

jakby chciała zmusić do pokornego tylko zbliżania się do niej przez ciasne zakręty.

Straszliwe to morze! ileż ono spustoszenia przynosi na wybrzeża Północy! Z jaką rozhułtaną wściekłością rzuca się na zawady jakie mu człowiek na drodze postawił! Śniegowe lawiny poniszczyły całe wioski na dolinach alpejskich. Wulkany zasypały popiołem Herkulanum i Pompeję, i ziemia Islandyi pokryła się strumieniami lawy. Wylewy morskie w tych stronach daleko są straszniejsze od lawin, i nieraz okropniejsze od wybuchów z kraterów. W najdawniejszych kronikach Fryzyi, czytamy przerażające tego opisy: wzmiankują one o całych gminach zalanych, jak wojsko Faraona, morskimi falami.

Veniens calamitas involvit eos in mediis fluctibus.

W każdym wieku, a nieraz nawet w częstszych peryodach (1), kroniki te powtarzają opisy klęsk podobnych. Miejscowi starcy powiadają, że takie spustoszenia przypadają w nieodzownych peryodach. Najbardziej umiarkowani utrzymują, że co pięćdziesiąt lat przynajmniej, morze się podnosi i zabiera zdobycz. Od terytorjum Hannower-

(1) W XIII i XIV wiekach te katastrofy powtarzały się co pięć a ezasem i cztery lata.

skiego, morze oderwało wyspę Vangeroge i kilka małych wysepek rozrzuconych jak szmaty na północ Fryzyi wschodniej, między Ems i Wazerą.—Na nieszczęśliwą tę prowincję Fryzyę, po kilkakrotnie rzucało się morze z niepohamowaną siłą. Ostatecznie w 1825 roku złamało tamy, zalało i zniszczyło uprawną ziemię na wcale znacznej przestrzeni.

Na wschód od Schlezwiku, przed dwoma przeszło wiekami, leżała piękna wyspa Nordstrand, licząca na swój przestrzeni do siedemdziesięciu parafij. W 1634 roku morze z wściekłością rzuciło się na tę żyzną krainę, pochwytiło ją w zburzone swe fale jak tygrys w szpony dopilnowaną ofiarę, i rozhlukane, poszarpało ją część znaczną ziemi grzebiąc w przepaściach, drobne od reszty zostawując szmaty. Według tradycyi, zginęło tam wówczas do 30000 ludzi; straszniejsze to jest niżli trzęsienie ziemi na Gwadelupie.

Dzisiaj, na miejscu zniszczonych pól i łąków, zostały dwie małe wyspy, z których jedna zatrzymała pierwotną nazwę Nordstrand, i ze dwanaście drobnych wysepek, zwanych Halligen.

Mało dziś ludzi zna te zawały ziemi, podobne do cząstek stłuczonego zwierciadła. Archipelag ten dodaje tylko zbyteczny wiersz do nomen-

klatur geograficznych, i daleko jest mniejszej wagi dla Danii, niż archipelag Feroe. Jednak równie jest warty widzenia jak i Feroe, który przed kilką laty z wielkiem zajęciem zwiedziłem. Nie mogłem wszakże tak go poznać dobrze za pierwszą razą jak sobie zamierzyłem. Lecz spodziewam się powrócić tam znowu.

Halligen są to skaliste wyżyny leżące nie więcej jak trzy lub cztery stopy nad poziom morza. Wynędzniała trawa i kępy sitowia ubierają je gdzie niedzie bladą zielonością. Nie widać tam żadnego drzewa, żadna jadalna roślina tam nie dojrzewa, żadne wesole ptaszę nie świegoce, i żadne źródło świeżej wody nie daje słyszeć łagodnego szmeru. Tylko surowość skał, cisza pustyni, ponure milczenie przerywane niekiedy zachrzyplém gwizdaniem sowy, wyciem wiatrów i łoskotem fali. Widząc zdaleka jedną z tych wysepek wystającą z pośród fal morskich, zda się, że to jest okręt zatopiony w półowie. Zbliżka zaś powiedziałby każdy, że ten step dziki może być tylko gniazdem złowieszczych morskich ptaków, a jednak człowiek zbudował tam sobie mieszkanie pośród burz morskich, zuchwalszy od orła budującego gniazdo na wierzchołku nadwodnej skały.

Cały brzeg Szlezwiku i wschodniej Fryzyi, a

także większa część wysp leżących między Eider i Ems, zabezpieczone są podobnie jak brzegi Hollandyi mocną tamą, siedem metrów szeroką i pięć wysoką. Biedny mieszkaniec wysp Halligen nie może podjąć się takowej pracy. Musi on z rezygnacją patrzeć jak straszliwe wylewy wody przetaczają się po jego niwie, zatapiają miszerne pastwiska i nieraz całe stada owiec porywają. Dla obrony własnej i swojej rodziny, buduje on z tłustej, gliniastej ziemi rodzaj esplanady do dwudziestu stóp wysokości; na niej wbija wielkie bierwiona, które mają otaczać jego ognisko domowe. Wcale mu już niechodzi o wystawienie eleganckiego frontonu o kilku piętrach; wystarcza mu jedno dolne piętro pokryte słomianym dachem, pod którym chowa to co ma najdroższego. Drzwi i okna wyrobione są z grubych bierwion, i zewnątrz mają okienice, które zamykają w czasie huraganów jak strzelnice na okrętach.

Z wierzchu tego schronienia, trwalszego może lecz bardziej narażonego na zalanie niż magazyny, które Finlandczycy budują na czterech rzędach dębowych dylów, odważny wyspiarz z dumą spogląda na rozhukane fale, co w gwałtownych swych rzutach zbliżają się nieraz aż do stóp jego cytadeli i podrywają fundamenta.

Zna on bardzo dobrze wszystkie porywy tego morza, na łonie którego się urodził, i na którym żyje jak mewa. Cieszy się jego spokojem i nie lęka się burzy. Jest to dziki rumak, który ma go zanieść w najodleglejsze kraje, a on tymczasem bada jego dzikie narowy, lekceważąc najgwałtowniejsze skoki.

Wszyscy mieszkańcy Halligen są już z urodzenia marynarzami; jeżeli nie upodobanie, to sama konieczność zmusza ich do tego. Morze które ich ze wszystkich stron oblega, i bezustannie zagraża napaścią, jak nieubłagany nieprzyjaciół, jest dla nich najgłówniejszym żywiołem. Od dzieciństwa uczą się oni kierować łodzią, później przystają na majtków i płyną w dalekie strony, pełnić swój ciężki obowiązek. Wielka ich część, przez wrodzone zdolności, wychodzi na kapitanów i dowodzi okrętami Glückstadtu, Altony lub Hamburga.

Kiedy wiek lub niedołęztwo zmusza ich do porzucenia służby, znowu powracają na swoje wysepki, mniejsze jeszcze niż Itaka Ulissesza. Widzieli oni wczasie swych podróży czarowne Antylle, woniejące Archipelagi Południowego morza i morz Indyjskich, a jednak z miłością wracają do swoich wydm piaszczystych. Przynoszą tam

wszystko co uźbierali podczas długiej służby; i miło im składać w domu, jak na ofiarę swoim domowym bogom, rozmaite osobliwości, w rozlicznych zebrane podróżach. Ich biedna rodzinna ziemia nie daje im ani owoców, ani zboża, nawet i wody zdrowej. Z największą starannością przechowują w studniach deszczową wodę, zabezpieczając te rezerwoary od napływu słonej morskiej wody. W suche lato muszą cierpieć pragnienie i patrzeć jak ich mizerne stada, jedyne bogactwo, giną bez zdrowej wody. Przed dziesięciu laty król Duński Krystyan VIII używał kąpeli morskich na wyspie Foehr w czasie takiej klęski. Wszystkie studnie wyschły; omdlewające krowy nie dawały mleka, owce padały, a burzliwy wichur, suchy jak simun, podnosił fale tak wysoko, że żaden żeglarz nie śmiał wypłynąć żeby gdziekolwiek dostać ożywczego napoju. Nie spodzianie, w tych chwilach rozpacz, ukazują się żagle, okręt przybija do brzegu i przywozi beczki napełnione wodą. Król zakupił ten drogocenny ładunek i rozdzielił między mieszkańców Foehr, którzy od tego czasu nie przestają wspominać swojego dobrego króla Krystyana.

Lubo zmuszeni daleko szukać wszystkich potrzeb do życia, jednak mieszkańcy Halligen dziwnie są przywiązani do swój nędznej krainy; tam ka-

żdy z nich chciałby mieć swój kątek i tam zakończyć życie.

Tak góral przywiązuje się do swoich najeżonych skał, do śnieżnych wierzchołków, tak samo Lapończyk kocha swoje ponure pastwiska, a Islandczyk krzemieniste swe pola. Kraje, w których potrzeby życia z łatwością się zaspakajają, nie przywiązują może tyle człowieka, jak te, gdzie musi cierpieć i walczyć. Najczulsza względem swych wszystkich dzieci matka, szczególnie się zajmuje tém, które przez swoją chorobliwość najwięcej jój może zmartwienia przyniosło. Rolnik przykuwa myśl swoją do ziemi, którą w pocie czoła uprawiał, a rzemieślnik do dzieła, które najstarszego wymagało wykończenia. Nieprzeniknione są prawa Boże: w trudności i przeszkodach jakiego przedsięwzięcia zawiera się największa dla człowieka podnieta do pracy; najtrwalsze są związki powzięte w zmartwieniu. Wesołość powierzchownie tylko dotyka duszę; boleść zaś zapuszcza głęboko korzenie. Nie zawsze ci są pewni swoich uczuć, którzy się w chwilach radości złączyli. Ale tacy napewno się kochają, którzy doznali razem przeciwności w życiu, i razem gorzkimi płakali łzami.

VIII.

H e l g o l a n d.

«Czyż można wynieść ojczyznę na podszwie trzewików?»—zapytał Danton tych, którzy go do ucieczki namawiali. Dla zapalonego trybuna, który się urodził w samym środku wielkiego kraju Francyi, było to zatrudno. Lecz w chwili śmiertelnego niebezpieczeństwa, nie wiem, czy Helgolandczyk nie mógłby wynieść swojej—tak jest małeńka ta romantyczna wyspa Północnego morza.

Wznosi się ona jak piramida na 200 stóp wysokości. Jakkolwiek mały jój obwód, jednak Anglicy uznali całą ważność jój położenia. Zdobyli oni ją w 1807 roku, i wcale nie mają ochoty jój

porzucić. Pomimo drobnotę swoją, wysepka ta wielką ma sławę. Narody północne opowiadają o tej wyspie niezliczone mnóstwo poetycznych legend, a historycy i geografowie badaniami swemi wzmocnili jeszcze te ludowe tradycje.

Piotr Sachse, który w XVII wieku wydał opisanie Helgolandu, nie waha się utrzymywać, że to jest ta sama wyspa o której Wirgiliusz wspomina w pierwszej księdze Eneidy, wyspa, na której Trojanie schronili się po burzy nasłanej na nich przez nieubłaganą Junonę.

Est in secessu longo locus. Insula portum
Efficit objectu laterum quibus omnis ab alto
Frangitur inque sinus sindit sese unda reductos. (*)

Pennant, w swojej *Historji naturalnej północnych krajów*, powiada, że Helgoland jest ową tajemniczą ziemią o której wspomina Tacyt, o wém *Castum Nemus*, gdzie oddawano cześć bogini Hercie.

Sięgając najdawniejszych kronik Północy, przekonywamy się, iż Helgoland nazywano niegdyś Fose-te, od Fosta, jednego z bożyszcz pogańskiej Fryzyi, którego przedstawiano z dwoma godłami ze strzałami w prawém i z kłosami zboża w lewém ręku.

(*) Jest ustron; rozciągając wyspa swe ramiona,
Port czyni, tam się woda odbija szalona,
I wężykiem odpływa, oplukawszy boki;

Tłóm. Fr. Dmóch.

Nazywają jeszcze tę wyspę Heiligeland, Halgoland, Helgoland, i nazwa ta była przyczyną rozmaitych innych przypuszczeń (1). Adam z Bremen, szanowny kronikarz kościołów nad Elbą i Wezerą, powiada, że ta ziemia była pod opieką cudownej siły. Jeżeliby jaki korsarz dopuścił się tam bezprawia, można być pewnym że okręt jego rozbije się, albo że umrze najędzniejszą śmiercią. Są tam pobożni pustelnicy, którym piraci oddają dziesiątą część swojej zdobyczy. Cała wyspa wzbudza głębokie uszanowanie w żeglarzach, a nadewszystko w piratach. Ztąd pochodzi nazwisko oniej Heligeland (święta ziemia).

Według innej tradycyi nazwisko to pochodzi od jednego z owych nieustraszonych Skandynewskich Viking'ów, imieniem Helga, który w jednej ze swoich wypraw wylądował na brzegi Fosete, zajął tę wyspę, osiadł na niej, ożenił się tam i nadał jej swoje nazwisko.

Lecz historyk Fryzyi, Jan Neocorus, pochodzenie tego nazwiska przypisuje legendzie o jedenastu tysiącach dziewic. «Pewnego dnia, powiada on, Ś-ta Urszula z towarzyszkami swé-

(1) Anglicy nazywają Heligoland; Hollendrzy, Helgoland; wyspiarze nazywają swą wyspę Helgolunna a siebie Helgolunner'ami.

mi wylądowała na tę wyspę, która podówczas była bardzo piękną i obszerną krainą. Pobożne dziewice zostały tam sromotnie znieważone przez miejscowych pogan. Bóg na ukaranie tych niewiernych część wyspy pograżył w przepaść morza, a resztę ziemi przemienił w piaszczysty grunt.»

To ostatnie podanie naprowadza nas na drugi szereg domysłów, co do dawnej obszerności tej wyspy, coraz bardziej zmniejszanej i podmywanej falami morza.

P. Decken, który ze szczególném oddaniem się poszukiwał faktów dotyczących tej wyspy, zdaje się przypuszczać, że takowa niegdyś łączyła się z brzegami Danii. «Na północ i na zachód od tej wyspy ciągną się, powiada on, ławy skał, które łatwo dają się widzieć przy odpływie morza. Za pomocą sondowania można śledzić ich kierunek na przestrzeni trzydziestu mil blisko, i odpowiednio skalistym pokładom ciągnącym wzdłuż brzegów Jutlandyi. Bardzo prawdopodobnie, iż służyły one niegdyś za podstawę ziemi, zalanéj z czasem przez morze.»

«Helgolandczycy, dodaje tenże autor, opowiadają, że był czas kiedy ziemia ich oddzielała się od brzegów Holsztynii tak wązkim kanałem, że go można było przepłynąć na desce.»

Nie ulega wątpliwości że w tych krajach Północy odbywały się straszliwe rewolucye: jedne przez nieustające działanie wody podmywającej ziemię, inne zaś przez gwałtowne wstrząśnienia wulkanów podmorskich. Najwiarogodniejsze kroniki niemało wyliczają takowych przykładów. Do jakiego jednak stopnia pierwotna konfiguracya Helgolandu została zmienioną? tego właśnie z pewnością powiedzieć niepodobna.

W 1652 r. Dankwerth do swego opisania Holsztynii i Schlezwigu dołączył dwie mappy przedstawujące Helgoland jakim był w latach 800, 1300 i 1649. Mappy te, wydane powtóre przez Clarke znakomitego angielskiego podróżnego, (1) rysowane były przez duńskiego matematyka Jana Meyer (2), który dla zdjęcia takowych przebył na wyspie czas znaczny, badał, dochodził dawnych zarysów i zasięgał podań tamecznych starców.

(1) Przy dziele, *Travels in various countries of Europa, Asia and Afrika*. Vol. III. London, 1819.

(2) Było to biedne dziecko ludu, prosty pasterz, bystrego pojęcia, obiecujący wiele zdolności. Jeden wspaniałomyślny szlachcic zajął się nim, dawał mu lekye i Meyer tym sposobem został znakomitym swojego czasu matematykiem.

Niezaprzeczoną jest rzeczą, jak twierdzi P. Decken, że naród usunięty od styczności ze światem, zamknięty w sobie samym, inaczej zachowuje pamiątki przeszłości jak szumne i gwarne miasta.

Włóścianie wielu prowincyj Szkocyi, Irlandyi, Niemiec i cichych ustroni Skandynawii przechowują dziś jeszcze ustne podania z najodleglejszych epok, a w Islandyi pogańskie sagi sięgają początkiem jedynastego stulecia.

Lecz wielka zachodzi różnica, między temi opowiadaniem co przez swój charakter epopei lub dramatu owładnęły wyobraźnią ludową, a suchą i ścisłą dokładnością linii matematycznej. Mappa Meyer'a z roku 800 pokazuje nam wyspę piętnaście razy większą niż jest dzisiejsza. Widzimy na niej świątynię Fosty lub Vesty, drugą Jowisza, wiele katolickich klasztorów, twierdze, kościoły, liczne wsie, z dziesięć rzek, mnóstwo drzew i z półtuzina portów. A jednak wiadomo, że pod koniec VII wieku, kiedy tam przyплыł Ś. Willibrod, znalazł ledwie jedno źródło świeżej wody, a Adam z Bremen, piszący około 1074 roku wyraża, że tam nie było ani jednego drzewa.

Pan Lappenberg, światłym krytycznym poglądem wykazał radykalne błędy pracy Meyer-

r'a (1), i dotąd żadne inne dokumenta nie dają nam prawdziwego świadectwa o pierwotnej przestrzeni Helgolandu.

Pierwsze, pewne już o tój wyspie wiadomości sięgają końca VII stulecia. Poźniej znowu, w rozmaitych czasach ciąg onych przerywa się, tak iż trudno jest uchwycić nic wiążącą fakta okryte mrokiem niepewności. Pewnym jest tylko, że mieszkańcy tameczni pochodzą od owego liczego fryzyjskiego plemienia, które imie swoje nadało jednej prowincyi w Hollandyi i Hanowerze, i którego potomkowie dziś jeszcze zaludniają część wybrzeży Holsztynu i Schlezwigu. Można też wierzyć, że Radbod, wódz pokolenia Fryzyjskiego, będąc pobitym przez Pepina Herystala i zmuszony opuścić Utrecht, miejsce swego pobytu, schronił się na Helgoland. Usunął się on tam jako lew zraniony, co tylko o nowój zamyśla walce. Tam na samotnej skale układał on plany nowój wyprawy, w której miał jeszcze zostać zwyciężonym przez daleko straszniejszego przeciwnika, przez Karola Martela.

W tym samym czasie organizowała się w Ir-

(1) Ueber den ehemaligen Umfang und die alte geschichte Helgolands. Hamburg 1830.

landyi missya przeznaczona do zaszczepienia Ewangelii między narodami Fryzyjskiemi, — w Irlandyi, téj saméj wyspie, którą Strabon opisuje jako kraję tak straszną, że i Rzymianie wzgardzili jéj podbojem; na tym zielonym Erinie, który opanowała Anglija i najstraszniejsze włożyła nań jarzmo niewoli; w tym samym zagorzałym katolickim kraju, któremu od piérwszych wieków chrześcijaństwa, północna i środkowa Europa zawdzięcza tyle zbawiennéj i pobożnéj nauki.

Ś. Willibrod udał się do północnéj Fryzyi w towarzystwie jedenastu księży; lecz wszystkie jego usiłowania były próżne tam, gdzie lud z takim uporem wierzył w pogańskie swe bogi, i ani chciał słyszeć o żadnéj innéj nauce. W myśli przyniesienia choć najmniejszego, nabytku Ewangelii, kupił on trzydziścioro dzieci, dla wychowania ich w nauce chrześcijańskiéj; lecz wracającego do ojczyzny, burza wyrzuciła na wyspę Helgoland. Piérwsi apostołowie Kościoła uważali takie wypadki za zrządzenie opatrności. I na téj wyspie byli poganie do nawracania, a Ś. Willibrod nie był z tych ludzi którychby nieszczęścia albo trudności odstręczyć mogły. Gdy się naradzał ze swemi towarzyszami jakich najskuteczniejszych środków

użyć dla osiągnięcia zamierzonego celu, jeden z nich, Wigbert, odezwał się, że najlepiej śmiało uderzyć na świątynie pogańskie. Projekt ten został przyjęty i dwónastu odważnych mężów udali się w środek wyspy i zniszczyli dwie świątynie. Narod patrzył na nich w osłupieniu, oczekując nim bogowie pomszczą swoją znieprawę i ukarzą świętokradców. Lecz obalone bałwany nie ruszały się z miejsca — i wielu mieszkańców, zachwianych przez to w wierze, usłuchali nauki S. Willibroda. Trzech nawet z ich liczby zaraz chrzest przyjęło. Zachęteni tém pierwszym powodzeniem, missyjonarze poczeli rujnować dalsze świątynie. Lecz gdy podnieśli siekiery na ołtarz Fosty, najprzedniejszego boga wyspy — narod się oburzył. Radbod, który dotąd nie zwracał uwagi na missyjonarzy, bądź że się nie chciał narazić Pepinowi, który ich stronę trzymał, bądź że ich usiłowania nie obudzały w nim obawy, teraz wspólnie z narodem swoim powstał przeciw nieprzyjaciołom swych bogów. Schwytani księża stawieni byli przed nim. Wigbert został skazanym na śmierć, a inni musieli zaraz się oddalić. Było to pod koniec VII wieku. W kilka lat potem inny missyjonarz, Ś. Wulfram, przybył tam znowu chcąc dokończyć zaczętego dzieła,

lecz wrócił nic nie wskórawszy. Aż nareszcie święty Ludger 768 i 774 roku zdołał nakłonić mieszkańców do wywrócenia świątyni Fosty.

Od téj epoki, w kronikach Północnych przez długie lata nie ma już żadnej wzmianki o wyspie Helgoland. Rzeczy można, że gdy przez to nawrócenie dopełniła ona swego dzieła na świecie, sąsiednie ludy nie miały już potrzeby nią się zajmować, jak również i ona niemi się nie zajmowała.

Oprócz przypuszczonej wyżej cytacyi Adama z Bremen, nazwisko Helgoland spotykamy w liczbie posiadłości Danii w XIII w. Później, kościół jój pod wezwaniem Ś. Urszuli, zaliczony został do biskupstwa Szlezwickiego.

Najpodobniej więc jest, że piraci północni, uczyniwszy wyspę Helgoland główném swoim siedliskiem, nie dozwolali do niej przystępu spokojnym żeglarzom; że ją następnie podbiła Danija, lecz mało ceniąc, dozwoliła zająć Szlezwickiemu księciu; że później przez długi czas zostawioną była sama sobie, lub też podbijana przez tych co tam z bronią w rękę przybywali.

W wiele lat potem, nieprzewidywany wypadek historyi naturalnej, wędrówka ryb, miał

wywołać z zapomnienia imię tej Fryzyjskiej kolonii, która niegdyś zapalała religijną gorliwość tylu missyonarzy, zajmowała umysł walecznego Pepina i bohaterskiego ducha Karola Martela. Pływające ławy śledzi, co od XII wieku pojawiały się na brzegach Rugii i Szwecyi, w 1425 ukazały się na wodach Helgolandu. Od czego to zależą losy ludów? Niedawno jeszcze Helgolandczycy żyli spokojnie na swoim małym ustroniu, w zadowoleniu, o które może najtrudniej na tym świecie, bo nikt im, ani też oni nikomu nie zazdrościli: *ne invidiatio, ne invidioso*. Aż oto legijon lichy drobnej ryby, którą do największego umartwienia postu zaliczyć można, obiera niezwykłą drogę w swoich wędrówkach, i przez kaprys bezmyślnego stworzenia zbaczającego ze zwykłego kierunku, ginie na zawsze błoga spokojność krainy.

Jak tylko przebiegli handlarze z Bremen i Hamburga postrzegli, że na Helgoland odkrywa się dla nich bogata perspektywa handlowych operacyj, natychmiast posłali tam mandataryuszów i założyli swoje faktorye. Lecz książę Szlezwicki chciał sam jeden korzystać z tego przywileju. Nasz biedny świat tak jest uorganizowany, że gdzie tylko są jakie korzyści materialne, tam pewno są i przyczyny kłótni lub

walki. Książę i miasta przez pewien czas spiera-
 rali się o swoje prawa jak adwokaci. Książę
 chciał dowieść że wyspa należała do niego od
 niepamiętnych czasów; handlarze miast utrzy-
 mywali że ponieważ wyspa leży na odkrytém
 morzu, więc powinna być wolną i dla wszyst-
 kich przystępną jak samo morze. Gdy rozu-
 mowania stron pogodzić nie mogły, doszło do
 czynów. Książę kazał spalić Hamburgskie i Bre-
 meńskie faktorye, a ci w odwet zrabowali ko-
 moreę swego przeciwnika. Za kilka beczek śle-
 dzi poczęli się rąbać na około biednej wyspy,
 tak jak fregaty angielskie i hollenderskie bi-
 ły się na lodach Spitzbergu o połów wieloryba.
 Dwa te pola bitwy były do siebie w prostym
 stosunku śledzia do wieloryba, i małego Ham-
 burgskiego statku do Brytańskiego *man of war*.

Lecz przyszedł trzeci który ich pogodził jak
 pisano w bajce — bo w 1684 r. Duński kontr-ad-
 mirał, Paulsen, sam zdobył wyspę. W pięć lat
 potém Danija zwróciła ją księciu Szlezwickie-
 mu; lecz w 1714 r. odebrała ją znowu i
 wtedy już się przekonała że warto ją zachować
 dla siebie. Dla tego odnowiła latarnię morską
 zbudowaną jeszcze w 1673 r. urządziła wscho-
 dy ułatwiające przejście z brzegów morza na
 wierzchołek wzgórza: słowem, gospodarzyła

jak u siebie z postanowieniem nie wypuszczania nigdy ze swego władania tak ważnego morskiego stanowiska;—lecz niestety, w rachubach swoich zapomniała o Anglikach.

W 1807 roku, Anglicy, którzy na wszystkich krańcach świata mają swoje kantory, i na wszystkich morzach fortece, ze smutném zdziwieniem postrzegli, że nie posiadają jeszcze żadnej stacyi na krańcu Północnego morza. Pomimo więc neutralności Danii, zbombardowali Kopenhagę. Honor Angielski, powiedział jeden z ich mówców, sączył się wówczas przez wszystkie pory. Nie wielką było więc rzeczą wpuścić kilka kropel więcej na bezbronną ziemię. 30 sierpnia zdobyli oni Helgoland, a 1814 roku podczas zawarcia pokoju w Kiel, jak najusilniej starali się o zapewnienie dla siebie posiadania téj wyspy.

Rzuciwszy wzrok na mapę, możemy się dowodnie przekonać, o ile jest ważném dla Anglii posiadanie Helgolandu. Położona pod $54^{\circ} 11'$, pusta ta i skalista płaszczyna leży prawie w równej odległości od dwunastu do piętnastu mil, od ujścia czterech wielkich rzek północnych Niemiec, Elby, Eider, Wezeru i Ems. Na przypadek wojny z północnemi mocarstwami, Anglija na swojej skale może mieć najdogodniejszy punkt obserwacyjny. Tam może wybudować silną twier-

dzę i pod jej działa w każdym razie chronić się z flotą; ztamtąd, zdaleka może śledzić wszystkie poruszenia swoich nieprzyjaciół, panować nad czterma szerokiemi arteryami Europy, blokować Bremen i Hamburg, trzymać na wodzy Hanower i Daniją.

Raz już dała dowody jakie może osiągnąć korzyści z tej małej i nic nieznaczącej na pozór wyspy. Kiedy sławnym dekretem Medyolańskim, we wszystkich krajach podwładnych Francyi zabroniony został przywóz wyrobów angielskich, Anglija otworzyła wtedy na tej wyspie rynek, jakiego dotąd niewidziano na świecie. Przez kilka miesięcy seciny okrętów przywoziły tam wszystkie zakazane towary. Przepisując ustawy Kontynentalnego Systematu, Napoleon zapomniał iż są zwyczaje daleko silniejsze niż najsilniejsza wola. Piotr Wielki przekształcił całą Rosyę, a nie mógł zniewolić muzyków do ogolenia bród. Napoleon niszczył armije sprzymierzonej Europy, a jego wszechwładna potęga nic nie mogła uczynić lichęj, handlowej mięścinie. Za żadną cenę mieszkańcy Północy nie chcieli porzucić używania kawy, herbaty i cukru, z czego się składa ich napój zwyczajny.

Dobroczyzna Anglija dowoziła im ten cenny towar do najbliższego punktu. Pokusa była za-

nadto silna, trudno było się jęj oprzeć. Na przekor licznej straży celników, przemykanie odbywało się na olbrzymią skalę. Bandy przewoźników przybywały na swoich łódkach do Helgolandu, ładowały tam zakazane towary i przewoziły na brzegi Niemiec i Hollandyi, z kąd rozwożono je dalej w głąb' kraju. Wkrótce przewoźnicy ci już nie mogli zaspokoić wzrastających potrzeb, przemykanie stało się zajęciem spokojnego mieszczanina i rolnika. Ludzie co nie mieli najmniejszego pojęcia o handlu, rzucili się w ten odmęt. Ludzie co nigdy nie opuszczali stałego lądu awanturniczo puszczali się na morze w celu zysku. Nawet kobiety nie lękały się na lichych łódkach płynąć do Helgolandu, składu zakazanego owocu.

Przemysłowi Anglicy wszelkimi ułatwieniami dopomagali tym kupieckim obrotóm. Niewymagając wcale brzęczącej monety, dla ściągnięcia większej liczby kupujących, zwrócili się do pierwotnego sposobu prowadzenia handlu. Poczęli w zamian swoich towarów przyjmować zboże, masło, bydło i inne produkta rolnicze. Nie jeden z nie-doświadczonych przedsiębiorców, został okropnie zawiedzionym; nie jeden też z przewoźników zginął w falach z całym swym ładunkiem. Wielu też złowionych przez celników przypląciło kon-

fiskatą szalupy, ciężką karą pieniężną a nawet i długiem więzieniem. Lecz wydarzenia te wcale nie ostudzały namiętności; cokolwiek bądź, a mieszkańcy Niemiec i Hollandyi musieli mieć cukier, kawę i herbatę; i kto tylko zwiedzał te kraje, wie bardzo dobrze w jakim używaniu jest tam samowar gotujący się od rana do wieczora, poczynając od najbogatszych aż do poddasza rzemieślnika.

Rok 1809 pozostanie nazawsze pamiętny dla Helgolandu. Nie rzucając swoich brzegów, nie wdając się w zwodnicze obroty zagranicznego handlu, mieszkańcy wyspy w domu ogromne mieli zyski. Wszyscy zajęci byli wyładowaniem okrętów, przepakowaniem towarów na małe statki i drogo im to zajęcie opłacano. Co więcej, mieli oni u siebie stek kupców, lichwiarzy i marynarzy, którzy u nich żywność kupowali. Właściciele domów brali niesłychane ceny za najmniejszą stancyjkę, rybacy sprzedawali swój towar na wagę złota, i najlżejsza usługa płaconą była jak najmozolniejsza praca. Nie było dosyć domów dla pomieszczenia tego napływu ludności, ani też dosyć desek, żeby nakryć niezliczoną ilość kolonijalnych towarów, których bezustanku przybywało na tę drobną wyspę. Dla marynarzy nie było przytułku, musieli nocować na swoich łó-

dziach, albo przebojem szukać spóczynku na schodach domów lub gankach. Na prędcie budowano nowe mieszkania i szopy. Postawiono nawet giełdę, którą po skończonym kommercyjnym ruchu obrócono na salę teatralną. Nie potrzebuję dodawać, że w tój błogostawionėj epoce zakwitły szynkownie i domy gier. Są to prawdziwe uciechy dla tych co materjalizują swoje serca, oddając je mamonie.

Jeszcze kilka lat podobnych, a niezawodnie wszyscy mieszkańcy Helgolandu zostaliby kapitalistami. Śledztwo urzędowe wykryło, że mieszkańcy tameczni, przez jedno lato 1809 roku, zebrali z górą pół miliona franków. W poczciwój prostocie, obcemi będąc zyskownym obrotóm gotowizny, chowali ją w drewnianych skrzyniach które starannie zamykali. Dotąd drzwi i kufry zawsze u nich stały otworem. Z pieniędzmi, troska i niepokój weszły do ich chatki. Niespodziane bogactwo, zaszczerpiło w nich nieufność ku sąsiadom i nauczyło dorabiać zamki do kufrów.

Bogactwo ich, jak wzrosło nagle na podobieństwo przyptywu morza, tak również i prędko zniknęło — lecz niestety! bezpowrotnie. Już w 1810 roku tak się tam wiele nagroma-

dziło towarów, że niepodobieństwo było je wywieźć. Część ładunku złożona na odkrytym powietrzu, uległa zupełnemu zepsuciu; resztę sprzedawano za byle jaką cenę. Wkrótce wojna zerwała więzy systematu kontynentalnego. Kupcy i marynarze zaczęli opuszczać wyspę, na której już nic do wygrania nie mieli. Giełdę i inne nowe budowle rozrzuciono; większą część traktierni dotąd tak ożywionych, zamknięto. Mała wysepka powróciła do dawnej spokojności.

Dla mieszkańców Helgolandu było to jakby obudzenie się ze snu świetnego do smutnej rzeczywistości. Łatwość z jaką oni dotąd w krótkim czasie znaczne zbierać mogli pieniądze, zwróciła ich z drogi pracy; styczność z cudzoziemcami, wyrodziła w nich zamiłowanie wystawy i zbytowych potrzeb. Nie jedna młoda kobieta, którą niedawno zupełnie zadawalniała suknia wełniana, dziś już koniecznie chciała mieć jedwabną i złote łańcuchy; nie jeden poczciwy rybak dozwalający sobie kiedy niekiedy piwa jako wielkiej przyjemności, dziś bez zastanowienia, jakby z potrzeby, ruszał do karczmy na szklanę pończu. Piękne sztuki złota tak nagle zebrane do kufra, wysliznęły się jedna po drugiej, jak więźnie, którzy widząc drzwi otwarte uciekają z więzienia. I nadszedł dzień, w którym zadu-

many Helgolandczyk mógł sobie w myśli zanócić gorzką piosnkę Heine'go:

Mes ducats d'or, qu'etes-vous devenus?

Co jeszcze bardziej stan ich pogorszyło, to, gdy mieszkańcy wyspy skutkiem niedostatku wrócili do zwykłego handlu, znaleźli, że ceny na rybę znacznie upadły na rynku Hamburga, i że nadbrzeżni marynarze połączeni w kompanije, strasznymi byli dla nich współzawodnikami w dawniejszym rzemiośle sternictwa.

Tym sposobem odarta z błyskotek, które ją czas jakiś zdobyły, pozbawiona wszystkich środków, mała wysepka z goryczą uczuła nieszczęsne skutki zwodniczego szczęścia i powoli zbliżała się do nędzy. Szczęściem, że uczony fakultet, który sprawia więcej cudów niż sądzimy, dał jej nowe środki podźwignienia.

Człowiek jest istotą złą, niewdzięczną i niesprawiedliwą. Jest to pewnik. Nie mam wcale pretensyi do pierwszeństwa odkrycia tego, tém mniej jeszcze do zaradzenia temu. Z pomiędzy wszystkich rodzajów niewdzięczności,—z czego by wcale kompletną historję świata możnaby było napisać,—jeden przychodzi mi na myśl na Helgolandzie, i o tém muszę tu coś powiedzieć.

Jesteśmy bardzo niewdzięczni względem me-

dyków. Są ludzie żelaznego zdrowia, którzy chełpiąc się takowem, powiadają najbezczelniej że dla tego są tak zdrowi, że ich noga nie pozostała w aptece. Są i tacy, którzy niczego zda się nie zaniedbują dla rujnowania swojej słabej konstytucyi, i później przyczynę swjej niemocy przypisują lekarzom. Lecz mało tego. Jeszcze są całe okolice które przyszłość swoją i stan pomyslny zawdzięczając uczonym lekarzom, wcale o tém zapominają. W cóżby się obróciły pyszne miasta Spa, Vichy lub Bagneres bez opieki lekarzy? Że natura otworzyła tu i ówdzie strugi bardzo nieprzyjemnych słonych, siarczanych lub żelaznych wód, na tém wcale nie koniec. Potrzeba było ażeby lekarz zbadał ich własności i wysyłał tam chorych. On to ożywił i zaludnił piaszczyste wybrzeża i niepłodne wzgórza. On swoim przepisem, jak Amphion zapomocą swego fletu, na pustych polach pobudował miasta i później nadał im ruch i życie.

Lecz żadne jeszcze z tych miast nie pomyślało o postawieniu pomnika geniuszowi medycyny, który je wznosił i zbogacił—a tyleż miejsc sławnych wodami! tyle tysięcy ludzi odzyskało tam zdrowie, i ileż tysięcy zarobili mieszkańcy!

Helgoland także powinien by oddać uroczysty hołd lekarzóm. Oni to bowiem w taki sposób

wykazali higieniczne własności tamecznej atmosfery, zalety jej słonych wód, że przez to wyspa ta zyskała niepospolitą wziętość. W celu odzyskania zdrowia, przybywają tam pacyenci ze wszystkich prowincyj Niemiec, a wielu nawet z dalszych stron, wprost wiedzeni ciekawością. Ktoby chciał przyjrzeć się zjawiskóm natury, albo studyować człowieka w rozmaitych warunkach, ten nie pożałuje trudu kilkusetmilowej podróży, podjętej dla zwiedzenia téj osobliwej małej wyspy.

Helgoland już się postrzega o dziesięć mil na horyzoncie, jak czarna linija; powoli linija ta podnosi się i zaokrągla; później widać białą płaszczynę nad którą wznosi się massa różowej krędy, przystrojona u wierzchołka zieloną trawą. Lud miejscowy tak ją opisuje w swoim dyalekcie:

Groen is dat land

Rohd de Kant

End witt de sand

Das it dat wapen von Helgoland.

„Ziemia zielona, boki różowe, piasek biały: oto są herbowne znaki Helgolandu.”

Wyspa ta ma długości 5880 stóp, szerokości 1841, a w obwodzie 13,500, prawie półtora mili francuskiej, tak iż w godzinę można ją pie-

chotą obejść na około. W ostatnim wieku przy-
mykał do niej jeszcze kawał ziemi od 352 stóp
długości i 1050 szerokości, który w 1720 roku
oderwał się od wyspy i leży dziś o jeden kilo-
metr dalej. Tam właśnie biorą się kąpiele.

Jakkolwiek małą jest ta wysepka, dzieli się
jednak na dwie bardzo wyraźne części, nazywa-
ne niższą i wyższą ziemią. Pierwsza mająca do
1000 stóp długości, z jednej strony graniczy
z morzem a z drugiej kończy się urwistym wzgó-
rzem, na które prowadzi jedyna dróżka zawie-
rająca 186 wschodów, wybudowanych w 1767 r.
przez Duńczyków i poprawionych przez Angli-
ków w 1834 roku. Ziemia wyższa jest to gmach
o wielu piętrach, w którym ziemia niższa sta-
nowi dolne piętro lub ganek; tu leży sto domów,
wyżej pięćset: w ogóle 3000 ludności.

Taka jest liczba tych spokojnych mieszkańców
Helgolandu. Trudno jest nie mieć dla nich szcze-
gólniejszego współczucia. Żyją oni tam pośród
morza jak wygnańcy, lub jak gromadka rozbit-
ków, których burza wyrzuciła na wyspę, niepo-
dobną na nieszczęście do owjej obfitej wyspy Ro-
binsona. Żyją tam oni oddzieleni od całego świa-
ta, w ciągłym ubóstwie i niedostatku wszystkiego,
zostawieni sami sobie. Niewidać tam żadnego ru-
chu przemysłowego ani też bogatych plonów rol-

nika. Port jój nie jest dość obszerny ażeby mogła wysyłać od siebie okręta handlowe, a łańcuchy skał, co ją z trzech stron opasują, nie pozwalają większym okrętom podchodzić bliżej jak pół mili od wschodu i zachodu, a o milę od północy. Powierzchnia wyspy latem pokrywa się trawą, na której pasą się trzody lichych owiec, karmione zimową porą szczątkami ryby gotowanej. Przy ciężkiej pracy wydobywają niekiedy z téj ziemi kartofle. O zbożu i innych produktach niéma nawet mowy. Nie trudno przynajmniej mieszkańcom Helgolandu zachować jedno z przykazań Boskich „niepożądaj ani wołu ani osła,” ponieważ nie ma tam zupełnie tych użytecznych zwierząt. Przed kilką laty jeden z mieszkańców sprowadził sobie krowę. Dzieci przybiegły oglądać ją, z największem podziwieniem, tak jak u nas oglądają słonia lub wielbłąda.

Morze otaczające ze wszech stron wyspę, jest dla jój mieszkańców głównym srodkiem utrzymania się, ich rodzajném polem, ich dziedziczną własnością, lecz i tutaj czas ograniczył ich dochody. Niegdyś, trudnili się oni na wielką skalę sternictwem, prawie bez żadnej konkurencyi; niegdyś morze wyrzucało im masę towarów z rozbitych statków. Na Północy, prawo zaboru rozbitych okrętów trwało z największą ścisłością aż do o-

statnich czasów. Nie wiem z pewnością czy na brzegach Bałtyku i morza Północnego byli ludzie tak okrutni jak na brzegach Bretanii, którzy w burzliwe noce przywiązywali pochodnie do rogów wołu, aby tym zwodniczym światłem ludzi okręta i wprowadzać je na podwodne skały. Lecz jeśli mieszkańcy Północy i nie używali tych barbarzyńskich środków, to zawsze w czasie burzy snuli się na brzegach jak zgłodniałe sępy, czekające na zdobycz z rozbitego statku, wcale nie myśląc o udzieleniu im pomocy. Wszelką zdobycz wyrzuconą przez burzę oznaczali oni poważnym mianem *Strandgut* (własność brzegowa) i uważali ją jako dar opatrności. W tym względzie tak naiwną zachowywali wiarę, że nawet w codziennych modlitwach prosili Boga aby im dał pomyślny rok na *Strandgut*.

W XVI wieku Bogusław X, bogobojny książę Pomorski, podczas podróży do Jeruzalem uczynił postanowienie znieść barbarzyńskie to prawo. Powróciwszy do Szczecina wydał bardzo srogie w tym względzie rozporządzenie; lecz własni poddani nawet nie słuchali tego rozkazu, ościenni zaś książęta wcale naśladować nie chcieli szlachetnych jego zamiarów.

W 1559 r. książę Schlezwicki, Adolf, nadał wyspie Helgoland przywilej na *Strandgut*, w któ-

rzym oznaczył sposob działu zdobyczy i część przypadającą na rzecz księcia. Ustawa ta wznowiona 1638, 1667 i 1695 r. była podstawą nieludzkiego prawa, które tak długi czas utrzymywało się w Holsztynie.

Nakoniec barbarzyński ten zwyczaj skasowany został. Prawo to na spadek po rozbitkach albo raczej łupiestwo już nie exystuje w krajach cywilizowanych, a postępy w nauce marynarki, przyczyniając bezpieczeństwa w żegludze, zmniejszyło przypadki rozbicia i tém samém pokusę łupieży.

Mieszkańcy Helgolandu przestali już prosić Boga o łaskę, objawiającą się im przez burze i uragany, z której niepozwolono im było korzystać, i która stawała się coraz rzadszą. Zamiast tego co by mieli się cieszyć jak uprzednio gdy widzieli okręt miotany burzą i korzystać z jego nieszczęścia, — dziś śpieszą jemu na pomoc, i jako wprawni przewodnicy prowadzą go po między skałami za stosowne tylko wynagrodzenie. Współzawodnictwo Duńskich i Hancwerskich sterników ujmuje im znacznie zysków w tém rzemiośle. Chociaż nie posiadają dziś monopolium na sternictwo, jednakże położenie wyspy, z której obserwować mogą razem Elbę, Wezer i Eider, daje im wielką nad współzawodnikami przewagę. Po-

strzegając z daleka płynące okręta, mogą oni wprzód niż inni pośpieszyć z usługą. Dla utrzymania konkurencyi, mają dziś nawet stosowne małe łodzie. Tworzą oni stowarzyszenie, do którego nie inaczej przyjmują każdego nowego członka, aż póki ten nie usprawiedliwi swoich zdolności i dobrego prowadzenia przed *jury*, które po *examinie* i *probie* udziela mu medal sterniczny.

Dochody z rybołówstwa upadły tak jak i dochody ze sternictwa. Śledzie prześladowane nielitościwą siecią, albo może znudzone płynąć ciągle jedną drogą, prawie się na brzegach Helgolandu nie ukazują. Naiwny Benjamin Knoblauch, który w 1643 roku ogłosił swoją *Helgolandia*, powiada, że ponieważ wyśpiarze na zło używali wielkich dochodów ze śledzi, przeto Opatrzność odebrała tę gałąź przemysłu, ażeby ich tym do dawniej mądrej prostoty nawrócić.

Zostały im jeszcze niektóre ważne połowy, między innymi połow ryby zwaną *schellfish* i raków morskich. Pierwsze łowią zazwyczaj w marcu i w listopadzie. Większe statki odpływają po tę rybę o trzydzieści lub czterdzieści mil od brzegu, mniejsze zaś we trzy tygodnie później, o dziesięć lub piętnaście. Każda szalupa wiezie około czterech tysięcy haczyków. W dobry rok,

łowi się dziennie po tysiąc sztuk. Większa część tej ryby sprzedaje się na rynkach Hamburga lub Bremen, resztę spożywają sami wyspiarze. Połow raków trwa od kwietnia do lipca, i ponawia się w jesieni. Używają do tego sieci do trzydziestu siedmiu sążni długości. Każda z tych sieci w przecięciu łowi dwanaście raków na dzień.

Łowią jeszcze prócz tego wyspiarze przelotne ptastwo, zatrzymujące się w jesieni na wyspie dla odpoczynku po długiej podróży. Często widać tam chmury przelatujących bekasów, skowronków i drozdów. Biedne te ptaki przeleciawszy morze, padają tam prawie bez siły, tak iż każde dziecko może je brać rękoma. Przybycie tych ptaków jest dla mieszkańców tém samém, co kiedyś dla Izraelitów były przepiórki w czasie wędrówki przez pustynię. Dzieci i kobiety biegną po tę zdobycz; zwyczajne prace natenczas ustają i nawet księża porzucają służbę Bożą i spieszą razem z ludem korzystać z tego połowu. Widziano nieraz jak w niedzielę, kaznodzieja spójrząwszy w okna kościoła, przerywa mowę i powiada: «bracia! oto są bekasy.» Wówczas schodzi z mównicy, cały zgromadzony lud ciśnie się z kościoła i jedni biegną po fuzye, drudzy zastawiają siadła. Pewien podróżny opisuje, że wieść o przy-

latującym ptastwie rozerwała małżeństwo. Narzeczeni klęczeli u stóp ołtarza i ksiądz miał już im udzielić błogosławieństwo małżeńskie, gdy w téj chwili dało się słyszeć u drzwi kościoła wołanie: „Bekasy, Bekasy!” Rodzice, świadkowie, przyjaciele i bracia narzeczonych wybiegli co najprędzej z kościoła. Ksiądz nie mógł też oprzeć się ogólnemu uniesieniu, i obrządek zaczęty zrana, ledwie dokończonym został wieczorem, po odbytém polowaniu,

Mieszkańcy wyspy, sprzedając takowe produkta nabywają wszystkiego czego potrzebują; a potrzeby ich są wielkie, bo zaczynając od mąki i masła, wszystko muszą kupić aż do szklanki mleka. Piaszczysta ich ziemia nie daje im nietylko żadnych owoców, ale nawet i wiązki drzewa na zapalenie ognia i świeżej wody do picia. Jedne tam tylko istnieje źródło, które łaskawi nazywają świeżą wodą; jednak ma ona smak słonawy i służy wyłącznie kilku uprzywilejowanym rodzinom. Inni zaś używać muszą prawie zupełnie słonej wody.

Mimo tych wszystkich niedostatków, Helgolandczycy nie opuszczają swój ziemi. Są tacy między nimi, którzy uniesieni ambicyą czy też awanturniczem usposobieniem, odbywają dalekie po obcych krajach podróże. Ja sam znałem jedne-

go z nich, który dowodził statkiem handlowym i odbywał podróże po Rosyi, Anglii i Hiszpanii. Inny znowu, zmarły przed kilką laty, bawił ciągle w Batawii. Lecz większa ich część nie wydała się po za granice swych zajęć rybołówstwa, a handlowe ich obróty nie sięgają dalej rynków Bremenu lub Hamburga, i tacy po ukończeniu przedsięwzięcia powracają do ojczystej ziemi, szczęśliwi iż mogą zawlec swoją barkę na piaszczyste brzegi, i żyć znowu w ciasnej swój chatce.

Stosunki ich z bogatemi miastami Elby i Wezeru dały im zaledwie słabe pojęcie o zbytkach; długie zaś ich obcowanie z Angliją i Daniją, zostawiło zaledwie kilka słów obcych w rodowitym dyalekcie. W marynarce używają słów technicznych, przyjętych przez inne narody; lecz w domu mówią zawsze swoim rodowitym językiem.

Przechodząc rozmaite koleje, wyspa ta zachowała, jeżeli nie w zupełności, to przynajmniej w niektórych odcieniach swoją liberalną konstytucję. Książęta Schlezwigu i królowie Duńscy nie targnęli się na jój zmienienie, a Anglija nie chciała i pomyśleć wcale o jój skasowaniu. Władza królewska Anglii reprezentowaną jest tam przez jakiego dawnego oficera marynarki, ozdobionego tytułem gubernatora. Je-

żeli pośada takowa jest nudną i monotonna z powodu braku zajęcia się, to jednak zdaje mi się, że niejedyn z gubernatorów wysp Jońskich, Kanady, Australji, albo Indyi, przy całej swój potędze, może zazdrościć takiego spokojnego ustronia. Mieszkańcy Helgolandu mają prócz tego sześciu urzędników obieralnych. Mandataryusze ci stanowią pierwszą cywilną instancję. Karzą oni niektóre przestępstwa i odbywają dwa razy do roku sessye sądowe. Jeżeli strona apeluje od ich wyroku, tedy udaje się do gubernatora, który roztryga sprawę ostatecznie, albo w ważniejszych okolicznościach przedstawia kwestyę ministrowi kolonij. Za potrójną swoją funkcyę burmistrzów, poborców i sędziów, radcy Helgolandu pobierają pensyi tylko siedemset franków rocznie; lecz praca ich administracyjna wcale nie jest uciążliwą, a posłannictwo sądowe na bezsenność nie naraża. Zbrodnie tak są rzadkie na téj cnotliwej wyspie, że przez wieki cytują je jako kłeski, publiczne: np. morderstwo 1719 roku, rozbój 1804. O takich wypadkach ojcowie rodzin opowiadają swoim dzieciom.

Po owym sławnym roku kontrabandy, w którym mieszkańcy Helgolandu żyli jakby w ciągłym zawrócie głowy, teraz znowu powrócili powoli do swych dawnych zwyczajów i do dawniej ufności.

Teraz już nie zamykają swoich drzwi na klucze i zasypiają bez obawy złodziei. Jeżeli ci poczciwi ludzie nic nie powiększają dochodów Anglii, jeżeli nawet są niekiedy ciężarem dla jej skarbu, to przynajmniej zaszczycają berło królowej Wiktorji swoją moralnością.

Najpierwszym warunkiem dla każdego członka stowarzyszenia rybaków i sterników, jest poczciwe życie, i ktokolwiek użyłby na własną korzyść choćby najmniejszą część tego co ma być podzielone na wszystkich, natychmiast wyłącza się z towarzystwa. Jeśli dla zostania członkiem tego pracowitego stowarzyszenia trzeba być bez zarzutu, niemniej potrzeba być także nieustraszonym. Dziwnie to jest niebezpieczne zajęcie puszczać się na wzburzone morze w nocy, na kruchej łódce i wyprowadzać okręta z pomiędzy skał i ławic piasku otaczających ujście Elby. Ciężka też jest praca łowić rybę o kilkanaście mil od brzegu, w zimne dni marcowe lub w burze jesienne.

P. Decken cytuje ciekawy przykład wytrwałości jednego z tamecznych mieszkańców. W 1809 roku jedna rybacka łódka oderwała się ze swego miejsca i zginęła; właściciel miał już ją za straconą i ciężko nad tem ubolewał, gdyż łódź ma tam niepospolitą wartość; jest to najgłów-

niejsza własność rodziny, cały jej fundusz najczęściej. Przypadkiem właściciel dowiedział się, że łódź jego uwięzła niedaleko Cuxhaven; natychmiast popłynął tam ze swoim synem, i sądząc że jego drobnutki statek nieinaczéj wydobędzie się na morze, aż wiatr pomyślny zawieje, zatrzymał się na miejscu przez kilka tygodni niewychodząc na ląd czekał pożądanego wiatru, który w rzeczy samej łódkę mu powrócił.

Helgolandczyk już od dzieciństwa poczyną się ćwiczyć w swoim żeglarskiem rzemiośle; lecz na tém ogranicza się cała jego czynność. Skoro powróci na ląd, już o niczém nie myśli, pali tylko swoją fajkę leżąc jak lazzaroni, albo gwarzy z sąsiadami. Wtedy kobiety pracują tam od rana do wieczora. Zajmują się one wyłącznie hodowaniem dzieci, zaspokajają wszystkie potrzeby gospodarstwa, robią zapasy wody, szczepią drzewo, za przybyciem barki wydobywają rybę oczyszczają i solą. A jeśli szanowny małżonek ma kawałek pola lub ogrodu, one same muszą takowy skopać, zasiać i zebrać. Nakoniec gdy przyjdzie czas kąpieli, to znówu przenoszą rzeczy przybywających ze statku do mieszkania. Dzwigają ciężary na sto siedemdziesiąt osiem wschodów, prowadzących do głównej części wyspy, a ich małżonkowie siedzą sobie spokojnie

na ławkach przy balustradzie. Położenie tych kobiet przypomina mi Dalmacyą, gdzie mężczyzna z fuzyą w ręku, z nożem u pasa, szczyci się swoim wojennym rzemiosłem, i uważając siebie za obrońcę familii, brzydzi się wszelką pracą ręczną. Helgolandczyk zachowuje swe siły do walki wzburzonemi morzami, a zajęcie rolnicze wcale go nie obchodzi. Lecz gdy zawyje burza, fale się podniosą, wówczas obudza się ze swojej bezczynności, jak dzielny rumak na odgłos trąby. Natychmiast odwiązuje łódkę i śpieszy na spotkanie okrętów, mogących potrzebować jego pomocy.

Rassa Helgolandczyków odznacza się konstytucją fizyczną. Mężczyźni są urodziwi i krzepcy; kobiety zaś mają wysmukłą kibić i dosyć przyjemne rysy twarzy. Dawny fryzyjski ubiór, długa spodnica czerwona, obszyta u dołu żółtym galonem, gorset jedwabny i czarna kapotka, nadają im poważną i okazałą powierzchowność. Za mąż wychodzą bardzo młode; lecz ciągła troska i niepokój, jakich w domowym życiu doświadają, gdy mężowie odpłyną na morze—i ciężka praca, jaką zajmować się muszą, do wczesnej przywodzą starości.

Kąpiele powiększają ich prace, lecz razem pomnażają środki utrzymania. Latem znoszą

one ogromne ciężary na wysokie swe wschody, ponure i smutne wschody, jak owe o których Dante wspomina, lecz tym sposobem mają zręczność zarobku, który zaoszczędzony, zabezpiecza ich przyszłość. Dawniej, jeżeli która kobieta utraciła męża, a dzieci jej były małe, niebędąc w stanie utrzymać rodziny, musiała się uciekać do pomocy krewnych, lub żebrać wsparcia; teraz przez lato może codzienńnią niemałą kwotę zapracować. Ruch spowodowany przybywaniem statków, znaczna liczba cudzoziemców przybywających od czerwca aż do września, potworzyły tam niektóre zyskowe rzemiosła: są tam obecnie traktyery, kawiarnie, sklepy i warstwy.

Przed dwódmiesiątą laty, widać tam było tylko małe domki o jednej lub dwóch stancyjkach, z szopką obok na skład narzędzi rybackich lub ryby solonej. Dzisiaj na niższej i wyższej części wyspy wznoszą się piękne dwupiętrowe hotele, których kształtne frontony wabiają podróżnego. Wszędzie widzisz skromne ale wcale porządne domki. Jak tylko żona którego rybaka uzbiera kilka talarów, natychmiast mebluje za nie część swego lokalu, i przybija na drzwiach kartę z napisem że ma pokój do najęcia.

Myliłby się wszakże każdy, kto by spodziewał się znaleźć tam ruch i zbytek miast kąpiel-

wych, które za pomocą rozgłośnych anonsów zwołują tłumy bogatych próżniaków, i przemysłowców ze wszystkich krajów Europy. Helgoland nie posiada ani domów gry, ani sławnego polowania, ani wystawnych balów: dla jednych jest on celem poetycznych wycieczek, dla drugich zaś poważnym higienicznym pobytém. Sklepy jego najpotrzebniejsze tylko zawierają towary. Jego małe domki mają pozor idylliczny. Główna budowa ozdobiona, równie jak w Baden, szumną nazwą *Conversationshaus*, leży na szerokim trawniku i całą jej okazałość stanowi ocieniające ją z półtuzina drzewek. W hotelach niema ani jedwabnych obić, ani palisandrowych mebli; ale też podróżnego nie opada owa straszliwa szarańcza garsonów. Taka prostota zwyczajów i pomierne ceny na wszystko przywabia rok rocznie coraz więcej gości na kąpiel, i przyczynia znacznie do wzbogacenia się mieszkańców wyspy. Z czasem tylko, wyrodzić się może wielka trudność o mieszkania dla kąpiących się, gdyż Anglija, której zamiary nie są nigdy odgadnięte a która z wytrwałością prowadzi je do skutku, zakupuje coraz więcej ziemi na wyższej części wyspy i wznosi tam koszary, kazamaty i baterye. Być może, że celem jej jest uzbrojenie Helgolandu żeby w razie potrzeby mógł zagrażać i blo-

kować głównejsze porty północnych Niemiec. Lecz jeśli chce zrobić tam drugi Gibraltar, to wprawdzie nie trudno jej wznieść okopy, pobrać kazamaty i wystawić baterie: pieniędzy i ludzi nie brak jej na takie przedsięwzięcia. Trudność była by tylko w utrwaleniu tego wszystkiego na gruncie podmywanym falami morskimi, na skale, której stopniowe ubywanie łatwo się postrzega.

Że wyspa ta była kiedyś większą to nie ulega wątpliwości. I morze, które w XVII wieku oderwało część znaczną wyspy, nie przestaje i teraz podmywać coraz dalej i pochłaniać coraz więcej ziemi.

Mieszkańcy tameczni mają przecucie groźącego im niebezpieczeństwa. Ich małe ceglane domki, stawiane są prawie jeden na drugim, na najtrwalszej części wyspy, jak okręta przy zbliżającej się burzy sciskają się do bezpiecznej przystani.

Jeżeli pod wpływem poetycznej myśli staniemy na wierzchołku urwistej skały z kądem na wsze strony widać morze, w całej jego wspaniałej potędze; jeśli pod wpływem idealnego uroku, z całą swobodą zatopimy wzrok w przejrzystych falach oceanu, owem zwierciadle Boga, obrazie nieskonczoności—to przeciwnie nie można przechadzać

się ponad brzegiem tegoż morza, bez pewnego wewnętrznego uczucia, że co chwila można być pogrążonym w przepaść.

Przejdźmy się tylko po burzy naokoło brzegów wyspy, a niezawodnie postrzeżemy świeże ślady zniszczenia. Tu osypała się ziemia, potworzyły się groty które woda z wyciem zalewa; tam znowu pękły ogniwa co łączyły ogromne skały, które już zaledwie trzymają się tak że lada uderzenie fali grozi im obaleniem. Stoją one tam w posród topieli samotne i ponure jak sfinxy, zdające się przepowiadać badającym je straszliwą przyszłość.

Na cmentarzu wyspy, przed kilku laty pogrzebiony został młody jeden cudzoziemiec. Nieutuleni w żalu po zmarłym w tak dalekich stronach, rodzice, kazali na nadgróbku jego wyryc ten napis:

Ruhe sanft, geliebter Sohn;

Die Erde ist überall des Herrn.

„Spoczywaj spokojnie synu ukochany; ziemia wszędzie jest ziemią Pana.”

Lecz czyż wąta wyspa Helgoland może być nazwana ziemią? Nie jest-że to raczej okręt z nadwerężonym dnem i z pękniętym pokładem, który nie może uniknąć rozbicia?

Nie raz przypatrując się w rozmaitych stronach świata zmianom dokonanyim przez rewolucyę natury, albo, co jeszcze częściej, patrząc na daleko straszniejsze zniszczenia ręki ludzkiej, przychodził mi na myśl symboliczny poemat Rückert'a.

Wiecznie młody Chidher powiedział: „Przechodząc przez pewne miasto spostrzegłem człowieka zbierającego owoce w ogródku. Zapytałem go: «od jakiego czasu to miasto istnieje?»—Odpowiedział mi, nie przerywając zajęcia: «To miasto zawsze istniało i zawsze „istnieć będzie.”

«W pięćset lat potem znowu przyszedłem na to samo miejsce.»

«Niebyło już tam ani śladu miasta. Samotny pasterz wygrywał na fujarce; trzoda jego zbierała na łące listki i kwiaty. Zapytałem go: Jak dawno tu miasto zostało «zniszczone»?—Odpowiedział mi, przegrywając dalej: jedna rzecz niknie, druga powstaje; „lecz tutaj zawsze były pastwiska.”

«W pięćset lat potem znowu przyszedłem na to samo miejsce.»

«Było już tam morze, widziałem kołyszące się fale, a rybak zarzucał siecie. Kiedy skończył swoją pracę, zapytałem go: «Od jak dawna jest tutaj morze?»—Odpowiedział mi na to z uśmie-

chem: „Od czasu jak są wody na świecie, zawsze w tych głębiach łowiono ryby”

„W pięćset lat potem znowu przyszedłem na to samo miejsce.

„Był już tam ogromny las. Starzec zrąbywał drzewo. Zapytałem go: „Jak dawno jest tutaj ten las?—Odpowiedział mi: „Ja zawsze widziałem tu drzewa, i zdawien dawna one tu rosną.”

„W pięćset lat potem znowu przyszedłem na to samo miejsce.

„Znalazłem już tam nowe miasto, gwarne i ludne. Zapytałem: „Od jak dawna założono to miasto. Co się stało z lasem, morzem i pastwiskami?” Tłum ludu gwarzył i wcale nie słyshał mojego pytania. Tak idą rzeczy na tym świecie, tak pójdą one przez wieki.

„Za lat pięćset powrócę znowu na to samo miejsce.”

Lecz nim lat pięćset upłynie, jeśliby Chidher przyszedł na Helgoland obejrzyć to miejsce, na którym dziś stoi kościół, hotele i koszary, zapewne nie znalazłby tam ani pasterza, ani drwala ani też żadnego śladu ludzkiego pobytu.

Wielki poeta Shakspeare powiedział, a starożytność swoich poetów nazywała *vates*, wieszczami.

„Wieże uwieńczone chmurami, wspaniałe pałace, uroczyste świątynie sam nawet wielki glob

ziemski ze wszystkiemi swými bogactwy, wszystko się rozprzęże i w niwecz się obróci, niezostawując żadnego śladu (1).”

Rzewny i wdzięczny poeta zielonego Erinu, Tomasz Moore, wyrzekł te wiersze, które ja w melancholiczném usposobieniu, opuszczając skały i ruchome piaski Helgolandu, powtarzam:

„Biedni wędrowcy w dzień burzy, miotamy się z fali na falę, a błyskawice wyobraźni i światło rozumu, służą nam tylko do okazania jak burzliwą jest nasza droga. Jedno tylko niebo jest spokojne.” (2)

(1) The cloud capt towers, the gorgeous palaces,
The solemn temples, the great globe itself,
Yea all which it inherit, shall dissolve,
And like this insubstantial pageant faded,
Leave not a rack behind.

(2) Poor wanderers of a stormy day,
From wave to wave we're driven,
And fancy's flash and reason's ray
Serve but to light the troubled way;
There's nothing calm but heaven.

K O N I E C.

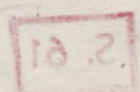
S. 61



ziemski to wazystkimi swymi bogactwami, wazyst-
 ko sie rozprzysc i w niwec sie obróc, nie-
 zastawiajac sobiego sladu (1)
 Bzow i wdzieczny poeta zaslonego Krynu,
 Tomasz Bzow, wstrelk te wiersze, ktore ja
 w metafizycznym nospobieniu, opuszczajac sta-
 ty i rucione piaski Helgolandu, powtarzam:
 „Biedni wdowcy w trzyn burzy, uniolany
 sie z fall na fall, z dykawice wydzany i
 swiatlo rozumu, slusz nam tylko do okrzania
 jak burzliwy jest nasz dzoga. Jedno tylko nie-
 do jest spokojna” (2)

(1) The cloud says to earth, the gurgling palace
 The solemn temple, the great globe itself,
 You all which it beholds, shall dissolve,
 And like this insubstantial pageant faded,
 Leave not a rack behind.

(2) Poor wanderers of a stormy day,
 From wave to wave, wave's driver,
 And forgo's flesh and reason's ray,
 Serve but to light the torch of way,
 There's nothing calm but heaven.



TREŚĆ ROZDZIAŁÓW.

TREŚĆ ROZDZIAŁÓW.

I.

Gdańsk.—Przekształcenie się Niemiec przez koleje żelazne. *Time is money.*—Poezye Goethe'go.—Berlin.—Młodość i postęp Pruss.—Pałac i uniwersytet w Berlinie.—Fryderyk Wilhelm IV.—Płasczyzna otaczająca Berlin.—Droga do Gdańska.—Wspomnienia historyczne.—Wojna.—Widok Gdańska.—Początek.—Rycerze Zakonu Teutońskiego.—Legenda o bogatym Niklasie.—Panowanie Polski.—Reformacya. Nowe wojny.—Stanisław Leszczyński.—Podbicie Prus.—Oblężenie 1813 roku.—Topografia i Architektura Gdańska.—Rzeźby mytologiczne.—*Arthus.*—*Hof.*—Wnętrzne Giełdy.—Kościół S-tój Maryi.—Obraz Van Eyck'a.—Legenda o Chrystusie i o posągu N. P. Maryi.—Stan handlowy Gdańska.—Drzewo polskie.—Flisacy.— Str. 5

II.

Klasztor w Oliwie.—Poezya przyrody.—Okolice Oliwy.—Ś. Wojciech.—Ofiara biednej kobiety.—Wojny i klęski.—Nowe nieszczęścia.—Traktat w Oliwie.—Zniesienie klasztoru.—Wpływ jego nauk.—Obecny stan murów.—Latarnia morska. str. 50

III.

Maryenburg.—Historya Zakonu Teutońskiego.—Niemiecy pielgrzymi w Jeruzalem.—Założenie Zakonu.—Pierwszy szpital i pierwsza kaplica.—Wzrost i powodzenie Zakonu.—Herman Salza.—Pierwsze ustawy Rycerzy Teutońskich.—Obowiązki Rycerzy.—Przywileje Wielkich Mistrzów.—Prussy i Prussacy w XII wieku.—Mytologija.—Pierwsze próby nawrócenia. Wyprawy Rycerzy Teutońskich.—Waleczny Balke.—Pół wieczna wojna.—Podbicie Pruss przez Rycerzy.—Założenie Maryenburga.—Zbudowanie zamku i okopów.—Maryenburg rezydencyą W. Mistrzów.—Administracya Zakonu.—Jego władza i dobrodziejstwa.—Konrad Jungingen.—Wojna z Polską.—Bitwa pod Tannebergiem.—Reuss de Plauen.—Obleżenie Maryenburga.—Pokój z Polską.—Paweł Reussdorf.—Epoka upadku.—Związek malkontentów.—Wojny domowe.—Nowa wojna z Polską.—Bitwa pod Cowetz.—Osłabienie i upadek Zakonu.—Bunt najemnych żołnierzy.—Sprzedaż miasta kró-

lowi Polskiemu.—Szlachetny Blume.—Powtórne o-
 blężenie Maryenburga.—Kapitulacya.—Pokój w To-
 runiu.—Skutki wojny.—Wielcy Mistrzowie w Kró-
 lewcu.—Albert d'Anspach.—Ostatnia katastrofa.—
 Ostatnie promienie sławy Zakonu Teutońskiego. Znie-
 sienie Zakonu w 1809.—Opisanie Zamku Maryen-
 burga.— str. 68

III.

Brzegi Pomorza.—Charakter.—Pierwotni mieszkańcy
 tych krajów.—Celtowie, Germanie, Sławianie.—Fi-
 zyognomija Wendów.—Ich bogowie, religia, obrząd-
 ki.—Niezawisłość.—Organizacya społeczna.—Władza
 nieograniczona ojca familii.—Małżeństwo.—Pogrze-
 by.—Prace rolnicze.—Kolonizacye.—Kalendarz na-
 turalny.—Nauka Chrześcijańska.—Prożne usiłowania
 Misyonarzy.—Nowe usiłowania.—Biskup Otton
 z Bambergi.—Bolesław.—Nawrócenie Pomorza.—
 Najście Duńczyków.—Zmniejszenie ludności.—Ko-
 lonije Niemieckie.—Nowe wojny i nowe klęski.—Pa-
 nowanie Bogusława.—Podanie o wiernym słudze.—
 Szczęśliwe wyprawy Bogusława. Dobroczytna ad-
 ministracya.—Podróż Księcia do Jerozolimy.—Po-
 wrót do Szczecina.—Legenda wieśniaków z Cosse-
 rów.—Reformacya.—Zajęcie Pomorza pod czas trzy-
 dziesięcioletniej wojny.—Miasto w morzu.—Legenda o
 Vinecie.—Zwaliska starych gmachów.—Klasztor w El-

dena i jego tajemnicze groty.—Nowa pomysłność Pomorza. str. 135

V.

Wyspa Rugija.—Rewolucye ziemi.—Podniesienie się ziemi.—Spustoszenia Oceanu.—Dziwny kształt wyspy.—Klimat, wegetacya.—Piérwsze ślady historyczne.—Bogini Herta.—Tradycye Lombardów.—Narody Sławiańskie.—Smiałość mieszkańców.—Przewoźnicy i korsarze.—Missye katolickie.—Szczegóły mytologiczne.—Garc, Arkona.—Bóg Swantewit.—Usiłowania Kanuta Wielkiego dla podbicia Rugii.—Wojny wyspiarzy z Meklemburgiem.—Wyprawy Eryka Edmunda.—Podbicie Rugii przez Waldemara.—Obalenie bogów.—Nowa ludność.—Obecny stan wyspy.—Panowie i dzierżawcy.—Widok okolic.—Stary wieśniacy.—Prace rolnicze i przemysłowe.—Wioska rybaków.—Kazania nadbrzeżne.—Groby i pomniki archeologiczne.—Podania korsarzy.—Legenda o Stubbenkammer.—Putbus.—Zakład księcia. Zamek, ogród, miasteczko, droga, kąpiele.—Bogactwo księcia. Smierć.—Isola bella. str. 184

VI.

Hamburg.—Różnica obyczajów i charakterów w rozmaitych państwach Niemieckich,—Znaczenie każdego państwa i każdej małej stolicy.—Znakomitości lite-

rackie i uniwersyteckie. Księgarnia Niemiecka.—
Instytucye naukowe.—Pisarze Hamburgscy.—Hotel
Victoria.—Alster.—Ruch codzienny miasta.—Gma-
chy wzniesione na zgliszczach pożaru.—Pochodzenie
miasta.—Związek Hanzeatycki. Zniesienie okopów.—
Port.—Cło komory.—Niewidzialna moneta. Wzrost
Hamburga.—Ludność.—Pierwsi żydzi w mieście.—
Bogactwo żydów.—Stan polityczny i finansowy.—Za-
kłady dobroczynne.—P. Henryk Schroeder i jego dom
przysłu.— str. 234

VII.

Ujście Elby.—Widok rzeki.—Brzegi Hanoweru i Hol-
sztyonii.—Altona.—Ottensen.—Blankenes.—*Lustgar-
ten.*—Połączenie Poezyi z Gastronomią.—*Glückstadt.*—
Cuxhaven.—Ławice piasku, niebezpieczeństwa żeglu-
gi przy ujściu rzeki.—Neuwerk.—Nordstrand.—Wy-
spy Halligen.—Piaszczysty grunt.—Chatki na wzgó-
rzach.—Niebezpieczeństwa wezbrania wody.—Miłość
ojczystej ziemi.—Odwaga i poświęcenie.—. str. 264

VIII.

Helgoland.—Mały obszar wyspy.—Podania.—Dawne
nazwiska.—Cześć Fosty.—Legenda o Ś. Urszuli.—
Domysły o pierwotnym stanie wyspy.—Mappa Me-
yer'a.—Pierwsze wiadomości historyczne. Missye
katolickie.—Ś. Willibrod.—Obalenie bałwanów.—No-

wa wziętość Helgolandu. Przyływ śledzi.— Wojny pomiędzy Schlezwigiem i miastami Hanzeatyckimi.— Podbicie wyspy przez Daniję.— Zajęcie przez Angliję.— Znaczenie tego posiadania.— Szczęśliwy rok kontrabandy.— Rychłe z bogaceniem się wyspy.— Upadek.— Nowe zasoby pieniężne.— Kąpiele.— Zwyczajny stan wyspy.— Obwód.— Ziemia niższa i wyższa. Bezpłodność gruntu.— Sternietwo.— Rybołówstwo.— Przelatywanie bekasów.— Administracya wyspy.— Charakter mieszkańców.— Odwaga marynarzy.— Wytrwałość kobiet.— Ubior.— Czas kąpeli.— Koszary na polach.— Stopniowe zniszczenie wyspy przez fale.— Cmentarz.— Powiastka Chidher'a.— Czyż wszystko ulega zniszczeniu? str. 288

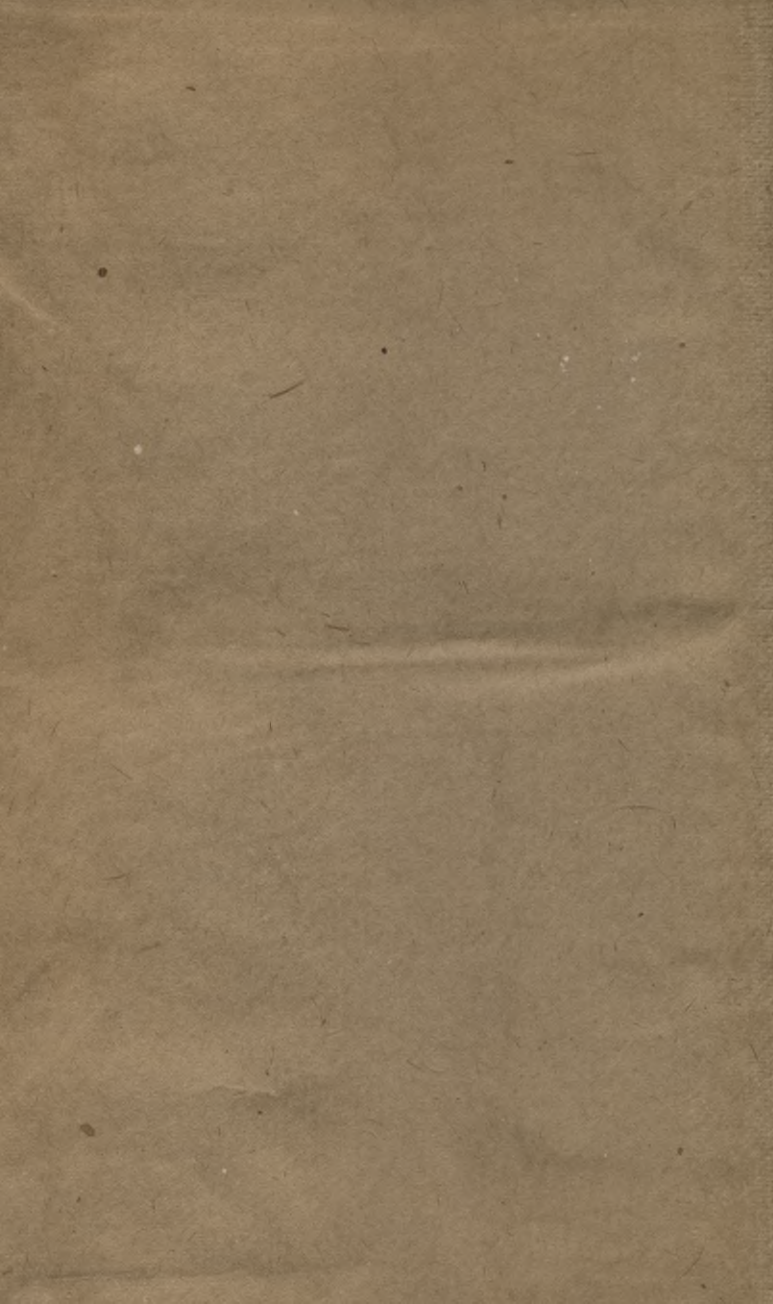


III



8-99







BIBLIOTEKA GŁÓWNA
Politechniki Krakowskiej

25140

W. Kras. 1950/71 - 100 000

Biblioteka Politechniki Krakowskiej



10000297104